

Murdzek:
Budżet równego wzrostu

Jarmołowicz:
Jak plastik z muzykiem

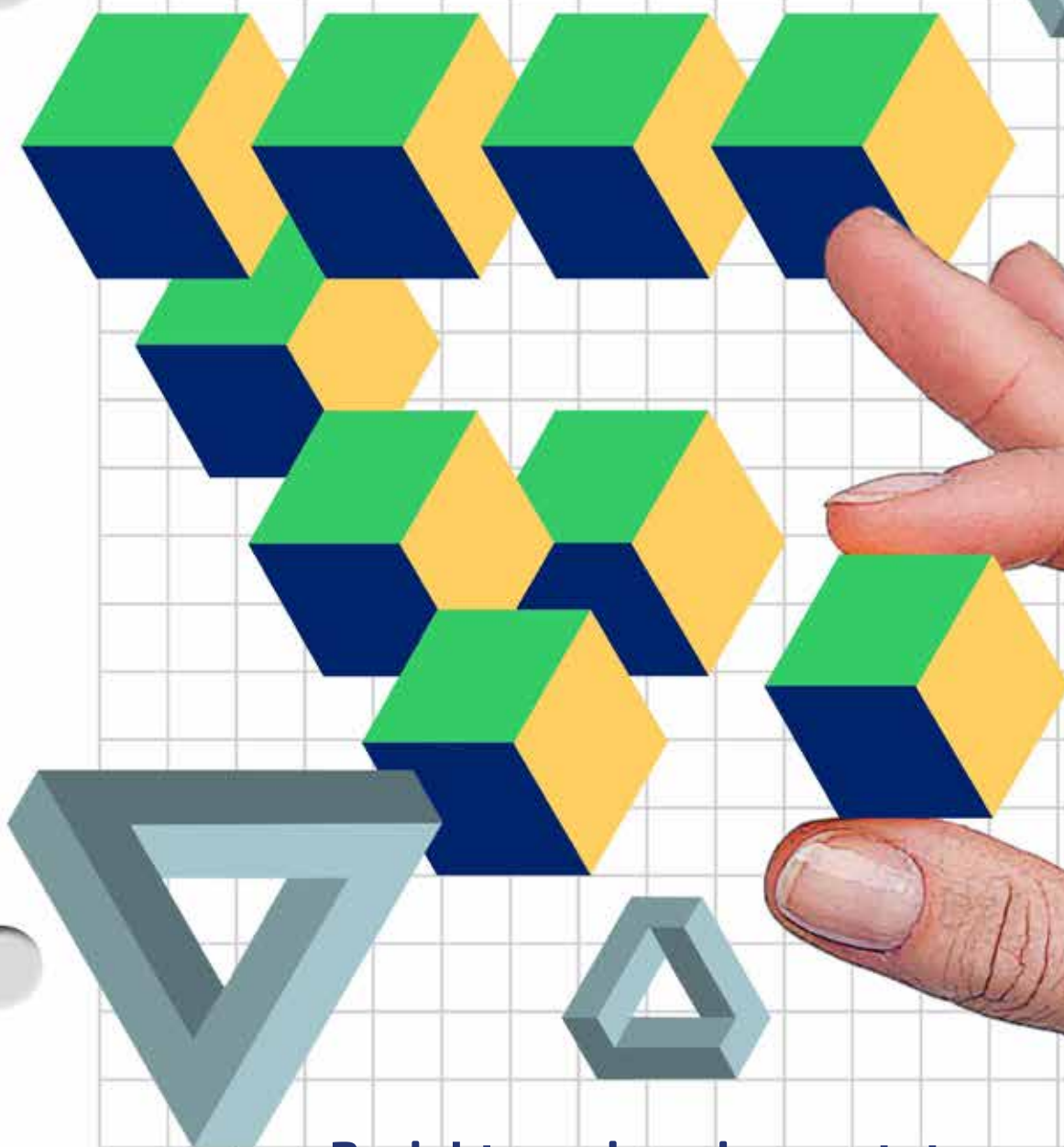
Witkowski:
Im mniej, tym lepiej

FORUM AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Nr 2/2022

PL ISSN 1233-0930 20 zł (VAT 8%)



Projektyzacja uniwersytetu Str. 25-27

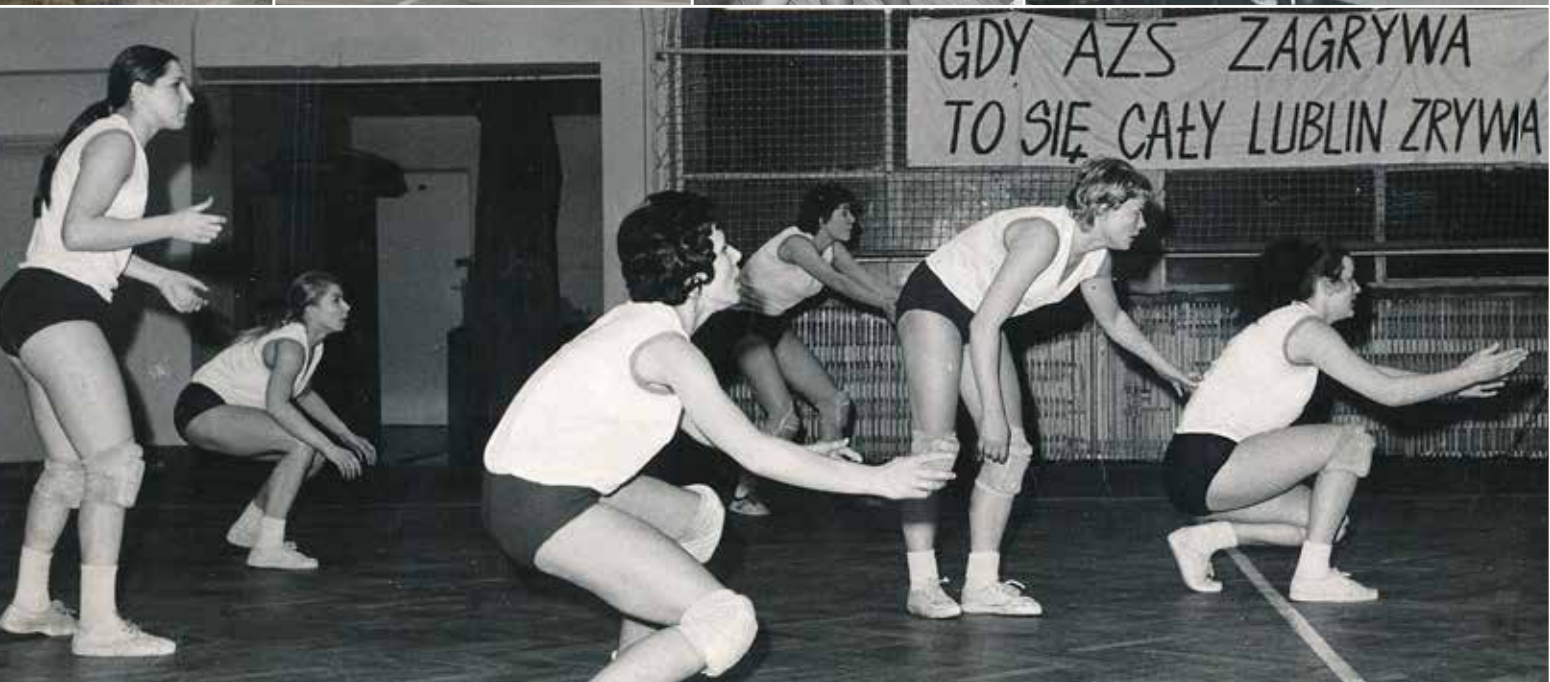
Saloni:
Stopniowanie doskonałości

Zrodowska:
Głuchy telefon

Fortuna:
Konsensus w sprawie SI



Fot. archiwum AZS Lublin



INFORMACJE I KOMENTARZE

Wydarzenia	2
Budżet na spokojne funkcjonowanie – Wojciech Murdzek	6
Zahibernowany budżet – Stanisław Mazur	7
W innych resortach	7
Zanim zobaczymy nowy pejzaż nauki polskiej – Błażej Skoczeń	8
Życzenie naturalności – Arkadiusz Mężyk	10
Podstawa zarządzania uczelnią w czasie pandemii – Marcin Czaja	10
Trend wzrostowy – Tomasz Pietrzykowski	11
Szczepionkowe dylematy – Konrad Pfeiffer	12
Dosypka – Dariusz Galasiński	13
Badacz czy wykładowca? – Piotr Kieraciński	14
Erasmus+ w pandemii – Paweł Poszytek	16
Studiowanie w Polsce na tle Europy	17
Wysportowany stuletek – Mariusz Karwowski	18
Łódź gotowa na igrzyska – Dominik Leżański	19
Wystartowały AMP-y	19

ROZMOWA FORUM

Sztuki muzyczne i wizualne – rozmowa z dr hab. Mirosławą Jarmołowicz, prof. AS, rektorem Akademii Sztuki w Szczecinie	20
---	----

PROJEKTyzacja UNIWERSYTETU

Autonomia, Big Science i świat poza murami – Waldemar Rapior	25
---	----

ŻYCIE NAUKOWE

Dodawanie przez odejmowanie – Tomasz Witkowski	28
Adiunkt w inkubatorze – Zygmunt Saloni	32
Dzięki Twojej bibliotece czytasz gdzie chcesz i kiedy chcesz! – materiał sponsorowany	35
Jak koroduje etyka w nauce – Wojciech Przetakiewicz, Leszek Chybowski	36

Nowe kierunki badań społecznych

Powodzenie działalności badawczej. Cz. III – Jan Lichtarski	39
--	----

ŻYCIE AKADEMICKIE

Uczony i nauczyciel – Zbigniew Drozdowicz	43
--	----

Podhalanka w tarapatkach – Piotr Kieraciński	46
O skutecznym nauczaniu zdalnym – Joanna Wójcik	49
Czytelnia czasopism – Aneta Zawadzka	54

Publikuj lub giń

Język jako przygoda – Marek Misiak	51
---------------------------------------	----

Z LABORATORIÓW

Idea cyberpsychologii pozytywnej – Paweł Fortuna	55
Głucha wiedza – Magdalena Zdrodowska	58
Zmierzą dokładnie i w szerokim zakresie – Mariusz Karwowski	61

W STRONĘ HISTORII

Czołowa uczelnia techniczna – Izabela Koptoń-Rynec	64
---	----

Kartki z dziejów nauki w Polsce (245)

Ku monografiom – Piotr Hübner	68
----------------------------------	----

OKOLICE NAUKI

Prawnicze kody językowe – rozmowa z prof. Jerzym Zajadło, prawnikiem i filozofem prawa z UG	74
--	----

Portrety nauki polskiej

Badacze nieba – Marcelina Smużewska	71
--	----

Książki

Lekcje do odrobienia – Mariusz Karwowski	77
Bohaterowie w dziejach – Bogdan Bernat	77
Najlepsze think tanki – Anna Jawor	78
Jak zwiększyć zaufanie do nauki? – Justyna Jakubczyk	78
Ekran i ja – Marek Misiak	79
Freski jagiellońskie – Juliusz Gałkowski	79

FELIETONY

Szkiełko w oku W stronę głębi błędu – Piotr Müldner-Nieckowski	76
--	----

Na marginesach nauki

Barbara Skarga: Europejka – Leszek Szaruga	80
--	----

Projekt okładki – Sławomir Makal	
-------------------------------------	--

Dwie Polki z grantami EMBO

HEIDELBERG/WARSZAWA Dwie polskie badaczki zostały laureatkami EMBO Installation Grants. Dr Katarzyna Bandyra z Wydziału Chemii Uniwersytetu Warszawskiego oraz Centrum Nauk Biologiczno-Chemicznych UW przyjrzy się roli i funkcji PNPazy, ludzkiego enzymu mitochondrialnego.



Fot. UW



Fot. Arch. Prywatne

Jej badania pozwolą na lepsze poznanie niektórych mitochondrialnych zaburzeń, a także zrozumienie, jak można im zapobiegać. Dr Karolina Szczepanowska, od ub.r. kierująca Laboratorium Metabolicznej Kontroli Jakości w Międzynarodowym Instytucie Mechanizmów i Maszyn Molekularnych PAN (IMol), będzie realizowała projekt dotyczący mitochondrialnych kompleksów oddechowych (system OXPHOS), złożonych maszyn molekularnych odpowiedzialnych za produkcję energii i prawidłowy przepływ metabolitów. Skupi się na specyficznym typie stresu – przeprogramowaniu metabolicznym, leżącym u podstaw procesu nowotworzenia i pozwalającym na niepojawienie się komórek rakowych. Obie laureatki otrzymają po 50 tys. euro rocznie

na okres 3–5 lat. Od 2006 r. EMBO przyznała już 126 IG, z czego 30 dla Polaków.

Nowy szef Rady Głównej

WARSZAWA Dr hab. Marcin Pałys, prof. UW, rektor Uniwersytetu Warszawskiego w latach 2012–2020, obecny członek Zarządu European University Association, zastąpił prof. Zbigniewa Marciniaka na stanowisku przewodniczącego Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Jego zastępcami zostali: prof. Stanisław Kistryn (Uniwersytet Jagielloński) i prof. Grażyna Borkowska (Instytut Badań Literackich PAN). RGNiSW jest instytucją przedstawicielską środowiska szkolnictwa wyższego i nauki. Współdziała z ministrem edukacji i nauki oraz innymi organami władzy i administracji publicznej w ustalaniu polityki edukacyjnej państwa



Fot. UW

w zakresie szkolnictwa wyższego. W jej skład wchodzi 30 osób delegowanych przez Konferencję Rektorów Akademickich Szkół Polskich, Konferencję Rektorów Publicznych Uczelni Zawodowych, Konferencję Rektorów Zawodowych Szkół Polskich, Prezydium PAN, Radę Główną Instytutów Badawczych, Sieć Badawczą Łukasiewicz, Parlament Studentów Rzeczypospolitej Polskiej, Krajową Reprezentację Doktorantów, organizacje związków zawodowych i organizacje pracodawców.

Uniwersytet Wrocławski w Arqus

WROCŁAW Komisja Europejska kwotą 287 mln euro dofinansowuje obecnie 41 konsorcjów European Universities wyłonionych w dwóch konkursach w 2019 i 2020 r. W obu bez powodzenia startował Uniwersytet Wrocławski (jako partner w konsorcjum IncludU). Teraz dołóżła uczelnia dołączyła do sojuszu Arqus. Skupił on dotąd siedem uczelni: Universidad de Granada (Hiszpania – lider), Universitetet i Bergen (Norwegia), Universität Graz (Austria), Universität Leipzig (Niemcy), Université de Lyon (Francja), Università degli Studi di Padova (Włochy), Vilniaus universitetas (Litwa). Wraz z UW do konsorcjum dołączył portugalski Universidade do Minho. Tym samym mamy już w Polsce trzynaście uniwersytetów europejskich, z których jedynie Politechnika Poznańska jest liderem konsorcjum EUNICE.

Nad Tybrem nowa dyrektor

RZYM Agnieszka Stefaniak-Hrycko objęła stanowisko dyrektora Stacji Naukowej PAN w Rzymie. Jej kadencja potrwa do 2026 r. Ukończyła Wydział Stosowanych Nauk Społecznych i Resocjalizacji oraz Wydział Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. W latach 2003–2017 pracowała w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego, w tym jako zastępca dyrektora Departamentu Nauki. Jest autorką bądź współautorką programów ministra wspierających młodych naukowców, naukowców prowadzących badania z zakresu nauk humanistycznych i społecznych, współpracy międzynarodowej oraz związanych ze społeczną odpowiedzialnością nauki. Od 2017 r. była zatrudniona w Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej, gdzie odpowiadała za tworzenie oferty programowej dla doktorantów i naukowców, a w okresie IV–V 2020 r. pełniła funkcję p.o. dyrektora agencji. Accademia Polacca delle Scienze założono w 1927 r. To jedna z sześciu placówek zagranicznych PAN, obok brukselskiej, berlińskiej, paryskiej, wiedeńskiej i kijowskiej.



Fot. Arch. Prywatne

W Nenckim bez zmian

WARSZAWA Prof. Agnieszka Dobrzyń przez kolejne cztery lata będzie kierować Instytutem Biologii Doświadczalnej im. Marcelego Nenckiego PAN. To jej druga kadencja na stanowisku dyrektora. Prof. Dobrzyń specjalizuje się w fizjologii mięśni. W IBD PAN prowadzi Pracownię Sygnałów Komórkowych i Zaburzeń Metabolicznych. Jej badania dotyczą szlaków sygnałowych i zmian w regulacji ekspresji genów charakterystycznych dla zaburzeń metabolizmu komórki i patogenezy cukrzycy. Wraz z zespołem odkryła nowe mechanizmy regulujące wydzielanie insuliny oraz autofagię komórek beta trzustki, co doprowadziło do opracowania testu do wczesniej diagnostyki stanu przedcukrzycowego i cukrzycy typu 2. Instytut Nenckiego jest największym pozauniwersyteckim ośrodkiem badań biologicznych w Polsce. Skupia naukowców prowadzących badania w zakresie: neurobiologii, neurofizjologii, biologii i biochemii komórkowej oraz biologii molekularnej. Obecnie pracuje w nim 357 osób, w tym 123 naukowców, 28 profesorów zwyczajnych i 38 doktorów habilitowanych. W instytucie kształci się 168 doktorantów z 9 krajów.



Fot. PAN

Nagroda Heweliusza dla badaczek

GDAŃSK Prof. Ewa Łojkowska (z lewej) oraz prof. Małgorzata Omilanowska-Kiljańczyk zostały laureatkami Nagród Naukowych Miasta Gdańska im. Jana Heweliusza. Jeszcze nigdy w 34-letniej historii nagrody nie zdarzyło się, by w jednym roku wyróżnione zostały dwie kobiety. Nagrodzona w kategorii nauk przyrodniczych i ści-



Fot. UG

słych prof. Łojkowska kieruje Zakładem Ochrony i Biotechnologii Roślin oraz Laboratorium Badawczo-Wdrożeniowym na Międzyuczelnianym Wydziale Uniwersytetu Gdańskiego i Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego. Uhonorowano ją za osiągnięcia dotyczące badań fitopatologicznych, w szczególności poznanie i opisanie pełnej puli genetycznej patogenów roślin z gatunków *Dickeya solani* i *Pectobacterium parmentieri*, opracowanie testów molekularnych pozwalających na ich efektywne wykrywanie i identyfikację oraz opracowanie innowacyjnych metod ochrony roślin przed tymi patogenami. Laur w dziedzinie nauk humanistycznych i społecznych trafił w ręce prof. Małgorzaty Omilanowskiej-Kiljańczyk za wybitne dokonania w kraju i za granicą w zakresie nauk o sztuce. Laureatka specjalizuje się w problemach architektury XIX, XX i XXI wieku, przede wszystkim Warszawy, Gdańska i regionu pobrzeża Bałtyku, a także dziejów ochrony zabytków i życia artystycznego. Każda z badaczek otrzymała nagrodę w wysokości 20 tys. zł.

Szykują nowe szyldy

POLSKA Dziesięć publicznych uczelni zawodowych zmieni w tym roku swoje nazwy. Staną się akademiami nauk stosowanych. To efekt nowelizacji ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce, która weszła w życie we wrześniu ub.r. Od 1 marca nowe szyldy pojawiają się na fasadach wyższych szkół zawodowych w Białej Podlaskiej, Pile, Łomży, Elblągu, Koninie i Tarnowie. Kolejne trzy zmieniają swoje nazwy po wakacjach: we Włocławku (1 września), Wałbrzychu i Skierniewicach (1 października). Status akademii uzyskały już wcześniej niepubliczne uczelnie zawodowe, m.in. Wyższa Szkoła Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu oraz Wyższa Szkoła Społeczno-Przyrodnicza im. Wincentego Pola w Lublinie.

Na trzynastym miejscu

BRUKSELA Ponad 5 mln euro pozyskali dotychczas polscy beneficjenci z programu Horyzont Europa. Największy w historii Unii Europejskiej program wspierający badania naukowe i innowacje ruszył w ub.r. Jego budżet na lata 2021–2027 wynosi ponad 95 mld euro. Z udostępnionych przez Komisję Europejską danych wynika, że w pierwszych 23 konkursach o środki ubiegało się 2958 podmiotów z 88 państw. Złożono w sumie 951 wniosków, z których 86 – na łączną kwotę 575,12 mln euro – zostało zakwalifikowanych do dofinansowania. Jedenaście z tych przedsięwzięć (12,79% ogólnej liczby) realizuje 12 instytucji z Polski (2,33% podmiotów z UE). Łączna ich wartość to 5,11 mln euro (1,01% kwoty dofinansowania projektów UE), co plasuje nasz kraj na 13 miejscu wśród beneficjentów z UE. Liderem jest Belgia – 195 mln euro. Najwięcej środków w Polsce otrzymały dotąd Narodowe Centrum Badań i Rozwoju (2,3 mln euro), Narodowe Centrum Nauki (688 tys. euro) i Politechnika Śląska (686 tys. euro).

Prawnicy w nowej siedzibie

KIELCE Wydział Prawa i Nauk Społecznych Uniwersytetu Jana Kochanowskiego ma nową siedzibę. W połowie kwietnia do użytku zostanie oddany obiekt nawiązujący architektonicznie do stojącego obok Centrum Przedsiębiorczości i Biznesu. Gmach o powierzchni 3149 m² ma trzy kondygnacje nadziemne przykryte płaskim dachem. Zastąpił dawny kontenerowiec, który znacząco odbiegał od wyglądu pozostałych budynków na kampusie UJK. W środku znajdują się sale: konferencyjna, wykładowe na 240, 120 i 100 osób, komputerowe i dydaktyczne. Jedno z pomieszczeń przypomina wyglądem salę sądową – studenci będą się tam przy-



Fot. UJK

gotowywali do ról sędziowskich czy adwokackich. Zaplanowano również przestrzeń rekreacyjną. Całość została wykończona w nowoczesnym standardzie. Obiekt spełnia wymagania dla osób z niepełnosprawnością. Inwestycja pochłonęła około 30 mln zł, z czego 2/3 przekazało Ministerstwo Edukacji i Nauki.

Za rok nowa hala

WAŁBRZYCH Infrastruktura Państwowej Uczelni Angelusa Silesiusa powiększy się o nowoczesną halę sportową, która stanie przy ul. Południowej, w bezpośrednim sąsiedztwie głównej siedziby uczelni. Centrum sportowo-dydaktyczne o powierzchni blisko 3,5 tys. m² pomieści pełnowymiarowe boisko do siatkówki, piłki ręcznej i koszykówki. Przewi-

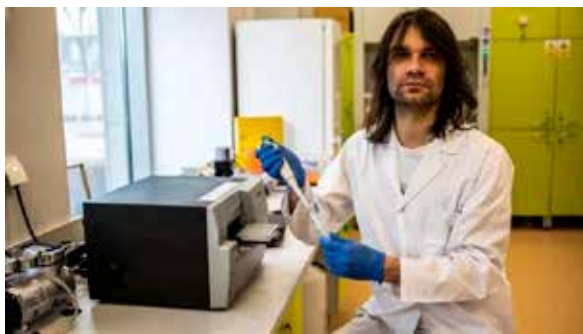


Fot. PUAS

dziano także trybuny dla ponad 300 widzów. Oprócz tego będzie można korzystać z siłowni i sali do gry w squasha. Poza zajęciami sportowymi i uczelnianymi rozgrywkami obiekt posłuży do dydaktyki – ponad 600 m² powierzchni zajmą sale ćwiczeniowo-wykładowe. Budynek zaprojektowano w sposób przyjazny dla środowiska, zaplanowano m.in. panele słoneczne i zbiornik przeciwpożarowy na deszczówkę, z którego woda będzie wykorzystywana również do podlewania zieleni. W PUAS kształci się obecnie prawie tysiąc studentów.

Z ambasadora na dyrektora

POZNAŃ Dr hab. Piotr Rzymiski z Zakładu Medycyny Środowiskowej na Wydziale Medycznym Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu został wybrany na dyrektora naukowego międzynarodowej sieci USERN. Zrzesza ona ponad 18 tys. naukowców ze 120 krajów. Universal Scientific Education and Research Network powstała w 2016 r. z inicjatywy prof. Nima Rezaei, wybitnego irańskiego immunologa. Jej rolą jest tworzenie płasz-



Fot. Archiwum

czyzny do uprawiania i popularyzowania nauki ponad barierami kulturowymi i politycznymi (science beyond borders). Jednym z zadań koordynowanych przez Rzymskiego w ub.r. było zwiększanie dostępu do rzetelnych informacji na temat COVID-19 i szczepień w krajach rozwijających się i ubogich. W tym celu dokumenty wypracowane w ramach polskiej inicjatywy „Nauka przeciw pandemii” tłumaczone były na język angielski, rosyjski oraz perski. Władze USERN doceniły również jego naukową aktywność, przyznając mu tytuł Najlepszego Młodego Ambasadora Nauki. Za zaangażowanie w trakcie pandemii koronawirusa otrzymał także nagrodę główną w konkursie Popularyzator Nauki organizowanym przez serwis Polskiej Agencji Prasowej Nauka w Polsce.

Narodowe Centrum AI

POZNAŃ Utworzenie Narodowego Centrum Sztucznej Inteligencji i Cyberbezpieczeństwa było głównym tematem spotkania, które odbyło się w siedzibie resortu nauki. Jednostka powstanie przy Poli-

technice Poznańskiej. Jej celem będzie rozwój potencjału polskiego środowiska akademickiego oraz innych instytucji publicznych w zakresie AI i Cyber Security. Centrum ma łączyć ośrodki naukowe i badawczo-rozwojowe zajmujące się tworzeniem rozwiązań AI w medycynie, bezpieczeństwie, inżynierii, analityce ekonomicznej, przemyśle, handlu, usługach. Jedną z pierwszych inicjatyw będzie zakup komputera kwantowego (którego wartość wynosi około 250 mln zł), co pozwoli przyciągnąć badaczy z zagranicy. Minister Przemysław Czarnek zapowiedział utworzenie programu na rzecz badań aplikacyjnych w zakresie cyberbezpieczeństwa i sztucznej inteligencji.

Tysiące mózgów w sieci

WARSZAWA Największy na świecie zbiór skanów preparatów ludzkich mózgów udostępnił Instytut Psychiatrii i Neurologii w Warszawie. Dzięki platformie Digital Brain lekarze, naukowcy różnych specjalności oraz studenci mają łatwy dostęp do materiałów naukowo-dydaktycznych w postaci danych medycznych wielu chorób. Kolekcja, którą pół wieku temu zaczęła tworzyć prof. Ewa Osatowska, obejmuje fragmenty mózgow utrwalonych w zbuforowanym roztworze formaliny, a także bloczki parafinowe, preparaty histologiczne i immunohistochemiczne oraz protokoły neuropatologiczne z kilkudziesięciu jednostek chorobowych. Zgromadzono dotąd 5 tys. fragmentów mózgu po sekcji neuropatologicznej i 50 tys. bloczków parafinowych. W cyfrowym archiwum można oglądać na wielu przykładach zmiany fizjologiczne w mózgu występujące w schorzeniach takich jak choroba Huntingtona, choroba



Fot. Polska Cyfrowa

Creutzfeldta-Jakoba, choroba Alzheimera, zespół Downa. Wystarczy kliknąć: <https://digitalbrain.ipin.edu.pl/>.

Platforma do egzaminów

WARSZAWA Warszawski Uniwersytet Medyczny, jako lider, wraz z pięcioma uczelniami z Francji, Belgii, Słowenii, Włoch i Niemiec tworzy wspólną platformę egzaminów OSCE (Objective Structured Clinical Examination).



Fot. CSM WUM

Służą one weryfikacji umiejętności praktycznych studentów kształcących się w zakresie nauk medycznych i nauk o zdrowiu. Egzaminowani muszą wykazać, że nabili takie kompetencje, jak zbieranie wywiadu, przeprowadzanie badania fizykalnego, rozwiązywanie dylematów etycznych w sytuacjach klinicznych. Sprawdzane są także ich

umiejętności komunikacji i interpretacji danych. Ocenie podlega również monitorowanie przez nich czynności życiowych i wykonywanie czynności higienicznych u pacjenta. Przygotowaniu studentów farmacji, medycyny czy stomatologii do egzaminów OSCE służyć będzie powstająca platforma DOMINOS. Każda z uczelni partnerskich będzie miała do niej dostęp w dwóch językach: angielskim i narodowym. Projekt otrzymał dofinansowanie w wysokości prawie 290 tys. euro z unijnego programu Erasmus+.

Elektryczna „Zośka”

KOSZALIN Pojazd o napędzie elektrycznym wzbogacił bazę dydaktyczną Wydziału Mechanicznego Politechniki Koszalińskiej. Studenci kształcący się na kierunku transport (zwłaszcza o specjalności elektromobilności)



Fot. Adam Paczkowski

będą mogli w praktyczny sposób zdobyć doświadczenie w zakresie eksploatacji auta z silnikiem elektrycznym. Nowo zakupione Renault Zoe, pieszczotliwie zwane „Zośką”, jest dopuszczone do ruchu drogowego. Dzięki temu istnieje możliwość prowadzenia badań naukowych w zakresie efektywności napędów elektrycznych w różnych warunkach drogowych. Wraz z autem uczelnia pozyskała stację ładowania, która daje możliwość wykorzystania odnawialnych źródeł energii. Łączny koszt zakupu samochodu i stacji ładowania wyniósł 60 tys. zł.

Łukasiewicz ze wsparciem dla CPK

WARSZAWA Wsparcie podczas projektowania i budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego zakłada umowa, jaką spółka podpisała z Siecią Badawczą Łukasiewicz. Na potrzeby inwestycji lotniskowych, kolejowych czy budowy aerotropolis powstaną w placówkach Łukasiewicza innowacyjne rozwiązania techniczne i technologiczne. Sieć ma pełnić funkcję zaplecza B+R dla CPK. Współpraca obu podmiotów zakłada wykorzystanie potencjału badawczego Łukasiewicza w tak perspektywicznych obszarach, jak inteligentna infrastruktura logistyczna, nowoczesne materiały budowlane i konstrukcyjne czy systemy zarządzania informacją o zagrożeniach w transporcie lądowym i powietrznym. Jak wynika z raportu firmy analitycznej Kearney, do 2040 r. inwestycje związane z CPK wygenerują łącznie ok. 290 tys. nowych miejsc pracy, 780 mld zł wartości dodanej i prawie bilion zł wzrostu produkcji. Centralny Port Komunikacyjny, to planowany węzeł przesiadkowy, zlokalizowany między Warszawą a Łodzią, który zintegruje transport lotniczy, kolejowy i drogowy.

Na czele Towarzystwa

WARSZAWA Dr hab. Witold Płotka z Katedry Historii Filozofii w Instytucie Filozofii na Wydziale Filozofii Chrześcijańskiej Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego został wybrany na przewodniczącego Central and East European Society for Phenomenology. CEESP skupia badaczy z ponad 20 krajów. Podstawowym zadaniem Towarzystwa jest koordynacja serii konferencji naukowych, które do tej pory odbyły się w Budapeszcie (2015), Gdańsku (2016), Rydze (2017), Kownie (2018), Bukareszcie (2019) i Lublanie (2021, w formule zdalnej). Naukowcy z 39 krajów zaprezentowali podczas konferencji łącznie 331 referatów. Celem organizacji jest także rozwój i promocja fenomenologii jako istotnego elementu



Fot. UKSW

współczesnej filozofii kształtującego się w dyskusji z innymi kierunkami filozofii i nauki oraz podejmującego refleksję nad problemami, z którymi mierzy się dzisiaj człowiek. Nowy przewodniczący specjalizuje się w fenomenologii oraz historii filozofii, bada współczesne zastosowania fenomenologii i jej przeformułowania oraz historię ruchu fenomenologicznego w Polsce w kontekście filozofii europejskiej.

Wsparcie dla badaczy i klinicystów

GDAŃSK Naukowcy z Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego stworzyli oprogramowanie do gromadzenia, zarządzania i przetwarzania danych o pacjentach, dawkach i materiale biologicznym, jak również zarządzania całymi kolekcjami biologicznymi i ich składowaniem. Bezpłatne narzędzie, dostępne pod adresem <https://bio3p.gumed.edu.pl>, może być wsparciem dla badaczy i klinicystów prowadzących projekty



Fot. P. Sudała

naukowe, biorepozytoria czy biobanki. Doskonale sprawdzi się jako system do współpracy rozproszonych geograficznie jednostek kolekcjonujących dane. Aby korzystać z systemu, wystarczy przeglądarka internetowa. Moduł wizualizacji i analizy danych pozwala na integrację z danymi obrazowymi, ich regionizację i tagowanie, a także tworzenie wykresów na podstawie danych znajdujących się w systemie. Nad oprogramowaniem pracowali członkowie Międzynarodowej Agencji Badawczej – Laboratorium Medycyny 3P. To wspólna specjalistyczna jednostka badawcza GUMed i Uniwersytetu w Uppsali (Szwecja).

10 mln zł dla sportowców z indeksem

WARSZAWA Rekordową sumę 10 mln zł przeznaczyło Ministerstwo Edukacji i Nauki dla beneficjentów III edycji programu Narodowa Reprezentacja Akademicka. Studenci, którzy realizują jednocześnie karierę sportową,



będą mieli sfinansowane indywidualne dodatkowe zajęcia na uczelni. Do tej pory z programu skorzystało ponad 900 studentów. W premierowej odsłonie wsparciem objęto 414 studentów z 42 uczelni. Na ten cel przeznaczono wówczas 7,1 mln zł. W drugiej edycji na organizację zajęć dla 502 studentów z 37 uczelni wyasygnowano ok. 9,5 mln zł. Środki są przeznaczone dla uczelni publicznych i niepublicznych, które kształcą mini-

mum 200 studentów studiów stacjonarnych, w tym studentów-zawodników szkolenia olimpijskiego, medalistów igrzysk olimpijskich, igrzysk europejskich, mistrzostw świata seniorów i mistrzostw Europy seniorów, uniwersjad i akademickich mistrzostw świata oraz studentów-sportowców z niepełnosprawnościami, w tym osoby niedosłyszące, a także studentów-sportowców posiadających klasy sportowe: mistrzowską międzynarodową (MM) i mistrzowską (M). Nabór do tegorocznej edycji trwa do 21 lutego. Wyniki poznamy w marcu.

Doktorat h.c. – prof. Henryk Podbielski

POZNAŃ/LUBLIN Jeden z najbardziej znanych i cenionych hellenistów w Polsce, od 1963 roku związany z Katolickim Uniwersytem Lubelskim Jana Pawła II, otrzymał 7 lutego tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Jest uczynionym o uznanej pozycji w światowym środowisku filologów klasycznych i historyków filozofii. Wykładał na uniwersytetach w Leuven, w Louvain-la-Neuve, Amsterdamie, Nijmegen, Eichstätt, Heidelbergu, Paryżu, Mediolanie i Rzymie. W latach 2002–2005 stał na czele Instytutu Filologii Klasycznej KUL. Kierował projektem badawczym „Literatura Grecji starożytnej”, w którym brało udział 26 polskich hellenistów. Rezultatem ich prac jest olbrzymia synteza literatury greckiej (wydana przez KUL w 2005 roku), obejmująca całość jej dziejów, od Homera (VIII w. przed Chr.) po Nonnosą (V w. po Chr.). W latach 1975–2010 zasiadał w Komitecie Nauk o Kulturze Antycznej PAN, a od 2004 r. jest członkiem korespondentem Polskiej Akademii Umiejętności.



Fot. Adrian Wykrota

Gwiazdy i najlepsi studenci

WARSZAWA Prof. Lauritz Holm-Nielsen, były rektor Uniwersytetu Aarhus (Dania), przewodniczący międzynarodowego zespołu ekspertów, który w 2019 r. dokonał wyboru uczelni w konkursie IDUB, został uhonorowany specjalną nagrodą „Distinguished Star” przyznawaną przez „Perspektywę” w ramach programu „Study in Poland”. Gwiazdami Umiejętności zostały: prof. Janusz Szmyd (Akademia Górniczo-Hutnicza), dr hab. Rafał Witkowski (Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu), prof. Łukasz Sułkowski (Uniwersytet Jagielloński), dr Mariusz Sagan (Urząd Miasta Lublin), Liliana Lato (Uniwersytet Łódzki), Monika Wysocka (Akademia Marynarki Wojennej w Gdyni). Poznaliśmy także laureatów konkursu INTERSTUDENT: studia lic. – Karen Nyakato Kyabega z Tanzanii (III rok Undergraduate Programme in International Relations na UW), studia mgr – Maksym Shcherbyuk z Ukrainy (absolwent Szkoły Języka i Kultury Polskiej oraz Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Śląskiego), doktorat – Peliyagodage Chathura Dineth Perera ze Sri Lanki (Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu). Nagroda specjalna dla Yiyu Chen z Chin (IV rok prawa na Wydziale Prawa i Administracji UJ). Nagrody zostaną wręczone podczas konferencji „Studenci zagraniczni w Polsce 2022”, której gospodarzem pod koniec marca będzie UPWr.

Opracował Mariusz Karwowski

Współpraca: Piotr Burda, Marcin Czyżniewski, Katarzyna Dominiak, Artur Dziekański, Agnieszka Kowalska, Agnieszka Książkiewicz, Anna Modzelewska, Magdalena Nieczuja-Goniszewska, Jolanta Szajbe, Joanna Śliwińska, Katarzyna Uczkiewicz, Marta Wojtach

Wykorzystano serwisy prasowe szkół wyższych, placówek badawczych i instytucji otoczenia nauki.

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej

www.forumakademickie.pl

oraz na naszych profilach na Facebooku

i na Twitterze



Budżet na spokojne funkcjonowanie

Min. Wojciech Murdzek, sekretarz stanu w Ministerstwie Edukacji i Nauki, przedstawia uwagi do budżetu nauki i szkolnictwa wyższego w roku 2022.

Budżet szkolnictwa wyższego jest zawsze tak skonstruowany, że istotne są wydatki, bo strona dochodowa pozostaje właściwie symboliczna. Mamy w tym roku ponad 1,5 miliarda złotych więcej w stosunku do ubiegłego, co oznacza prawie 5,9% wzrostu. Cały budżet nauki i szkolnictwa wyższego opiewa na 27 mld 989 mln zł, z czego 15 mld 149 mln zł to środki przeznaczone na subwencję, która zgodnie z ustawą jest dzielona za pomocą algorytmu uwzględniającego kilka czynników. Należy pamiętać o laureatach konkursu IDUB, którzy z tego tytułu dostają dodatkowe 10% do subwencji, a kolejnych dziesięciu uczestników konkursu dodatkowe 2%. Jest też osobny system przeliczeń dla wyższych szkół zawodowych.

Jednak w obliczu pandemii stanęliśmy wobec pewnych ograniczeń. Doszło do pewnego spłaszczenia przy podziale środków budżetowych między podmioty. Kierowaliśmy się zasadą, że jeśli mniejszym uczelniom, obracającym stosunkowo niedużymi środkami, odmówimy pomocy w tych trudnych czasach, to może być to dla nich katastrofa, wręcz zagrożenie dla normalnego funkcjonowania. Większy, rezygnując z niektórych rzeczy, poradzą sobie. Z pełną świadomością i zrozumieniem środowiska został zastosowany mechanizm równego wzrostu nakładów, zamiast bezpośredniego zastosowania algorytmu, który bardziej różnicował uczelnie. Ten mechanizm równego wzrostu o 1,5-2% już stosowany w ostatnich dwóch latach i w tym roku kontynuujemy go przy podziale subwencji. Laureaci IDUB otrzymają, podobnie jak w poprzednich latach, dodatek do subwencji w postaci obligacji. Mechanizmy prokościowe, które teraz są trochę przymrożone, wrócą w przyszłym roku. Będziemy już wówczas mieli obraz nauki i szkolnictwa wyższego wynikający z trwającej ewaluacji.

O ile subwencja wzrasta nieznacznie, to inne pozycje przekraczają wyraźnie poziom inflacji. Pomimo trudnych czasów mam kilka dobrych wiadomości. I tak, w zakresie dotacji na wydatki bieżące budżet NCN wyniesie 1 434 mln złotych, co oznacza wzrost o 12% w stosunku do ubiegłego roku, natomiast NCBR otrzyma z budżetu państwa 1 006 mln, czyli nominalnie o 12,8% więcej niż poprzednio. Warto zwrócić uwagę na subwencję dla Sieci Badawczej Łukasiewicz – tu nominalny wzrost wynosi 44,9%, co oznacza dodatkowo 380 mln złotych. I wreszcie budżet NAWA wzrośnie o 38,3%, co daje 166 mln złotych. Są jeszcze środki na stypendia, kredyty studenckie, organizacje studenckie i podobne sprawy – łącznie na realizację tych zadań przeznaczamy 2 mld 397 mln zł. Na programy i przedsięwzięcia ministra przeznaczyliśmy 450 milionów, co pozwoli je sfinansować na przyzwoitym poziomie. Pomniejsze kwoty dotyczą np. Centrum Nauki Kopernik, które dostanie o 30% więcej, i Narodowe Muzeum Techniki. Chcemy kontynuować program SOWA i małe centra nauki. No i są jeszcze wydatki majątkowe, na które zapisaliśmy 681 mln zł. Chodzi głównie o zadania inwestycyjne na uczelniach i innych podmiotach, czyli np. wydatki Centrum Nauki Kopernik, które dostanie 48 mln zł na budowę małych centrów Kopernik. Staramy się, żeby nie ucierpiało żadne z przedsięwzięć wpisanych na mapę drogową aparatury badawczej. Zapewniamy zatem środki na dotychczasowe zadania.

Czekamy na uruchomienie Krajowego Programu Odbudowy – nie są to środki budżetowe. Przewidziano w nim 350 mln euro na rozwój

infrastruktury badawczej w obszarach istotnych dla państwa: cyfryzacja, zdrowie czy energia. Z nadzieją patrzymy na program Horyzont Europa. Musimy być jeszcze aktywniejsi. Mamy tu dwa poziomy zainteresowania. Pierwszy to liczba grantów, w których uczestniczymy – jest całkiem niezłe, gdyż jesteśmy odrobinę poniżej średniej starszych krajów unijnych i powyżej średniej nowych krajów. Druga sprawa to wielkość tych projektów mierzona nakładami, kwotami. Szukamy

metod uzyskania znacznie wyższych udziałów w obecnym programie ramowym. Jedną z nich jest rozbudowywanie naszych kontaktów międzynarodowych. Nasza aktywność w systemie uniwersytetów europejskich jest tu na pewno ciekawym i obiecującym rozwiązaniem. To się przekłada na większą rozpoznawalność polskich naukowców i jestem przekonany, że tym sposobem podniesiemy efektywność zarówno pod względem liczby, jak i wartości naszego udziału w Horyzoncie Europa. Trzeba pamiętać, że dysponujemy też środkami z końcówek projektów. Tu jedna ilustracja: NCBR wg naszych przewidywań będzie zarządzał kwotą 7 mld 777 mln zł. To istotne środki przeznaczone na badania i rozwój, którego beneficjentami są zarówno jednostki naukowe, jak i przedsiębiorcy.

Z budżetu środków europejskich na szkolnictwo wyższe i naukę w budżecie ministerstwa jest łącznie 4 mld 930 mln zł na finansowanie programów operacyjnych: Inteligentny Rozwój – 3 mld 949 mln zł, Wiedza Edukacja Rozwój – 929 mln zł, Polska Cyfrowa – 1 mln zł, a także na projekty realizowane w ramach programów UE współfinansowane ze środków zagranicznych niepodlegających zwrotowi 51 mln zł. Większość tych środków, bo aż 4 mld 788 mln zł, znajduje się w dyspozycji NCBR, a pozostałe 142 mln zł będą wydatkowane przez ministerstwo.

Oprócz środków w budżecie MEiN pieniądze na naukę i szkolnictwo wyższe zapisane są w budżetach innych resortów: Zdrowia, Obrony Narodowej, Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Spraw Wewnętrznych i Administracji, Sprawiedliwości oraz Gospodarki Morskiej.

Pamiętamy, że w wyniku ubiegłorocznej nowelizacji budżetu państwa udało się pozyskać na rzecz nauki dodatkowy miliard złotych, z czego 900 milionów przeznaczono na inwestycje w szkolnictwie wyższym, a 100 milionów na Sieć Badawczą Łukasiewicz. Instytuty Sieci uruchomiły dodatkowe 70 milionów własnych środków, a równocześnie ocenia się, że przełożenie tych inwestycji na rynek oznacza 2 miliardy złotych. Powyższe dowodzi, że inwestycje w naukę stanowią istotny priorytet dla rządu, gdyż mają pozytywny wpływ na rozwój całej gospodarki. Cieszę się, że KRASP, Rada Główna mówią w tym wypadku jednym głosem: że nakłady na naukę to inwestowanie, a nie wydatki w sensie ścisłym. Rozmawiałem z przedstawicielami centrów komputerowych dużej mocy. Okazuje się, że każdy dolar zainwestowany w podniesienie ich mocy przynosi wielokrotnie więcej zwrotu. Mamy 5 takich centrów i szóste w NCBJ. W Łukasiewiczu w 2020 r. liczyliśmy, że złotówka subwencji dawała średnio 6 zł dla gospodarki. Teza, że inwestując złotówkę w badania i rozwój, dostajesz 6 zł zwrotu, brzmi intrygująco, zwłaszcza gdy jest poparta obliczeniami, jak we wspomnianym przypadku. Oczywiście to kwestia metodologii wyliczenia, jednak trudno ją odrzucić w całości. Piotr Dardziński (szef Sieci Łukasie-



Fot. Piotr Kieraciński

wicz) mówił mi, że nad metodologią tego wyliczenia pracowali ponad miesiąc. Nawet jeśli znajdziemy jakieś błędy i uznamy, że to tylko 4 zł zwrotu, to nadal jest to coś niezwykłego. Nauki nie utrzymujemy, to nie wydatek, koszt, ale inwestycja. Musimy znaleźć metodologię liczenia i sposób pokazania tego politykom i społeczeństwu.

Trzeba pamiętać, że polska nauka ma całkiem dobrą pozycję w świecie, nie mamy się czego wstydić. Najlepsze dyscypliny są w pierwszej dwudziestce, czyli na lepszych pozycjach niż gospodarka. A wyniki te osiągamy stosunkowo tanim kosztem, czyli przy pomocy niewielkich nakładów. Zespół naukowców z Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach chce zbadać efektywność polskiej nauki.

Wzrost o 5,9% to mniej niż inflacja, ale pamiętajmy, że budżet konstruowano jeszcze przed pojawieniem się zjawisk wynikających ze wzrostu cen energii. Pół roku temu ten plan finansowy wyglądał na rozwojowy, a co najmniej solidnie stabilizujący sytuację. Jednak dziś jest całkiem inaczej. Staramy się chronić instytuty i uczelnie przed wzrostami cen gazu, ale na pewno nie zapewnimy wzrostu powyżej aktualnej inflacji.

Padły kiedyś deklaracje, ile procent PKB wydamy na naukę za 5 czy 10 lat. Dziś w kraju nie mamy takich planów, ale celem dalekosiężnym Unii Europejskiej jest poziom 3% na B+R. Tu jest kwestia metodologii liczenia tego wskaźnika. Dzisiaj są tacy, którzy przekraczają ten

poziom, ale i tacy, którzy cieszą się, że doszli do poziomu 1% z 0,6%. U nas te nakłady wynoszą ostatnio 1,3%, ale zwracam uwagę, że to łączne nakłady budżetu i gospodarki. Do celu daleka droga. Mamy go przed oczami, lecz rzeczywistość jest, jaka jest.

Ten budżet nie gwarantuje środków na podwyżki. Dyskutujemy o pewnym ich modelu, jednak nie planujemy odchodzić od powiązania minimalnych wynagrodzeń poszczególnych grup nauczycieli akademickich z minimalnym wynagrodzeniem profesora. Mamy też kwestię poruszania się w systemie grantowym: jedni naukowcy są w tym znakomici i mają wysokie dodatki do płacy za realizację projektów naukowych czy edukacyjnych, inni pracują bez grantów, ale przecież prowadzą badania i dydaktykę za swoje podstawowe płace. Skąd teraz wziąć środki na realizację wspomnianego, i generalnie słusznego, postulatu podwyżek, co oznaczałoby przy założeniu podwyżek np. na 7% poziomie roczny koszt w wysokości ok. 1 mld 50 mln zł? Zwykle o jakichś rezerwach w budżecie możemy mówić w połowie jego realizacji. W związku z tym jedyna deklaracja, jaka może dzisiaj paść, jest taka, że cały czas monitorujemy sytuację i gdy tylko zobaczymy jakieś wolne środki, będziemy starali się zdobyć je na ten właśnie cel. Natomiast z całą pewnością chcemy środki na podwyżki zapewnić w budżecie na rok 2023.

Notował Piotr Kieraciński

Zahibernowany budżet

Prof. Stanisław Mazur, rektor Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie i przewodniczący Komisji Ekonomicznej KRASP, mówi o budżetowych problemach uczelni.

Przedstawiony budżet szkolnictwa wyższego i nauki w wysokości niecałych 28 miliardów złotych – co oznacza wzrost nominalny o niecałe 6% i nawet nie rekompensuje skutków inflacji – jest niewystarczający. Przyszedł czas zamrożenia czy hibernacji polityki finansowania sektora nauki i szkolnictwa wyższego.

Publiczne szkolnictwo wyższe odczuło już konsekwencje ostatnich zmian na rynku energii i w podatkach. Przeprowadziliśmy ankietę wśród uczelni publicznych zrzeszonych w KRASP na temat stanu ich wydatków w styczniu. Chodzi o trzy zmiany: płacę minimalną, która wzrosła i musieliśmy się do tego dostosować; wzrost cen gazu i energii elektrycznej oraz zmiany podatkowe zapisane w Polskim Ładzie. Szacunki z uczelni wskazują, że tylko te trzy czynniki spowodują w 2022 roku wzrost kosztów działania uczelni publicznych



o około 600 milionów złotych. Będziemy dalej obserwować tę sytuację i wpływ wprowadzanych rozwiązań osłonowych na nasze wydatki.

To będzie dla nas bardzo trudny rok. Wciąż bazujemy na poziomie subwencji z 2019 roku, co przy takim poziomie inflacji oznacza pauperyzację środowiska. Gdy wprowadzano Ustawę 2.0, zawarliśmy umowę, że środki na wynagrodzenia w ciągu trzech lat wzrosną o 30%. Te ustalenia zostały zrealizowane tylko częściowo, bowiem płace wzrosły o 7% w roku 2019 i o kolejne 6 w 2020, co daje łącznie nieco ponad 13%. Do tych uzgodnionych 30% jeszcze daleko. Ten fakt przywołują teraz związki zawodowe. Nastroje w środowisku są dość radykalne. Mamy problem z naborem nowych pracowników, którzy za oferowane pieniądze nie chcą podjąć pracy w uczelniach.

Notował Piotr Kieraciński

W innych resortach

Oprócz środków na szkolnictwo wyższe i naukę w budżecie Ministerstwa Edukacji i Nauki, 4 mld 373 mln zł na finansowanie tego rodzaju działalności znajduje się w 7 innych ministerstwach: Zdrowia, Obrony Narodowej, Spraw Wewnętrznych i Administracji, Infrastruktury, Sprawiedliwości, Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Rozwoju i Technologii. **Minister zdrowia** dysponuje kwotą 2 mld 237,2 mln zł na subwencje dla 9 uniwersytetów medycznych i Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego. **MKiDN** kwotą 872,1 mln zł subwencionuje 19 uczelni artystycznych. **MON** przeznaczy 791,7 mln zł na subwencje dla 5 uczelni wojskowych. **MI** ma

206,9 mln zł, z czego na subwencje dla uczelni morskich w Gdyni i Szczecinie 182,9 mln zł, a na finansowanie kształcenia personelu lotnictwa cywilnego w różnych uczelniach – 24 mln zł. **MSWiA** ma w budżecie 134,8 mln zł na subwencje dla WSSP i WSP oraz dotację dla ChAT. We wskazanej na początku kwocie mieści się też dotacja dla **PAN** (korporacji, zarządu, a nie instytutów) w wysokości 105,9 mln zł. **MS** dysponuje kwotą 56,9 mln zł na szkolnictwo wyższe i naukę, w tym subwencionuje Wyższą Szkołę Wymiaru Sprawiedliwości kwotą 49,3 mln zł. **MRiT** ma 12,5 mln zł na działalność Polskiej Agencji Kosmicznej. W budżetach kilku ministerstw są też wydzielone środki na działalność badawczo-rozwojową w wysokości 1 mld 383,3 mln zł, z czego aż 1 mld 139,6 mln pozostaje w dyspozycji **MON**. (p)

Zanim zobaczymy nowy pejzaż nauki polskiej

Prof. Błażej Skoczeń, przewodniczący Komisji Ewaluacji Nauki, przedstawia jej działania po zakończeniu raportowania osiągnięć naukowych do systemu POL-on i PBN.

Pierwsza połowa roku 2022 jest czasem ewaluacji i kategoryzacji podmiotów w dyscyplinach nauki. Po pięciu latach pracy w jednostkach podlegających ewaluacji osiągnięcia naukowe zostały zdeponowane w systemie POL-on i PBN. Jest więc solidna podstawa do pobrania z bazy danych tych osiągnięć, które są niezbędne w procesie oceny podmiotów w dyscyplinach nauki.

Prace Komisji w pierwszej połowie bieżącego roku zostaną podzielone na dwa etapy. Pierwszy dotyczy oceny osiągnięć podmiotów w poszczególnych kryteriach ewaluacji. Poprzedzi ją weryfikacja zgodności zgłoszonych osiągnięć z zapisami rozporządzenia w sprawie ewaluacji jakości działalności naukowej. Z uwagi na znaczący odsetek osiągnięć naukowych, które należy poddać szczegółowej ocenie, Komisja zaprosiła do udziału w ewaluacji ekspertów reprezentujących środowisko naukowe i akademickie w Polsce i za granicą. Przeanalizują oni i ocenią zgłoszone osiągnięcia. Korpus ekspertów KEN tworzy obecnie ponad 700 naukowców, którzy wyrazili chęć wzięcia udziału w weryfikacji i ocenie dorobku przed ostateczną ewaluacją podmiotów naukowych. Na apel Komisji odpowiedziało pozytywnie niemal 80% zaproszonych ekspertów, co potwierdza pozytywny odbiór jej działań w środowiskach naukowych i akademickich w Polsce.

W najbliższym czasie Komisja przystąpi do szkolenia ekspertów, które odbędzie się w dniach 7-22 lutego w zespołach reprezentujących poszczególne dyscypliny nauki. Przeprowadzimy 22 szkolenia w grupach dyscyplin oraz specjalne szkolenie dla zespołu oceniającego osiągnięcia niejawne. Odbędzie się one w czasie, kiedy podmioty zajmą się wynikiem działania algorytmu optymalizującego, który dokonuje wyboru osiągnięć naukowych podmiotu w sposób zapewniający uzyskanie maksymalnego wyniku w ocenianej dyscyplinie nauki. W szkoleniach prowadzonych przez członków KEN będą uczestniczyli przedstawiciele Ministerstwa Edukacji i Nauki oraz Ośrodka Przetwarzania Informacji, którzy pomogą w rozstrzygnięciu problemów formalno-prawnych oraz technicznych i infor-

matycznych (system SEDN). Po zakończeniu cyklu szkoleń, eksperci będą gotowi do realizacji zadań przygotowanych w systemie SEDN. W pierwszych dwóch kryteriach eksperci zweryfikują osiągnięcia publikacyjne, patenty oraz projekty badawcze, a w trzecim kryterium dokonają oceny wpływu osiągnięć naukowych na społeczeństwo i gospodarkę. Dzięki ich pracy można będzie z końcem marca podsumować osiągnięcia podmiotów w dyscyplinach nauki w poszczególnych kryteriach ewaluacji. Na tej podstawie Komisja Ewaluacji Nauki utworzy w kwietniu tzw. grupy wspólnej oceny, obejmujące podmioty oceniane w tej samej dyscyplinie nauki, a następnie wyznaczy zestawy wartości referencyjnych dla każdej dyscypliny nauki. Zestaw wartości referencyjnych obejmuje po trzy wartości, odpowiadające kryteriom K1, K2 oraz K3, określone dla trzech kategorii: A, B+ oraz B, w sumie 9 wartości dla każdej dyscypliny nauki. Warto zauważyć, że wartości referencyjne będą wyznaczane z uwzględnieniem osiągnięć podmiotów w danej grupie wspólnej oceny (wewnętrzny układ odniesienia) oraz pozycji Polski w danej dyscyplinie nauki na arenie międzynarodowej, mierzonej za pomocą międzynarodowych baz danych (zewnętrzny układ odniesienia). Opracowany przez Komisję algorytm wyznaczania wartości referencyjnych ma charakter obiektywny, jest wewnętrznie spójny i uniwersalny dla wszystkich dyscyplin nauki.

Po wyznaczeniu dziewięciu wartości referencyjnych w każdej dyscyplinie nauki rozpocznie się drugi etap prac Komisji, czyli kategoryzacja. Obejmuje ona porównanie osiągnięć naukowych, zweryfikowanych i ocenionych przez ekspertów, z wartościami referencyjnymi wyznaczonymi w danej dyscyplinie nauki. W ten sposób w każdej grupie wspólnej oceny nastąpi porównanie osiągnięć podmiotów reprezentujących tę samą dyscyplinę nauki z wartościami referencyjnymi wyznaczonymi dla tej właśnie dyscypliny i wskazanie pozycji podmiotu w stosunku do każdego z trzech progów (A, B+ oraz B). Podmiot, który w wyniku porównania osiągnięć z wartościami referencyjnymi przekroczy dany próg, uzyska kategorię związaną z tym



progiem. Jeśli podmiot nie przekroczy żadnego z nich, uzyska kategorię C. Po zakończeniu tej części kategoryzacji, Komisja będzie mogła wskazać w każdej dyscyplinie nauki pretendenta do kategorii A+. Zgodnie z rozporządzeniem w sprawie ewaluacji jakości działalności naukowej podmiot, który w danej dyscyplinie nauki uzyska w kryterium K1 wynik powyżej wartości progowej ustalonej przez Komisję (ale nie niższej niż 80% najlepszego wyniku osiągniętego w kryterium K1), będzie mógł ubiegać się o kategorię A+. Pretendenci do kategorii A+ będą oceniani przez dwóch ekspertów, w tym jednego pochodzącego ze znaczącego w danej dyscyplinie nauki zagranicznego ośrodka naukowego. Tak więc ocena będzie w pełni ekspercka i będzie miała wymiar międzynarodowy, co pozwoli ją zobiektywizować. Praca nad wyłonieniem podmiotów – pretendenta do kategorii A+ odbędzie się w maju, a eksperci oceniający kandydatów do kategorii A+ przejdą odpowiednie szkolenie. Ostatecznie, po wyto-

nieniu podmiotów zasługujących na kategorię A+, Komisja podejmie uchwałę w sprawie proponowanych kategorii naukowych dla poszczególnych podmiotów w dyscyplinach nauki, w terminie do 15 czerwca br. Ostateczną decyzję, na podstawie zaproponowanych przez Komisję Ewaluacji Nauki kategorii naukowych, podejmie minister nauki.

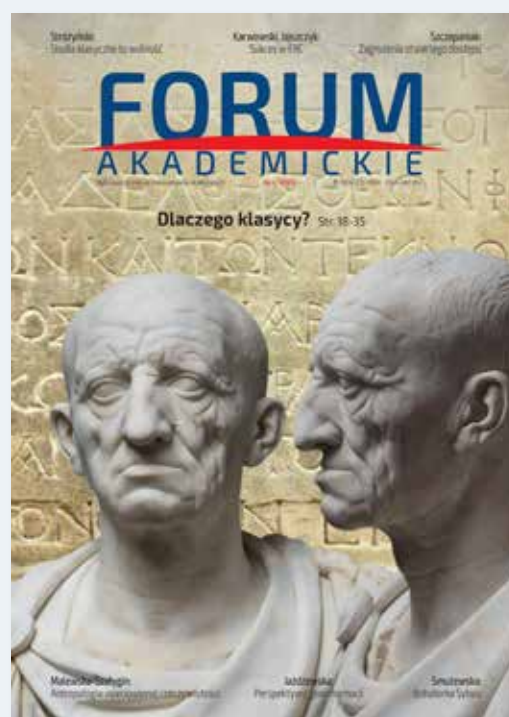
Chciałbym podkreślić kluczową rolę ekspertów w ocenie podmiotów. Wnoszą oni do ewaluacji swoją wiedzę i doświadczenie, a także kompetencje w ocenianej dyscyplinie nauki. Są reprezentantami środowiska naukowego i akademickiego w pracach nad oceną podmiotów i pomogą Komisji w zbudowaniu rzetelnego obrazu polskiej nauki, który wyłoni się z procedury ewaluacji i kategoryzacji. Eksperti wyniosą z prac ewaluacyjnych wiedzę i kompetencje, które pozwolą na poszerzenie zakresu oceny eksperckiej w przyszłych ewaluacjach i kategoryzacjach podmiotów naukowych w Polsce.



Prenumerata „Forum Akademickiego” w 2022 r.

Szanowni Państwo,
Drodzy Czytelnicy i Sympatycy
„Forum Akademickiego”.
Serdecznie zapraszamy do prenumeraty „Forum Akademickiego” w 2022 roku.
Roczna prenumerata dla instytucji będzie kosztowała 230 zł;
prenumerata numerów 1-6: 120 zł, a 7-12: 110 zł.
Prenumeratorom indywidualnym oferujemy specjalną bonifikatę, w związku czym koszt prenumeraty wyniesie 166 za cały rok i 86 zł za pół roku.

Redakcja



Życzenie naturalności

Prof. Arkadiusz Mężyk, rektor Politechniki Śląskiej i przewodniczący KRASP, mówi o nadziei na powrót do kształcenia kontaktowego.

Ministerstwo Edukacji i Nauki na prośbę KRASP zebrało i przekazało rektorom zanonimizowane dane liczbowe dotyczące stanu zaszczepienia w poszczególnych grupach społeczności akademickiej w każdej z uczelni. Potrzebujemy ich w celu podejmowania właściwych decyzji, dotyczących ochrony społeczności akademickiej przed zachorowaniami i doboru odpowiedniej organizacji procesu kształcenia. Uzyskanie tych informacji nie było łatwe ani oczywiste, dlatego też wcześniej prowadziliśmy dobrowolne badania ankietowe w poszczególnych szkołach wyższych. Wyniki takich badań są jednak przybliżone i obciążone pewnymi błędami. Zatem dokładne dane z ministerstwa były i są nam bardzo potrzebne. Ważne jest, aby rektorzy podejmujący decyzje dotyczące zapewnienia bezpieczeństwa sanitarnego wiedzieli, jaki odsetek pracowników uczelni, studentów i doktorantów jest zaszczepionych. Niestety w dalszym ciągu nie wiemy dokładnie, jaki procent zaszczepionych jest w grupie pracowników nie będących nauczycielami akademickimi. Dokładne informacje mamy tylko na temat tych osób, które prowadzą działalność dydaktyczną lub badawczą. Aby określić odsetek zaszczepionych pracowników administracji, musielibyśmy podać numery PESEL swoich pracowników, co nie jest możliwe ze względu na ochronę danych osobowych. Badania ankietowe w uczelniach pokazały jednak, że stopień zaszczepienia w tej grupie jest również dość wysoki. Zatem, choć nie dysponujemy dokładnymi danymi, to mamy przekonanie, że także ta grupa jest zaszczepiona w wyższym stopniu niż pozaakademicka część społeczeństwa – to m.in. wynik oddziaływania na pozostałych pracowników uczelni promocji szczepień wśród nauczycieli i studentów. Dane dotyczące liczby zaszczepionych wymagają jednak bieżącej aktualizacji, gdyż co semestr mamy nowy nabór studentów i wymianę części społeczności akademickiej. W semestrze zimowym jest to głównie nabór na studia pierwszego stopnia i doktorantów, w letnim – rekrutacja na drugi stopień. Część studentów kończy studia i odchodzi z uczelni, przychodzą w ich miejsce nowi.

Zorganizowana przez KRASP struktura monitorowania skutków pandemii w szkołach wyższych dostarcza także informacji dotyczą-

cych sposobu działania poszczególnych uczelni. Piąta fala spowodowała, że znaczna część szkół wyższych przeszła na kształcenie zdalne lub hybrydowe. Różnie podeszły uczelnie do kwestii organizacji zaliczeń i egzaminów. Część zdecydowała się pozostawić formułę kontaktową, a część przeszła na zdalne lub hybrydowe zaliczanie semestru.

Zależy to m.in. od regionu, gdyż różne ośrodki akademickie są w różnym stopniu dotknięte pandemią. Władze uczelni biorą to pod uwagę przy podejmowaniu decyzji o trybie kształcenia i sposobie zaliczania zajęć. W regionach o dużej gęstości zaludnienia, jak np. województwo śląskie, inaczej patrzymy na obostrzenia, niż robią to uczelnie w regionach, gdzie zakażeń jest mniej. Mniejsza gęstość zaludnienia to m.in. mniejsze ryzyko roznoszenia choroby. Przypomnę, że zespół KRASP ds. Covid-19 działa już od 2020 roku. Podczas piątej fali epidemii, ze względu na dużą dynamikę zdarzeń, szesnastu koordynatorów regionalnych spotyka się co tydzień, a dane dotyczące zachorowań w instytucjach szkolnictwa wyższego i nauki przesyłamy dwa razy w tygodniu. Zbieramy m.in. informacje na temat liczby kierunków prowadzonych w trybach zdalnym, stacjonarnym czy hybrydowym.

Zauważamy, że po wprowadzeniu trybu zdalnego w ostatnich tygodniach liczba zakażonych studentów zmalała, co częściowo wynika z faktu, że po prostu nie mamy informacji o tych zakażeniach, bowiem studenci są w domach.

Na Politechnice Śląskiej w ostatnim tygodniu semestru prowadziliśmy zajęcia w trybie zdalnym i hybrydowym, podobnie jak zaliczenia i egzaminy. Natomiast egzaminy dyplomowe czy obrony doktoratów staramy się prowadzić w trybie kontaktowym. Jeżeli recenzenci doktoratów nie mogą przyjechać, wtedy łączą się zdalnie z miejscem posiedzenia komisji. Niektóre uczelnie zamierzają pierwsze dwa tygodnie nowego, letniego semestru prowadzić w trybie zdalnym, a następnie, w miarę napływania optymistycznych wiadomości, powrócą do trybu kontaktowego. Chciałbym, żeby w nadchodzącym semestrze moja uczelnia miała możliwość realizacji kształcenia kontaktowego od początku semestru, czego życzę także pozostałym szkołom wyższym.



Fot. Wojciech Matysiak

Podstawa zarządzania uczelnią w czasie epidemii

W związku z podnoszonymi publicznie wątpliwościami dotyczącymi zakresu oraz legalności pozyskiwania przez Ministerstwo Edukacji i Nauki danych statystycznych o zaszczepieniu poszczególnych grup społeczności akademickiej i przekazywania rektorom informacji o zaszczepieniu poszczególnych grup pracowników ich uczelni, poprosiliśmy o wyjaśnienie tej kwestii Marcina Czaję, dyrektora Departamentu Szkolnictwa Wyższego w MEiN.

Od początku bieżącego roku akademickiego (2021/2022), w związku z pojawiającymi się w przestrzeni publicznej projek-

ty legistycznymi dotyczącymi planowanej możliwości weryfikacji szczepień przez pracodawców, rektorzy polskich uczelni zabie-

gali u ministra edukacji i nauki o wpisanie do tego projektu także uprawnień dla nich do prowadzenia takiej weryfikacji w odniesieniu do studentów i doktorantów. W związku z przedłużającym się procesem legislacyjnym, a także dynamiką zmian sytuacji epidemiologicznej na początku grudnia 2021 r. członkowie prezydium KRASP w trakcie spotkania z ministrem uzyskali akceptację dla propozycji (wcześniej już dyskutowanej z przedstawicielami KRASP na cotygodniowych spotkaniach zespołu koordynującego zbieranie danych epidemicznych w uczelniach), by pozyskać informację statystyczną o poziomie zaszczepienia z Ministerstwa Zdrowia.

Nawiązałem zatem kontakt z Ministerstwem Zdrowia. W trakcie spotkań roboczych i po konsultacjach z ministerialnymi Inspektorami Ochrony Danych (osobowych) oraz Departamentami Prawnymi, ustaliliśmy sposób realizacji zadania oraz zawarliśmy porozumienie o współpracy. Od początku wszyscy uczestnicy tych prac zdawali sobie sprawę z wagi tematu, jak również z możliwej dyskusji po upublicznieniu wyników. Z całą mocą podkreślam, że podjęte działania były legalne, a cały proces został przygotowany tak, żeby na żadnym etapie nie doszło do złamania przepisów, czy to wynikających z Konstytucji RP, czy dotyczących ochrony danych osobowych.

Realizując to zadanie, kierowaliśmy się koniecznością zapewnienia ministrowi informacji, które mogłyby uzasadnić podjęcie decyzji w ramach nadzoru nad systemem szkolnictwa wyższego i nauki (w tym zakresie upoważnienie do przetwarzania danych w systemie POL-on zawarte jest wprost w art. 342 ust. 4 ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce) np. o ograniczeniu działalności uczelni, oraz rektorom danych umożliwiających podjęcie

i uzasadnienie decyzji o sposobie organizacji uczelni po przerwie świąteczno-noworocznej.

Podkreślenia wymaga, że na żadnym etapie realizacji tego przedsięwzięcia zarówno MEiN, jak i OPI nie dysponowały informacjami (danymi) wrażliwymi dotyczącymi jakiegokolwiek osoby z uczelni. Na zlecenie MEiN OPI przekazał z Systemu POL-on do Centrum e-Zdrowie numery PESEL (bez imion i nazwisk) z przypisanymi statusami osób (np. student, pracownik, doktorant) oraz przypisaniem tych osób do konkretnej uczelni.

W odpowiedzi Centrum e-Zdrowie przekazało do OPI informację statystyczną (zawierającą dane, których nie można powiązać ze zidentyfikowaną lub możliwą do zidentyfikowania osobą) dotyczącą poszczególnych uczelni i poziomu zaszczepienia w poszczególnych grupach w tych uczelniach. W związku z tym, że proces trwał dłużej niż zakładano, a dane statystyczne miały posłużyć rektorom do podjęcia decyzji o sposobie działania uczelni

od 10 stycznia 2022 r., w dniu 5 stycznia do wszystkich uczelni w Polsce (na oficjalne adresy e-mail zawarte w systemie POL-on) została przekazana przez OPI informacja statystyczna (tabela) obejmująca dane wszystkich uczelni. Następnie OPI przygotowało informację statystyczną odnoszącą się do ogółu wspomnianych powyżej grup osób w uczelniach w skali kraju.

Porozumienie pomiędzy MEiN i MZ przewiduje, że operacja uzyskiwania informacji o poziomie zaszczepienia w uczelniach będzie przeprowadzana w iteracjach dwutygodniowych. Zatem bieżące dane, odnoszące się do konkretnej uczelni oraz informacja o danych statystycznych w skali kraju będą regularnie przekazywane uczelniom do czasu ustania epidemii.



Fot. Piotr Kieradziński

Trend wzrostowy

Prof. Tomasz Pietrzykowski, prorektor Uniwersytetu Śląskiego i koordynator krajowy KRASP ds. przeciwdziałania skutkom pandemii Covid-19, mówi o trendach w zakresie organizacji kształcenia w ostatnich miesiącach, wynikających z sytuacji epidemiologicznej.

Dzięki bieżącemu monitoringowi sytuacji w środowisku akademickim w skali kraju mamy względnie dokładny obraz trendów i decyzji podejmowanych w trakcie kolejnych fal pandemii. Widać wyraźnie, że o ile przez cały semestr zimowy zdecydowanie dominowało kształcenie hybrydowe, liczba kierunków i zajęć prowadzonych zdalnie zaczęła szybko rosnąć w okresie przedświątecznym, a następnie – ponownie – w drugiej połowie stycznia. Z danych spływających z uczelni wynika, że na początku lutego liczba kierunków prowadzonych zdalnie niemal zrównała się z liczbą prowadzonych w trybie hybrydowym. Na dzień 1 lutego było to odpowiednio 2385 i 1851 kierunków, podczas gdy jeszcze w połowie stycznia liczba kierunków hybrydowych sięgała



Fot. Piotr Kieradziński

3 tysięcy, a w pełni zdalnych nie doszła do tysiąca. Przez cały styczeń szybko rosły także liczby zakażeń pracowników, studentów i doktorantów. Na koniec stycznia liczby zarejestrowanych przypadków zakażeń zarówno wśród pracowników, jak i studentów, przekraczały 3 tys. przypadków tygodniowo. Co interesujące, dane nie wskazują, aby samo przechodzenie uczelni w tryb zdalny wpływało odczuwalnie na wzrosty i spadki liczby zakażeń. Trend wzrostowy rozpoczął się w styczniu już w pierwszym tygodniu, gdy niemal wszędzie trwała jeszcze przerwa świąteczna, a mimo szybkiego przechodzenia w styczniu na kształcenie zdalne spadki zakażeń rozpoczęły się dopiero w lutym, mniej więcej w tym samym momencie i skali, co w całym społeczeństwie.

Szczepionkowe dylematy

„Segregacja sanitarna”, „Stop dyskryminacji”, „Bezprawie” – to tylko wybrane komentarze z setek, jakie pojawiły się w mediach społecznościowych po tym, jak rektor Uniwersytetu Medycznego w Lublinie prof. Wojciech Załuska (na fot. poniżej) zapowiedział, że niezaszczepieni będą pozbawieni możliwości uczestnictwa w niektórych zajęciach.

To nie pierwsza tego typu inicjatywa w środowisku akademickim. Do tej pory na otwarcie drzwi tylko dla zaszczepionych decydowały się m.in. Uczelnia Medyczna im. Marii Skłodowskiej-Curie czy Akademia Teatralna im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie. Podobnie chciał postąpić rektor Akademii Nauk Stosowanych Wincentego Pola, ale po interwencji ministra edukacji i nauki zmienił zdanie.

Władze UM w Lublinie nie zamierzają ulegać presji antyszczepionkowców. „Przypominam, że Minister Zdrowia wprowadził rozporządzeniem obowiązek szczepienia się studentów kierunków medycznych w okresie pandemii. Uczynienie mu zadość stwarza możliwie najlepsze warunki do prowadzenia procesu kształcenia, ograniczając w najwyższym stopniu rozprzestrzenianie zakażeń i zapewniając wzajemną ochronę nie tylko pomiędzy członkami społeczności akademickiej, ale także, co niezmiernie ważne, ochronę pacjentów i pensjonariuszy domów pomocy społecznej, z którymi studenci mają kontakt, realizując nauczanie praktyczne” – napisał rektor w liście do studentów.

Zastrzegł jednocześnie, że po 1 marca osoby bez ważnego certyfikatu szczepienia, aktualnego testu w kierunku SARS-CoV-2 lub zaświadczenia lekarskiego o przeciwwskazaniach do przyjęcia szczepionki, nie będą mogły brać udziału w zajęciach stacjonarnych. Pikanterii całej sprawie dodaje fakt, że według opublikowanych przez nas w poprzednim numerze danych dotyczących poziomu zaszczepienia w środowisku akademickim, studenci UM w Lublinie są jedną z najlepiej wyszczepionych grup w Polsce. Podwójną dawkę przyjęło 5115 z 5730 zaków (89,3%), co daje ósme miejsce w kraju i szóste w zestawieniu uczelni medycznych (po Gdańsku, Poznaniu, Warszawie, Wrocławiu, Łodzi i Katowicach).

W przypadku cudzoziemców, których liczbą szczyt się UML (prawe co 5 student jest obcokrajowcem), odsetek ten wygląda wprawdzie znacznie gorzej (48%), ale pozostali równie dobrze mogli się szczepić w swoich krajach i nie mieli obowiązku zgłaszania tego faktu. Tak czy



Fot. UML

inaczej, reakcja przyszłych medyków na zarządzenie rektora, które – jak wynika z danych OPI PIB – nie spowoduje u zdecydowanej większości z nich żadnych reperkusji, wydaje się przesadna i nieadekwatna do profilu uczelni, w jakiej przyszło im studiować. Dodajmy, że doktoranci UML są zaszczepieni w 91,4%, zaś pracownicy – w 92,1%.

W skali ogólnopolskiej te proporcje rozkładają się zresztą podobnie. Na początku lutego rektorzy otrzymali z MEiN zaktualizowane dane statystyczne na temat zaszczepienia swoich pracowników, doktorantów i studentów. Tym razem każdy rektor otrzymał informację na temat swojej uczelni. Według najnowszych danych (z 2 lutego) najlicz-

niej wyszczepioną grupą są nauczyciele akademicy i badacze (89,6%, lider: Centrum Medyczne Kształcenia Podyplomowego w Warszawie). Nieznacznie ustępują im doktoranci, z których podwójną dawkę przyjęło 85,5% (lider: Uniwersytet Medyczny im. K. Marcinkowskiego w Poznaniu). Najgorzej sytuacja wygląda u studentów (73,5%, lider: GUMed). W każdej z kategorii zanotowano jednak wzrost o ok. 1% w stosunku do wyników opublikowanych na początku stycznia. Oznacza to, że w ciągu trzech tygodni przybyło 39 tys. w pełni zaszczepionych osób. Większość uczelni przynajmniej do końca lutego kontynuuje naukę zdalnie. Z informacji przekazanych przez KRASP wynika, że w końcu stycznia o 800 spadła w ciągu tygodnia liczba kierunków realizowanych w formule hybrydowej (2375), zaś znacząco wzrosła liczba tych prowadzonych online (z 1077 do 1851). Monitoring obejmuje 282 uczelnie.

Konrad Pfeiffer



Fot. UML

Dosypka

Kilka polskich czasopism zostało niedawno uhonorowanych znacznym zwiększeniem punktacji. Jedno z nich doniosło na swojej stronie internetowej, że obecnie będzie publikować tylko teksty o charakterze naukowym i nie będą mogły być „kopiowane z Internetu”. Strach myśleć, co tam się wcześniej publikowało. Trudno też zrozumieć, na jakiej podstawie owo czasopismo zostało z dnia na dzień zaliczone do pierwszej ligi naukowej, skoro dotychczas w niej nie było i zresztą nadal do niej nie należy. Do nauki międzynarodowej nie wchodzi się na podstawie ministerialnej decyzji.

Wbrew wielu moim kolegom i koleżankom uważam, że wspieranie polskich czasopism nie jest pomysłem złym. Humanistyka i nauki społeczne pełnią ważną funkcję kulturotwórczą, a publikowanie przynajmniej części wyników badań po polsku ma sens. Co więcej, publikowanie jedynie po angielsku wcale nie wynika z tego, że angielski jest pięknym językiem, szczególnie nadającym się do opisu naukowego. Można to nawet sensownie widzieć w kategoriach imperializmu językowego. Warto też sobie uświadomić, że gdyby cała nauka polska nagle zmieniła język i wszyscy zaczęlibyśmy publikować tylko po angielsku, byłaby to katastrofa narodowa. Polscy uczeni potrzebują własnego języka, by mogli się porozumiewać na co dzień, opowiadać o swoich badaniach czy wreszcie uczyć studentów. Ten język nie może być tylko językiem spolszczonych badań po angielsku, ale musi być żywym systemem komunikacji w codziennych kontaktach naukowych, dydaktycznych czy popularyzatorskich. Choć należę do lingwistów odrzucających językoznawstwo preskryptywne, irytuje mnie dziwny ponglisz, którym często posługuje się polska nauka.

Nawiasem mówiąc, uważam, że tłumaczenie polskich autorów, na które wydawane są setki tysięcy złotych, powinno zmienić kierunek. A zatem, podatnik nie powinien wydawać pieniędzy na to, by przetłumaczyć książkę polskiego autora napisaną po polsku. Jeśli to rzeczywiście dobra książka, to wzbudzi zainteresowanie wydawnictw międzynarodowych. Podatnik powinien tłumaczyć książkę polskiego autora napisaną po angielsku. Dzięki temu najlepsza polska nauka mogłaby zaistnieć również po polsku.

Wracając do głównego wątku – powstaje konflikt. Z jednej strony, celem polityki naukowej państwa może być zachęcanie naukowców do publikowania w lokalnych czasopismach w celu ich rozwoju, a z drugiej, sensownym celem badacza jest funkcjonowanie w debacie międzynarodowej. Ja sam wszystko co napisałem gdzieś od 30 lat, napisałem po angielsku (kilka istniejących tekstów po polsku to tłumaczenia) z dwóch powodów. Pierwszy jest taki, że znajomość języka polskiego na świecie jest znikoma, a chciałbym, żeby czytali mnie ci, których ja sam czytam. Drugi powód oddaje następująca prawdziwa historia sprzed kilkunastu lat. Do pewnego polskiego czasopisma (dzisiaj ma ono 70 pkt.) złożono artykuł tak zły, że redaktorzy pisma uznali, że nie da się go opublikować (a publikowali prawie wszystko). Co jednak zrobić, skoro ów naukowy knot został napisany zasłużoną ręką profesorską i odrzucenie go nie wchodziło w rachubę? Redaktorzy rozwiązali problem iście salomonowo. Jeden z nich wzięł tekst i napisał go od nowa tak, by nadawał się do druku. Uznano bowiem, że autor i tak nie zauważy tego, że nowy tekst pod jego nazwiskiem ma niewiele wspólnego z tym, co sam napisał. I rzeczywiście, tekst się ukazał, czasopismo było syte, a autorskie ego całe. To oczywiście dość ekstremalny przypadek, jednak mizerny lub nieistniejący proces recenzyjny, publi-

kowanie wszystkiego jak leci, oczekiwanie artykułów wraz z recenzjami, publikowanie kolegów i koleżanek, jak i to, o czym pisze cytowany w pierwszym akapicie „świeżutki” stupunktowiec, zdarza się zbyt często, bym chciał publikować w takich czasopismach.

Jak zatem rozwiązać konflikt między polityką naukową państwa i interesem społecznym a chęcią badacza, by publikować w dobrych czasopismach? Najłatwiej powiedzieć, czego nie należy robić. Otóż nie należy arbitralnie dosypywać punktów.

Sposobów wzmocnienia polskich czasopism można sobie wyobrazić kilka. Oto parę przykładów. Istnieje program wzmocnienia i umiędzynarodawiania polskich czasopism naukowych, ogłoszony jeszcze przez Jarosława Gowina. Można by zachęcić uznane wydawnictwa międzynarodowe do przejęcia wybranych przez siebie czasopism (w ten sposób funkcjonuje kilka dobrych polskich czasopism). Można by wreszcie zaproponować wzmocnienie zespołów redakcyjnych osobami z międzynarodowym doświadczeniem redakcyjnym. Kluczowe jest jednak to, by takie strategie były do bólu przejrzyste, by wyników zmian nie oceniał tylko minister, a proces nie kończył się dosypaniem punktów raz na

zawsze. Niech zatem to będzie nawet i 100 pkt, ale niechże jakakolwiek dosypka punktowa ma twarde podstawy merytoryczne, które na dodatek postrzegane są jako takie właśnie. W przeciwnym razie system oceny publikacji, który przecież i tak nie jest darzony wielkim szacunkiem, zostaje jeszcze bardziej podważony, a wysiłki tych, którzy rzeczywiście starają się zaistnieć w nauce międzynarodowej, wydają się śmieszne.

A co z nauką międzynarodową? Część artykułów z krajowych, polskojęzycznych czasopism można by publikować również po angielsku i umieszczać je na stronach internetowych czasopisma, a także w otwartych repozytoriach cyfrowych uczelni, które bywają nieźle powiązane z międzynarodowymi bazami naukowymi. Te tłumaczenia również powinny być porządnie zredagowane, profesjonalnie złożone i opublikowane. Mogłyby zresztą być one podstawą do recenzji o zasięgu międzynarodowym. Nawiasem mówiąc, niektóre krajowe czasopisma mogłyby zachęcać autorów z całego świata możliwością publikacji artykułów na tematy bardziej kontrowersyjne czy „niebezpieczne”, których duże czasopisma międzynarodowe nie tkną.

Chciałbym zakończyć refleksją ogólną. Od lat nie publikuję po polsku dlatego, że to dobre czasopisma międzynarodowe zapewniają mi rygorystyczny proces recenzyjny. To oznacza, że gdy wysyłam do nich artykuł, to dają mi dużą pewność, że jeśli zostanie przyjęty do druku, oznacza to, że jest całkiem dobry, a na pewno nie jest badawczą porażką. A więc gdy powstanie dobre polskie czasopismo, które systematycznie zapewni porządną kontrolę jakości dla wszystkich bez wyjątku, a na dodatek opublikuje wersję językową, która będzie mogła zaistnieć w środowisku międzynarodowym, chętnie zaczął tam publikować. Niestety, to musi równocześnie oznaczać, że redaktor naczelny czasem powie koleżdze z uczelnianego korytarza, koleżance ze studiów, a nawet zasłużonemu profesorowi, że ich artykułów nie opublikuje. Tak po prostu. Bo fundamentem dyskusji na temat punktów i czasopism musi być dążenie do publikowania wyników dobrej nauki w dobrych czasopismach.

Ja sam nadal wolę porządnie zrecenzowane 70 punktów niż dosypaną stówę. Bo punkty przeminą, a mój dorobek zostanie.

Dariusz Galasiński



Fot. Arch. prywatne

Badacz czy wykładowca?

Pod koniec grudnia w artykule *Umieędzynarodowienie po warszawsku* (opublikowanym na portalu forumakademickie.pl) przedstawiłem perypetie dr. Dilectissa Liu z Australii z zatrudnieniem w granie Narodowego Centrum Nauki „Konstrukcja teorii w empirycznych naukach społecznych i naukach behawioralnych” (grant 2019/35/B/HS1/03281), którego beneficjentem i liderem jest dr hab. Frank Zenker, niemiecki filozof nauki, zatrudniony na Wydziale Administracji i Nauk Społecznych Politechniki Warszawskiej. Projekt jest realizowany na PW. Owe perypetie odtworzyłem na podstawie listu otwartego, który opublikował młody doktor, oraz innych dokumentów, w tym ogłoszenia o konkursie. Wówczas nikt z uczelni nie wypowiedział się na ten temat, co zarzucił mi rzecznik PW w komentarzu przysłanym 12 stycznia (najważniejsze elementy tego tekstu przedstawiam stopniowo w dalszej części artykułu). Fakt, że nie daliśmy uczelni na odpowiedź dużo czasu, uznając, że powinna ona być prosta. Niemniej odnotuję, że pani dziekan WAINs, dr hab. Anna Zalcewicz, 30 grudnia przed publikacją tekstu odebrała telefon ode mnie, ale nie chciała rozmawiać na temat zatrudnienia dr. Liu. Nie było zatem tak, że nie staraliśmy się o komentarz uczelni, a ta nie miała szansy przedstawić swoich racji.

Uprzywilejowani nauczyciele

W konkursie, który wygrał D. Liu, zakończonym 8 sierpnia 2021 r. o godz. 16.00, określono warunki zatrudnienia. Stanowisko to First Stage Researcher (R1), choć R1 wg klasyfikacji unijnej zasadniczo jest przeznaczone dla osób przed obroną doktoratu, a D. Liu niedawno (19 lipca 2021 r.) obronił doktorat na Uniwersytecie w Tybindze. Żeby było jasne – w granie NCN chodziło o stanowisko postdoka. Zatrudnienie czasowe na pełnym etacie od 1 września lub w najbliższym możliwym terminie (do końca realizacji projektu). Zaproszenie do Polski dr Liu otrzymał emailem 21 września 2021 r. wkrótce potem przyjechał do Warszawy, wynajął mieszkanie i rozpoczął załatwianie formalności. I tu zaczęły się schody. D. Liu mógł rozpocząć pracę naukową w Polsce na podstawie pozwolenia, z którego korzystał w Niemczech, bez potrzeby uzyskania zgody Urzędu Pracy. Jednak tego typu możliwość dotyczy tylko nauczycieli akademickich, tymczasem Politechnika Warszawska chciała go zatrudnić na stanowisku badawczym, ale już nie nauczyciela akademickiego. Umożliwiają to wewnętrzne przepisy uczelni, która zgodnie z ustawą Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce może sama określić listę stanowisk. Ta informacja była mi znana, a została potwierdzona w piśmie rzecznika prasowego PW. Problem w tym, że inne przepisy państwowe, w tym te dotyczące zatrudniania naukowców zagranicznych w polskich uczelniach, generalnie ułatwiają to nauczycielom akademickim, bo tylko takie stanowiska określa ustawa Prawo o Szkolnictwie Wyższym i Nauce. Rozdział 5 w całości jest poświęcony pracownikom uczelni. Rozpoczyna się artykułem 112, w którym dzieli tę grupę społeczności akademickiej na dwie kategorie, a brzmi: „Pracownikami uczelni są nauczyciele akademicy oraz pracownicy niebędący nauczycielami akademickimi”. Rozdział liczy 35 artykułów rozpisanych na 14 stronach. W ogromnej większości poświęcony jest właśnie nauczycielom akademickim; druga grupa pojawia się na kartach rozdziału rzadko, np. przy okazji przypisania uprawnień do otrzymywania różnego rodzaju nagród i dodatków (np. stażowego). Artykuł 114 tej części ustawy stanowi, że „Nauczycieli akademickich zatrudnia się w grupach pracowników: 1) dydaktycznych; 2) badawczych; 3) badawczo-dydaktycznych”. Do tego odnoszą się wszystkie inne ustawy i przepisy prawa polskiego, bowiem nie mogą przecież odnosić się do regulacji poszczególnych uczelni.

Kto wiedział o zmianie statusu

A teraz wróćmy do dr. Liu. Fakt, że uczelnia zaproponowała mu pracę na etacie badawczym, ale nie w charakterze nauczyciela akademickiego, spowodował perturbacje, bowiem znacząco skomplikowało to formalności i oddaliło termin rozpoczęcia zatrudnienia. D. Liu mieszkał kilka miesięcy w Warszawie bez pracy i z niejasną perspektywą. Nie dziwi mnie zatem jego dramatyczna reakcja, którą opisałem w artykule *Umieędzynarodowienie po warszawsku*. Podczas posiedzeń Rady Wydziału AiNS już wcześniej, wiosną 2021 r., podnoszono sprawę zatrudnienia postdoków w granie F. Zenkera. Argumentowano – wbrew informacji pani dziekan A. Zalcewicz o konieczności zatrudnienia ich w grupie nie nauczycieli – że istnieje w granicach przepisów wewnętrznych uczelni możliwość zatrudnienia ich także na stanowiskach nauczycieli akademickich. To ważne, bo w chwili ogłoszenia konkursu, który wygrał dr Liu, było już wiadomo, że może on być zatrudniony na stanowisku badawczym jako nauczyciel akademicki. Uczelnia mogłaby w ten sposób dotrzymać zapowiedzianego w warunkach konkursu terminu zatrudnienia, bardzo ważnego przecież. Zauważa to także rzecznik PW: „Nasza korespondencja z tym urzędem (Urzędem Pracy – red.) jest już bardzo obszerna i nie niesie nadziei na szybkie zakończenie sprawy, stąd wspólnie z prof. Anną Zalcewicz, Dziekan Wydziału Administracji i Nauk Społecznych, zdecydowaliśmy się zmienić przewidywaną w konkursie formę zatrudnienia i zatrudnić dr. Liu na stanowisku nauczyciela akademickiego (w tym przypadku Ustawa Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce pozwala na zatrudnianie bez czekania na decyzję Urzędu Pracy). Decyzja ta miała miejsce jeszcze przed publikacją Pana artykułu. O faktach tych zostałaby Pan Redaktor poinformowany, gdyby przed napisaniem artykułu, w naszej ocenie – krzywdzącego, zwrócił się Pan o przedstawienie stanowiska Politechniki Warszawskiej w tej całej sprawie”.

Jednak o tej decyzji nie wiedział wówczas sam dr Liu, nie wiedział dr hab. Zenker i nie wiedzieli inni pracownicy wydziału, z którymi miałem okazję rozmawiać tuż przed publikacją tekstu. Pani dziekan, w chwili gdy odebrała telefon ode mnie 30 grudnia, też nie podała mi tej podstawowej informacji, która zapewne sprawiłaby, że artykuł stałby się bezprzedmiotowy i po prostu nie zostałby opublikowany.

Nawiasem mówiąc, na dwa stanowiska w granie F. Zenkera ogłoszono aż pięć konkursów. Szczegółowo opisał tę sytuację rzecznik prasowy: „W dwóch pierwszych konkursach dotyczących zatrudnienia pracownika do projektu (...) ogłoszonych od 13.07.2020 r. do 12.08.2020 r. (w każdym miał zostać wyłoniony jeden kandydat, „post-doc”, do realizacji zadań w projekcie) nie wyłoniono zwycięzców. Powodem był fakt niespełniania przez kandydatów wymagań konkursowych. W dwóch kolejnych konkursach wyłoniono zwycięzców i zatrudniono ich do realizacji projektu na stanowiskach naukowo-badawczych, przy czym jeden z nich (...) dr Saúl Pérez González, zrezygnował z pracy po dwóch miesiącach od momentu zatrudnienia. Po rezygnacji dr. Saúla Péreza Gonzáleza został ogłoszony kolejny konkurs, z terminem składania dokumentów do 08.08.2021 r. W konkursie tym, w dniu 8.09.2021 r., Komisja Konkursowa rekomendowała zatrudnienie dr. Dilectissa Di Sheng Liu”. Dr S.P. González był zatrudniony właśnie w grupie pracowników naukowo-badawczych, niebędących nauczycielami akademickimi. Jak się okazało, ani władze wydziału, ani pracownice PW, które zajmowały się zatrudnieniem dr. Liu, nie miały świadomości, jakie problemy związane są z zatrudnie-

niem obcokrajowca (spoza UE) w tej grupie pracowników. Choć przyznam, że trudno mi w to uwierzyć.

Co się dzieje w protokołach

Przy okazji dyskusji nad zatrudnianiem w grantach na wiosennej sesji Rady Wydziału pojawił się niespodziewany motyw – ewaluacja. Gdyby młodzi postdocy, z natury rzeczy bez znaczącego dorobku, zostali zatrudnieni jako nauczyciele akademicy, musieliby wejść do liczby N, a to nie służyłoby ocenie dyscypliny filozofia na wydziale. Wątek ten podniósł także rzecznik prasowy PW: „Rozwiązanie takie, tj. zatrudnienie na stanowisku naukowo-badawczym, ma duże znaczenie z punktu widzenia uczelni, gdyż w tym przypadku nie ma obowiązku wpisywania tak zatrudnionych pracowników do tzw. liczby N, czyli grupy pracowników, których osiągnięcia są brane pod uwagę w procedurze ewaluacji dyscyplin. (...) ma to szczególne znaczenie w przypadku osób młodych, z krótkim okresem wypowiedzenia umowy o pracę, które mogą zrezygnować z zatrudnienia nie pozostawiając uczelni odpowiedniego dorobku. Obowiązkiem Uczelni jest więc dochować w takim wypadku szczególnej staranności, ze względu na ogromną wagę ewaluacji dyscyplin w całym systemie szkolnictwa wyższego”. Zatem to staranność w dbaniu o interesy uczelni sprawiła, że Australijczyk, który wygrał konkurs przez nią ogłoszony i został przez nią zaproszony do pracy, bez tej pracy i wynagrodzenia mieszkał w Polsce przez cztery miesiące.

Mimo to wielu pracowników wydziału opowiadało się właśnie za zatrudnianiem postdoków na stanowiskach nauczycieli akademickich, czemu dali wyraz podczas posiedzeń Rady Wydziału AiNS. Już zupełnie na marginesie dodam, że jeden z naukowców zarzucił pani dziekan manipulację – to eufemistyczne określenie – przy sporządzaniu protokołu z posiedzenia Rady Wydziału. Zapis wielu ważnych wypowiedzi, które padły podczas dyskusji, oraz wątków obrad w dostarczonej protokole miał nie odpowiadać rzeczywistości przebiegowi posiedzenia. Zarzut dotyczył też sposobu prowadzenia obrad RW AiNS przez panią dziekan.

Cieszę się, że sprawa skończyła się szczęśliwie: dr Liu jest od 1 lutego zatrudniony w grantie na politechnice na stanowisku postdoka w grupie nauczycieli akademickich, a F. Zenker nie musiał zmieniać miejsca realizacji grantu.

Jak to widzi NCN

Chciałbym jeszcze przytoczyć odpowiedź Narodowego Centrum Nauki na pytania dotyczące zatrudnienia w grantach na stanowiskach postdoka. „Stanowisko typu post-doc to pełnoetatowe stanowisko pracy dedykowane do realizacji zadań w projekcie badawczym zaplanowane przez kierownika projektu dla osoby, która uzyskała stopień naukowy doktora nie wcześniej niż 7 lat przed rokiem zatrudnienia w projekcie. Do realizacji projektu, w tym zaangażowania wykonawców, zobowiązani są Podmiot (a więc w tym wypadku Politechnika Warszawska – red.) oraz Kierownik projektu (F. Zenker – red.). Przy zatrudnieniu w grantie konieczne jest zachowanie zgodności z dokumentacją konkursową, zapisami umowy o realizację i finansowanie projektu badawczego, a ponadto z powszechnie obowiązującymi przepisami prawa, jak i wewnętrznymi przepisami obowiązującymi w Podmiocie. Charakter zawartej umowy zależy w szczególności od wewnętrznych przepisów obowiązujących w Podmiocie, jednak ze względu na specyfikę pracy post-doca trudno sobie wyobrazić, aby mogło to być stanowisko administracyjno-techniczne. Post-doc jest stanowiskiem dedykowanym do realizacji zadań merytorycznych w projekcie. Dodatkowo NCN ustala stawkę rocznego wynagrodzenia osoby na takim stanowisku. Stawka ta wynosi 120 tys. zł rocznie (proporcjonalnie pomniejszona, jeśli zatrudnienie nie trwa pełnego roku stosując przelicznik 10 tys./miesiąc)”.

Wyraźnie widać z tej odpowiedzi, że PW miała prawo zatrudnić dr. Liu na stanowisku nie nauczyciela, nie zmieniliby to także wysokości jego wynagrodzenia. Jednak w takiej sytuacji uczelnia nie miała szansy zrealizować zawartego w warunkach konkursu terminu zatrudnienia. Zagraniczny postdok, który wygrał konkurs na stanowisko badawcze w grantie na polskiej uczelni, przez kilka miesięcy był wozony za nos – określiłem to tak, choć wiem, że uczelni trudno to przełknąć. Sam tego nie wymyśliłem. Tak mówili inni pracownicy wydziału, taki obraz stanu ducha młodego badacza z Australii wyzierał z jego dramatycznych pism wysyłanych najpierw do osób zaangażowanych w zatrudnienie go lub jakoś z tym związanych, a potem z listu otwartego, który opublikował po angielsku w miejscu odwiedzanym przez badaczy z całego świata.

Pani Agnieszka Jewuła, koordynator Zespołu ds. Nauk Humanistycznych, Społecznych i o Sztuce NCN, napisała także, że „Informacje na temat realizacji projektu, w tym zespołu projektowego, dostarczają w szczególności raporty z jego realizacji, a w przypadku projektu badawczego nr 2019/35/B/HS1/03281 termin złożenia pierwszego z raportów wypada 31 marca 2022 r. W związku ze zgłoszeniami Kierownika projektu dotyczącymi problemów w realizacji projektu Centrum oczekuje aktualnie na wyjaśnienia z Podmiotu dotyczące stanu realizacji ww. projektu w tym zatrudnienia wykonawców”. Mam nadzieję, że Centrum udzieli zgody na przedłużenie czasu realizacji projektu F. Zenkera, bo przecież przedłużając się nie z winy kierownika formalności z zatrudnieniem postdoków zasadniczo wpłynęły na możliwość terminowej realizacji badań.

Nieadekwatna terminologia

Pozostaje jeszcze zakończenie, a mianowicie problemy terminologiczne, które jak sądzę zasadniczo wpłynęły na wszystkie opisane przez dr. Liu kłopoty z jego zatrudnieniem w projekcie. Tu muszę nawiązać do ustawy PSWN (już w tym aspekcie przedstawione powyżej) i regulaminów NCN. Rozumiem, że na uczelni technicznej można mówić o badaczach, którzy nie są nauczycielami akademickimi, bo przecież pracownik inżynierijno-techniczny w laboratorium może brać udział w badaniach i być współautorem publikacji. Problem jest także w ustawie, która za „nauczycieli”, a zatem osoby uczące innych, pozwala uznać badaczy, którzy z kształceniem nie mają żadnego związku. To poważna niekonsekwencja terminologiczna. Równocześnie tychże nauczycieli akademickich czyni podstawową grupą akademików, do której odnosi się szereg regulacji prawnych, w tym ułatwień związanych z zatrudnieniem zagranicznych badaczy w Polsce. Narodowe Centrum Nauki z kolei nie interesuje się tymi formalnościami. Postdok ma być zatrudniony „do realizacji zadań merytorycznych w projekcie”. I koniec. Konkursy na pozycje (celowo używam tego słowa) w grantach muszą być otwarte, a zatem dostępne dla osób spoza kraju, czyli opublikowane po angielsku np. na euraxess.ec.europa.eu/jobs. W tym języku „researcher” to po prostu pełnoprawny badacz. A u nas pełnoprawnym jest tylko wtedy, gdy jest nauczycielem akademickim, czyli dosłownie biorąc nie żadnym badaczem. Jak byśmy to określili po angielsku? Lecturer? Ale u nas to oznacza po prostu wykładowcę, czyli albo ogólne określenie pracownika merytorycznego uczelni, albo wręcz stanowiska zajmowanego przez osoby, które prowadzą zajęcia dydaktyczne, ale (z najczęściej nie „ale”, lecz „gdyż”) nie zrobiły kariery naukowej (doktoratu, habilitacji), czyli nie są badaczami. Może należy zmienić polską terminologię, odejść od owego „nauczyciela”, bo nie odpowiada to akademickiej praktyce i, jak widać, może powodować nieporozumienia międzynarodowe?

Piotr Kieraciński

Erasmus+ w pandemii



Znany wszystkim dbającym o dobrą kondycję edukacji program Erasmus+ jest podstawowym narzędziem Komisji Europejskiej służącym stymulowaniu rozwoju umiejętności w zakresie przedsiębiorczości, kreatywności i innowacyjności, poprawy infrastruktury służącej transferowi wiedzy ze szkolnictwa wyższego, zwiększania dostępności i popularności takich inicjatyw, jak start-upy i spin-offy, zachęcania do tworzenia partnerstw i podejmowania współpracy z biznesem oraz zaangażowania sektora szkolnictwa wyższego w tworzenie zintegrowanych planów lokalnego i regionalnego rozwoju. Erasmus+ osiąga powyższe cele poprzez realizowanie międzynarodowej mobilności i projektów, przez co zwiększa potencjał ludzki poszczególnych krajów do adekwatnego reagowania na potrzeby społeczeństwa i gospodarki. W ciągu ponad 30-letniego funkcjonowania program udowodnił swoją skuteczność w tym zakresie.

Pandemia COVID-19 w istotny sposób ograniczyła działalność programu. Biorąc pod uwagę stwierdzony pozytywny wpływ programu na rozwój kompetencji osób uczących się, poszukiwano dowodów na to, czy pandemia zaszkodziła funkcjonowaniu programu, a jeżeli tak, to w jakim stopniu. Przyjrzyjmy się efektom trzech badań: dwóch przeprowadzonych przez Komisję Europejską oraz badania zrealizowanego przez Fundację Rozwoju Systemu Edukacji (FRSE), czyli Narodową Agencję programu Erasmus+ i Europejskiego Korpusu Solidarności.



Pierwsze badanie dotyczyło wpływu COVID-19 na działania związane z mobilnością edukacyjną i zostało przeprowadzone w kwietniu 2020 r. Głównym jego celem było zebranie opinii uczestników mobilności w ramach programu Erasmus+ i Europejskiego Korpusu Solidarności (EKS). Objęło ono prawie 40% uczestników mobilności realizowanej w tamtym okresie. Główne ustalenia ankiety wskazują, że około 25% uczestników nie odczuło skutków nowej sytuacji (lub odczuło je w bardzo niewielkim stopniu). Pozostałe 75% zgłosiło, że kontynuowało swoją działalność na innych zasadach (42% respondentów), musiało zawiesić działalność (22%) i odwołało zaplanowane działania (36%). 75% uczestników dotkniętych skutkami pandemii wróciło do domu, podczas gdy około 25% pozostało za granicą (w wielu przypadkach z powodu trudności z organizacją powrotu). Respondenci zostali zapytani o to, jak oceniają jakość zajęć wirtualnych oferowanych im w zastępstwie tych, które miały być realizowane za granicą. Duża część z nich oceniła cyfrowe narzędzia i platformy edukacyjne jako bardzo dobre (71%), jakość zajęć jako wysoką (63%) i adekwatną do planowanej przez nich mobilności (71%). Potwierdzili oni również, że byli bardzo zadowoleni z ogólnego wsparcia, jakie otrzymali (ponad 80%),

a w większości przypadków (72%) zajęcia, w których uczestniczyli miały zostać uznane przez instytucje wysyłające. Wydaje się również, że uczestnicy z doświadczeniem wirtualnej mobilności są bardziej przekonani o słuszności przyszłego scenariusza łączonych (mieszanych) mobilności (ang. blended mobility). Z ankiety wynika, że rozpoczęcie mobilności w formie wirtualnego uczenia się było najbardziej preferowane, a tylko 9% respondentów opowiedziało się za anulowaniem okresów mobilności.

Drugie badanie KE dotyczyło wpływu COVID-19 na działalność europejskich uczelni i zostało przeprowadzone w maju 2020 r. Głównym wnioskiem wysnutym przez Komisję Europejską jest istnienie pilnej potrzeby ścisłej współpracy między uczelniami w zakresie edukacji, badań i innowacji oraz przyspieszenia procesów cyfryzacji instytucji szkolnictwa wyższego. Ten kierunek myślenia potwierdziło ponad 60% respondentów badania. Ponadto prawie 80% respondentów deklaruowało, że dzieli się dobrymi praktykami w ramach swojego sojuszu uczelnianego, a 96% twierdzi, że „byliby lepiej przygotowani do stawienia czoła pandemii, gdyby ich uczelnia posiadała w pełni operacyjny status Uniwersytetu Europejskiego”.

Z tego badania wynika, że najbardziej przydatne cechy w zakresie zarządzania kryzysem pandemicznym to: funkcjonalne wirtualne kampusy międzyuniwersyteckie; działająca infrastruktura i metodologia dla wspólnych kursów hybrydowych; stworzenie we współpracy z przedsiębiorstwami, regionami i miastami krótkich kursów prowadzących do uzyskania mikrokwalfikacji w celu wyposażenia pracowników w umiejętności pracy zgodnie z metodą „just-in-time” i wreszcie stosowanie podejścia zorientowanego na współpracę studentów z wykładowcami akademickimi, badaczami, przedsiębiorstwami, miastami i regionami w celu rozwiązania problemów społecznych.

Trzecie badanie zostało przeprowadzone przez FRSE w marcu 2020 r. wśród instytucji wysyłających uczestników mobilności za granicę w ramach następujących programów: Erasmus+, EKS i POWER. W momencie przeprowadzania badania w 213 ankietowanych instytucjach za granicą przebywało 3713 uczestników z Polski, z czego większość była w Hiszpanii, Portugalii i Niemczech. Przedstawiciele instytucji, którzy wypełnili ankietę, zostali zapytani, czy osoby przebywające za granicą planują obecnie powrót do kraju wcześniej niż zaplanowano. 71% z nich odpowiedziało, że uczestnicy mobilności nie planują skrócenia pobytu. Tylko 733 osoby planowały wcześniejszy powrót.

Przytoczone badania udzieliły ogólnej odpowiedzi na pytanie, w jakim stopniu pandemia ograniczyła zakres i zasięg oddziaływania programu. Dostrzegano jednak nadal potrzebę zbadania, czy kompetencje 4.0 rozwijane przez uczestników programu Erasmus+ przyjęły rolę mechanizmu obronnego przed pandemią. W tym kontekście wyniki badań KE i FRSE o charakterze głównie ilościowym zostały uzupełnione o aspekt jakościowy omawianego zagadnienia. Ponadto w badaniach uwzględniono międzyinstytucjonalne projekty współpracy realizowane w formie partnerstw strategicznych, które stanowią istotną część agendy Erasmus+.

Przytoczone powyżej wyniki badań i wnioski z nich płynące były przyczyną zainicjowania badania, którego celem jest sprawdzenie, w jakim stopniu kompetencje 4.0 ułatwiają realizację projektów Erasmus+, zarządzanie nimi i ich trwałość w dobie pandemii COVID-19. To właśnie liderzy projektów Erasmus+ inicjują zmiany w swoich instytucjach i realizują inicjatywy, które mają wyposażyć w te kompetencje także innych. Ich odpowiedzialność w ramach projektu jest znacznie większa i dotyczy różnych obszarów działań: od merytorycznych po zarządcze.

Aby sprawdzić, jak koordynatorzy projektów Erasmus+ poradzi sobie z zarządzaniem projektami podczas pandemii Covid-19, jakie kompetencje były im w tym najbardziej przydatne oraz które z kompetencji i czynników kontekstowych w największym stopniu wpływają na realizację, zarządzanie i utrzymanie projektów Erasmus+ w pandemii Covid-19, autor tego artykułu przeprowadził w 2021 r. **badanie na próbie 990 polskich liderów projektów**, którzy realizowali międzynarodowe działania edukacyjne w trakcie pandemii Covid-19. Ankietowani koordynatorzy projektów zostali poproszeni o autoewaluację swoich kompetencji w 4 kategoriach: kompetencji cyfrowych i technicznych, zarządczych, kognitywnych oraz społecznych. W trakcie badania najwyższe oceny zebrały kompetencje cyfrowe i techniczne, a wśród nich takie umiejętności jak obsługa komputera czy praca z dokumentami online. Badani wysoko ocenili także swoje kompetencje społeczne, a zwłaszcza innowacyjność, umiejętność budowania relacji, utrzymywania kontaktów i współpracy. W przypadku projektów Erasmus+ realizowanych w trakcie pandemii to właśnie kompetencje cyfrowe badanych liderów okazały się wystarczająco wysokie, aby skutecznie poradzić sobie w komunikacji i zarządzaniu projektem oraz konsorcjum projektowym on-line.

Ponadto, badanie potwierdza, że wysoko rozwinięte kompetencje społeczne w wymiarze radzenia sobie ze stresem i umiejętnością przystosowywania się wspomagają realizację, zarządzanie i utrzymanie

projektów Erasmus+ w czasach pandemii Covid-19. Przydatne okazują się także kompetencje kognitywne w wymiarze pro-aktywności, zaangażowania, innowacji i otwartości na zmianę, a także kompetencje menadżerskie w wymiarze umiejętności koordynowania pracy w grupie. Badanie wykazało też, że takie cechy osobowości jak stabilność emocjonalna, otwartość na doświadczenie, sumienność i eksploracja również przyczyniają się do utrzymywania realizacji projektów Erasmus+ w czasie pandemii Covid-19.

Z kolei czynniki kontekstowe, które miały największy wpływ na utrzymanie realizacji projektów Erasmus+ w pandemii, to: wiek liderów (młodzi lepiej sobie radzili w pandemii), wysokość budżetu projektu (projekty z budżetem ponad 200 tys. euro rzadziej były zawieszane) oraz liczba partnerów w projekcie (projekty mające pięciu lub więcej partnerów rzadziej były zawieszane). Należy zaznaczyć przy tym, że wysokie budżety oraz duża liczba partnerów w projekcie są domeną bardziej doświadczonych podmiotów, co także mogło mieć wpływ na powodzenie działań. Co więcej, projekty Erasmus+ realizowane przez instytucje prywatne lub przed podmioty szkolnictwa wyższego i edukacji dorosłych były bardziej odporne na negatywne skutki pandemii.

*Paweł Poszytek, dyrektor FRSE,
Narodowej Agencji Erasmus+*

Studiowanie w Polsce na tle Europy

Dobiegł końca międzynarodowy projekt EUROSTUDENT, w którym – obok 25 innych krajów Europejskiego Obszaru Szkolnictwa Wyższego – wzięła udział także Polska. Celem projektu było opracowanie wskaźników statystycznych dotyczących socjalnych i ekonomicznych uwarunkowań studiowania. Siódmą edycję realizowano od 2018 do 2021 r. Większość państw przeprowadziła sondaże wiosną/latem 2019 r., co oznacza, że wyniki dotyczą sytuacji sprzed pandemii. W naszym kraju ankiety wypełnili studenci z 268 uczelni.

W roku akademickim 2018/2019 Polska była jednym z państw o najwyższym odsetku studentów na studiach niestacjonarnych (33%). Kształcenie w tym trybie podejmowano najczęściej na uczelniach niepublicznych. Około 58% studentów nad Wisłą poleciłoby swój kierunek znajomym; to mniej niż w 2016 r. (64%). Ze stwierdzeniem „często trudno mi zrozumieć, czego się ode mnie oczekuje na moim kierunku studiów” zgodziło się 42% osób (w 2016 – 51%). Wzrosło natomiast wśród studentów poczucie, że uczelnia to raczej nie jest miejsce dla nich – stwierdził tak co czwarty (o 7 p.p. więcej).

Około połowa wykładowców, w opinii studentów, dobrze potrafi objaśnić swój przedmiot (52%). Brakowało natomiast prowadzącym współczesnego podejścia do nauczania: zaledwie 35% przyznało, że wykładowcy motywowali ich do jak najlepszej pracy, 45% deklaruowało, że byli oni ciekawi tego, co studenci mają do powiedzenia, natomiast 49% uznało, że wykładowcy na bieżąco służą pomocą.

Wśród polskich zaków przeważają osoby mające rodziców bez wykształcenia wyższego. Najczęściej wybierają oni kierunki związane z kształceniem oraz biznesem, administracją i prawem. Studenci „nowego pokolenia” o wiele częściej chodzą na studia niestacjonarne i pracują w wymiarze ponad 20 godzin tygodniowo. Pracę w trakcie semestru lub w czasie wolnym od zajęć i wykładów podejmuje 80% zaków – to wynik zbliżony do średniej europejskiej (78%). Trzy najważniejsze powody: pracują po to, aby stać

ich było na rzeczy, których inaczej nie mogliby sobie kupić (79%), aby pokryć koszt utrzymania (71%) i zdobyć doświadczenie (62%).

Pod względem gospodarowania swoim czasem nie odbiegamy od średniej: nasi studenci poświęcali na naukę 34 godziny tygodniowo, a na pracę 18 godzin. Prawie połowa (46%) chciałaby pracować więcej i niemal tyle samo – więcej się uczyć (45%). Co czwarty doświadczył trudności w studiowaniu w związku z obowiązkami zawodowymi. Jest to trzeci najwyższy wynik w badaniu. Wysoki odsetek, w porównaniu do innych krajów, rozważał porzucenie studiów. Średnio myślało o tym 7% studentów, w Polsce 10%.

Jedynie 6% zaków polskich wyjechało za granicę na studia, praktyki, staże lub z powodu innych aktywności edukacyjnych. Średni tymczasowy pobyt trwa ok. 5,9 miesięcy. Jednym z najważniejszych czynników wpływających na międzynarodową mobilność studentów jest ich pochodzenie edukacyjne: przedstawiciele „pierwszego pokolenia” rzadziej (15%) wyrażają chęć wyjazdu niż studenci, których przynajmniej jeden rodzic posiada wyższe wykształcenie (26%). Jako swój cel podróży wybierają Niemcy, Hiszpanię lub Wielką Brytanię. Studenci z Europy Zachodniej o wiele chętniej wyjeżdżają poza kontynent (USA lub Chiny), podczas gdy ci ze Wschodu pozostają na terenie Europejskiego Obszaru Szkolnictwa Wyższego. Najczęstszym programem, który wybierają, pozostaje Erasmus+. W Polsce około 86% osób skorzystało z tej inicjatywy. Głównymi barierami utrudniającymi wyjazd są: finanse, brak informacji na macierzystej uczelni oraz formalności. Dodatkowo w dużym stopniu nasi studenci obawiali się o swoje kompetencje językowe (39%).

EUROSTUDENT jest siecią badaczy, analityków, agencji badawczych oraz środowisk akademickich reprezentujących ministerstwa zajmujące się sprawami szkolnictwa wyższego w państwach europejskich. Projekt koordynuje konsorcjum, któremu przewodzi Niemieckie Centrum Badań nad Szkolnictwem Wyższym i Nauką.

MK

Wysportowany stulatek

Uroczystość nadania nowego sztandaru uświetniła 22 stycznia jubileusz AZS Lublin. Odbyła się dokładnie w stulecie powstania organizacji i w miejscu, w którym rozpoczęła się jej historia. To na ówczesnym Uniwersytecie Lubelskim, przemianowanym sześć lat później na KUL, doszło do założenia Akademickiego Koła Sportowego. Przygotowania toczyły się od jesieni 1921 r. z inicjatywy studenta Tadeusza Jaworowskiego i przy wsparciu rektora ks. Idziego Radziszewskiego. Oprócz żaków do sekcji: lekkoatletycznej, piłki ręcznej, piłki nożnej, bokserskiej, tenisowej, pływakkiej, hokejowej, łyżwiarskiej, szermierczej, narciarskiej i pingpongowej przyjmowano również uczniów ostatnich klas szkół średnich. Wszystko w myśl dewizy: „Uniwersytet kształci ducha, AZS – ciało młodzieży”.

Już po trzech miesiącach doszło do historycznego występu – przed lubelską publicznością zadebiutowali piłkarze, pokonując w towarzyskim meczu ŻKS Makkabi 3:0. Kolejny rok przyniósł bardziej znaczące sukcesy. Podczas Akademickich Mistrzostw Polski w Krakowie Władysław Koziełł zdobył złote medale w pchnięciu kulą i rzucie dyskiem, a na mistrzostwach Polski seniorów Kazimierz Dzwonkowski wywalczył brąz w dziesięcioboju. Do wyróżniających się zawodników należeli także m.in.: skoczek Tadeusz Zwoliński, dyskobol Eugeniusz Staniak czy biegacz Bolesław Wróblewski.

W kolejnej dekadzie do głosu zaczęły dochodzić gry zespołowe. Siatkarki w 1937 r. były ósme w Polsce, a koszykarze rok później zwyciężyli w odbywających się w Lublinie Akademickich Mistrzostwach Polski. Na tym samym turnieju lubelscy siatkarze zajęli trzecie miejsce za Wilnem i Warszawą. W sportach zimowych osiągnięć było znacznie mniej. Mimo braku sztucznego lodowiska hokeiści uczestniczyli w rozgrywkach ligowych okręgu wołyńskiego. Z kolei Tadeusz Nawrot zajął 3 miejsce na mistrzostwach Polski w jeździe figurowej.

Po niepowetowanych stratach w gronie zawodników i działaczy, jakie przyniosła II wojna światowa, już w sierpniu 1944 roku zaczęto reaktywować organizację. Należeli wówczas do niej studenci KUL, UMCS i Politechniki Warszawskiej, która wtedy przez krótki okres miała siedzibę w Lublinie. W 1945 r. AZS liczył 120 osób, a już cztery lata później 936. Najlepsze wyniki uzyskiwali lubelscy hokeiści, którzy w 1948 r. zostali akademickimi mistrzami Polski. W 1949 r. stalinizacja sportu i szkolnictwa wyższego doprowadziła do gruntownej przebudowy AZS i zmiany nazwy na Akademickie Zrzeszenie Sportowe. Prasa nazywała organizację „terenem zabagnionym”, „siedliskiem wszelkiego rodzaju szumowin”. Do AZS dołączyły wyodręb-

nione z UMCS: Akademia Medyczna i Wyższa Szkoła Rolnicza, a mimo to członków ubywało. W połowie lat 50. do organizacji należało 358 osób. Sytuacja poprawiła się po liberalizacji systemu władzy i reaktywowaniu Akademickiego Związku Sportowego w 1957 r. W 1965 r. powstał nowy klub w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Lublinie. Azetesiakiem był wówczas co czwarty lubelski student. Największym zainteresowaniem cieszyły się siatkówka, koszykówka i lekka atletyka.

Na przełomie lat 60. i 70. wybudowano Ośrodek Sportów Wodnych nad jeziorem Piaseczno, na miasteczku akademickim UMCS powstał Akademicki Ośrodek Sportowy, zaś w Rogóżnie Ośrodek Sportowo-Wypoczynkowy AZS KUL. To na tych obiektach swoje pierwsze kroki stawiały m.in. siatkarki Małgorzata Denisow i Emilia Szczawińska-Osińska, zaliczane do grona zawodniczek wszech czasów, a także ich kolega spod siatki Tomasz Wójtowicz, późniejszy złoty olimpijczyk z Montrealu, który jako kilkunastoletni chłopak zasilił szeregi lubelskich azetesiaków. Na tych samych igrzyskach wystąpił też inny reprezentant lubelskiego AZS Andrzej Sontag, który okazał się wielkim objawieniem w trójskoku. Z kolei Władysław Domaszewicz, medalista mistrzostw Polski, zachwycał bajeczną techniką skoku w dal. Największy sukces w tamtym okresie odniosła jednak sekcja szermiercza. Pionierzy tej dyscypliny w AZS Lublin: Jan Janiszewski, Bohdan Przybyło i Andrzej Gottner, zapoczątkowali wspaniałe tradycje, w które wpisała się najjaśniejsza gwiazda w dziejach lubelskiego fechtunku: Arkadiusz Godel, złoty medalista IO w Monachium w 1972 r. i drużynowy mistrz świata z 1978 r.

Dziś o sile AZS stanowi 13 klubów uczelnianych zrzeszających ponad 3 tys. osób. Ostatnie lata to okres rozkwitu królowej sportu (m.in. dwukrotne mistrzostwo Polski). W składzie ekipy z Lublina są gwiazdy światowego formatu: Paulina Guba, Sofia Enaoui, Karolina Kołczek, Marcin Lewandowski, a także medalistki ostatnich igrzysk w Tokio: Małgorzata Hołub-Kowalik (złoto i srebro w biegach sztafetowych) i Malwina Kopron (brąz w rzucie młotem). Wielkich nazwisk nie brakuje także wśród pływaków (Konrad Czerniak, Jan Świtkowski, Jan Hołub, Laura Bernat). Piłkarki ręczne skupione wokół Wyższej Szkoły Społeczno-Przyrodniczej na wiele lat zdominowały rywalizację w Akademickich Mistrzostwach Świata. Po dłuższej przerwie odrodziła się także kobieca koszykówka. W 2017 r. drużyna sięgnęła po Puchar Polski.

Mariusz Karwowski



Wybrane wydarzenia jubileuszowe:

- Otwarcie alei/skweru AZS w Lublinie*
- Wystawa w Centrum Historii Sportu
- Odświeżenie okolicznościowego muralu
- Konferencja naukowa „Sport w szkole wyższej. Historia i współczesne problemy w zarządzaniu klubem uczelnianym AZS”
- Spotkanie pokoleń lubelskich azetesiaków (kwiecień)
- Bieg 100-lecia AZS Lublin (czerwiec)
- Jubileuszowy piknik (czerwiec)
- Tomasz Wójtowicz VolleyCup (wrzesień)
- Gala Sportu Akademickiego (21 października)

*Termin nieustalony

Łódź gotowa na igrzyska

O przygotowaniach do Europejskich Igrzysk Akademickich, które w dniach 17–30 lipca odbędą się w Łodzi, mówi Dominik Leżański, koordynator EUG 2022.

European Universities Games w Łodzi będzie trzecią po igrzyskach w Tokio i Pekinie, a czwartą – jeśli dojdzie do skutku przelozona z ubiegłego roku Uniwersjada w chińskim Chengdu – multisportową imprezą w czasie pandemii. Jak wiadomo, w dobie koronawirusa planowanie z półrocznym wyprzedzeniem jest wiele ryzykowne, niemniej jesteśmy przygotowani. Od wszystkich uczestników i wolontariuszy będziemy wymagać zaszczepienia. Podczas imprezy zastosujemy protokół covidowy, przewidujemy testowanie zawodników, zapewnimy miejsca izolacji.

Mamy już przygotowany program sportowy. On definiuje wiele innych elementów, jak zakwaterowanie, wyżywienie czy transport. Musieliśmy skorelować wszystkie elementy, a pamiętajmy, że niektóre dyscypliny, jak np. futsal, są rozgrywane na kilku obiektach i trzeba zadbać o identyczne podłoże. W sumie rywalizacja toczyć się będzie w 15 miejscach, nie tylko w Łodzi, ale także w Zgierzu i Pabianicach. Ceremonia otwarcia odbędzie się w Atlas Arenie.

Spodziewamy się przyjazdu około 6 tys. studentów. Ponieważ rejestracja zawodników wciąż jeszcze trwa, a my już musimy część rzeczy zamawiać, bardzo pomagają nam statystyki prowadzone przez poprzednich organizatorów, dotyczące np. regionów, z których

uczelnie zgłaszają się do poszczególnych rozgrywek. Łódź jest stosunkowo dużym miastem w porównaniu z dotychczasowymi lokalizacjami EUG. Dzięki temu mogliśmy zwiększyć liczbę dyscyplin z 13 przed czterema laty w Coimbrze, która ma około 140 tys. mieszkańców, aż do 20 u nas. Będzie też jedna dyscyplina pokazowa – siatkówka na siedząco. Spora odległość między oboma kampusami, z których korzystamy (UŁ i PŁ), to paradoksalnie zaleta. Obiekty sportowe są dość równomiernie rozłożone i dzięki temu szybciej się trafi. Większość nocujących na PŁ pokona dystans pieszo, bo nieopodal Zatoki Sportu powstaną boiska plażowe do siatkówki, piłki ręcznej i koszykówki 3 × 3.



Uczestnikom zapewnimy też atrakcje pozasportowe. Na obu kampusach powstaną strefy wieczornych spotkań, zaś w najbardziej rozpoznawalnym miejscu w Łodzi, czyli na ul. Piotrkowskiej, zaplanowaliśmy sambodrom – głośny, przebiewany, muzyczny pochód. Do tego FRSE zaprosi na Bieg Erasmusa. Będą też warsztaty edukacyjne i spotkania z ciekawymi gośćmi. Chcemy pokazać obcokrajowcom, że Łódź, i w ogóle Polska, jest fajnym miejscem, do którego można wrócić, np. na wymianę akademicką.

Notował MK



ŁÓDŹ 2022
EUROPEAN
UNIVERSITIES
GAMES
USA

Rywalizację w European Universities Games zainaugurowano w 2012 roku. Od tamtej pory odbywają się co 2 lata. Gospodarzem pierwszych igrzysk była **Kordoba**. Zmagania w 10 dyscyplinach toczyło 2583 zawodników ze 131 uczelni z 32 krajów. **Rotterdam** gościł 2830 studentów reprezentujących 174 uczelnie z 34 krajów. Kolejne EUG w **Zagrzebiu i Rijece** okazały się rekordowe pod względem frekwencji – zgromadziły 5 tys. studentów z 400 uczelni z 40 krajów. Ostatnie jak dotąd zawody zorganizowała portugalska **Coimbra** – ponad 4 tys. uczestników z 300 europejskich uczelni z 38 krajów. Igrzyska w **Belgradzie** w 2020 roku odwołano z uwagi na pandemię.

Wystartowały AMP-y

Ponad 20 tys. uczestników, 35 dyscyplin, blisko 1,5 tys. osób pracujących przy organizacji – ruszył kolejny sezon Akademickich Mistrzostw Polski. Tytułu broni Politechnika Gdańska.

Jako pierwsze do rywalizacji stanęły futsalistki, które w styczniu w Łodzi toczyły bój o awans do turnieju finałowego. Wśród 21 zespołów najlepiej zaprezentowały się zawodniczki Uniwersytetu Gdańskiego. Imprezę zorganizował Klub Uczelniany AZS Politechniki Łódzkiej, dla którego była to jedna z prób generalnych przed lipcowymi European Universities Games.

Pierwsze medale tegorocznych AMP-ów zostaną rozdane 26 lutego, gdy w Krakowie dobiegnie końca turniej finałowy w futsalu mężczyzn. Kilka dni później poznamy najlepsze futsalistki. W marcu z kolei odbędą się mistrzostwa w biegach przełajowych, narciarstwie i snowboardzie. W sumie do końca czerwca, kiedy jako ostatni do rywalizacji staną żeglarze, zaplanowano zawody w 35 dyscyplinach. Najwięcej imprez, na których zapadną decydujące rozstrzygnięcia, zorganizuje Uniwersytet Śląski (4). Wśród wszystkich gospodarzy są dwie uczelnie zawodowe (Państwowa Uczelnia Stanisława Staszica

w Pile – judo, Collegium Witelona Uczelnia Państwowa w Legnicy – półfinał piłkarek ręcznych) i jedna niepubliczna (Górnośląska Wyższa Szkoła Handlowa im. Wojciecha Korfańtego w Katowicach – szachy).

– Akademickie Mistrzostwa Polski to nasze flagowe rozgrywki, które rokrocznie gromadzą na starcie wiele tysięcy studentów. Po doświadczeniach z dwóch poprzednich lat wiemy już, w jaki sposób bezpiecznie przygotować i zorganizować zmagania dla pasjonatów sportu – mówi Dariusz Piekut, sekretarz generalny Akademickiego Związku Sportowego, który jest organizatorem cyklu AMP.

W poprzednim sezonie cykl Akademickich Mistrzostw Polski po raz drugi z rzędu wygrała Politechnika Gdańska. Na podium stanęli też studenci Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie i Uniwersytetu Warszawskiego. W klasyfikacji medalowej triumf odniosła Akademia Wychowania Fizycznego im. Jerzego Kukuczki w Katowicach (22 złote, 14 srebrnych, 15 brązowych). W całym sezonie sklasyfikowano 123 uczelnie z całej Polski.

MK

Rozmowa z dr hab. Mirosławą Jarmołowicz, prof. AS, rektorem Akademii Sztuki w Szczecinie

Sztuki muzyczne i wizualne

Istotną sprawą jest realizacja projektów interdyscyplinarnych, aby tworzyć mosty zamiast murów pomiędzy środowiskami.



Co wyróżnia szczecińską Akademię Sztuki spośród innych polskich uczelni artystycznych?

Akademia Sztuki jest najmłodszą publiczną uczelnią artystyczną w Polsce i zarazem jedyną, która łączy sztuki muzyczne i plastyczne. Charakteryzuje nas duża dynamika rozwoju. Akademia zaczęła działalność w 2010 roku z trzema wydziałami: sztuk wizualnych, wydziałem instrumentalnym i edukacji muzycznej oraz z liczbą około 400 studentów. W bieżącym roku akademickim mamy już osiem wydziałów, na których studiuje około 880 studentów; podwoiła się też liczba pracowników dydaktycznych. Obecnie cała społeczność akademicka liczy około 1400 osób.

Środowisko artystyczne Szczecina przez wiele lat zabiegało o utworzenie Akademii Sztuki. Wspomnę zwłaszcza o prof. Marii Radomskiej-Tomczuk i prof. Andrzeju Tomczaku, założycielach Wyższej Szkoły Sztuki Użytkowej, która stała się zalążkiem późniejszej akademii.

Obok Wyższej Szkoły Sztuki Użytkowej należy jeszcze wymienić Katedrę Edukacji Artystycznej Uniwersytetu Szczecińskiego oraz szczecińską filię Akademii Muzycznej w Poznaniu, dzięki której utworzyliśmy Wydział Instrumentalny. Jednak najliczniejsza grupa późniejszych studentów i wykładowców rekrutowała się spośród osób związanych z Wyższą Szkołą Sztuki Użytkowej.

Pani także pracowała w tej uczelni.

Tak, od 1996 roku, czyli praktycznie od początku. Współpracowałam z wieloma świetnymi profesorami z Poznania, gdyż w Szczecinie nie mieliśmy jeszcze odpowiednio wykształconej kadry. Profesorowie Janusz Stankowski, Józef Jurek i Eugeniusz Matejko stanowili trzon Wydziału Architektury Wnętrz. Muszę podkreślić, że poziom był bardzo wysoki i ten potencjał wraz z wykładowcami i studentami został wprowadzony do Akademii Sztuki. W Wyższej Szkole Sztuki Użytkowej mieliśmy studia jednolite, co obecnie – po wprowadzeniu studiów dwustopniowych – uważam za zaletę i nie dziwię się, że wiele uczelni artystycznych rozważa powrót do tej formy. W WSSU dużo się rysowało, dużo makietowało, a na Wydziale Architektury Wnętrz czy Wydziale Grafiki było znacznie więcej godzin prze-

znaczonych na przedmioty artystyczne niż obecnie. Gdy staliśmy się uczelnią publiczną finansowaną przez ministerstwo, te proporcje się zmieniły, liczba godzin z przedmiotów artystycznych została bardzo ograniczona, a studenci kierunków związanych ze sztuką użytkową koncentrują się głównie na pracy z komputerem. Rysunek, mówiąc kolokwialnie, idzie na bok, co na pewno nie jest dobrym zjawiskiem. Próbujemy to zmienić.

Widzi pani konieczność przywrócenia rangi przedmiotom artystycznym?

Oczywiście, myślenie artystyczne przekłada się na jakość projektów. Artyści w ciągu tysięcy lat wyrabiali sobie myślenie konceptualne poprzez rysunek i tego nie da się zmienić. Niektórzy studenci są przekonani, że komputer zrobi za nich wszystko, a tak nie jest, szczególnie na etapie koncepcyjnym. Tymczasem dochodzi do takich paradoksów, że zajęcia z rysunku są prowadzone tylko na pierwszym roku. To stanowczo za mało.

Ustawa 2.0 umożliwiła ograniczenie roli wydziałów i wzmocnienie pozycji rektora. Jakie organy kolegialne funkcjonują w Akademii Sztuki i jak kształtuje się ich współpraca z rektorem?

Po przejęciu władzy 1 września 2020 roku wraz ze współpracownikami zajęliśmy się przede wszystkim restrukturyzacją, uznając, że nie jesteśmy w stanie budować dobrej struktury uczelni, jeśli fundamenty są złe. A były złe, istniejąca struktura się nie sprawdzała.

Dlaczego?

Nasza uczelnia kształci w dwóch dyscyplinach – w sztukach muzycznych i plastycznych. Ponieważ dziekan kierował dyscypliną, a nie wydziałem, mieliśmy tylko dwóch dziekanów. Tymczasem sztuki muzyczne obejmują trzy wydziały, a plastyczne pięć. Proszę sobie wyobrazić, jak ten dziekan był przeciążony, skoro na głowie miał sprawy dydaktyczne i naukowe wszystkich podlegających mu jednostek. Byli też co prawda prodziekani, jednak panował chaos kompetencyjny i organizacyjny. W ramach restrukturyzacji przywróciliśmy autonomię i znaczenie wydziałów, a rady wydziałów stały się organami kolegialnymi, tak jak Senat, Rada Uczelni i Rada Dyscypliny. Wszystkie te organy mają ściśle określone kompetencje i zadania. Zwiększyła się liczba osób zarządzających. Obecnie mamy ośmiu dziekanów, bo jest osiem wydziałów, a za chwilę może być dziewięć, gdyż utworzyliśmy nowy kierunek, gry komputerowe i rzeczywistość wirtualna, który cieszy się dużym powodzeniem wśród kandydatów na studia. Strategia rozwoju wydziałów jest tak skonstruowana, że opiera się na strategii całej uczelni. Rozdzieliliśmy kompetencje dziekanów, którzy odpowiadają teraz wyłącznie za sprawy dydaktyczne, od kompetencji Rady Naukowej Dyscypliny, która zajmuje się sprawami naukowymi. Pozostałe organy kolegialne to Senat jako najliczniejsza reprezentacja społeczności akademickiej oraz Rada Uczelni złożona z siedmiu członków. Jest to dla nas bardzo ważny organ, bo on opiniuje akty prawne, ustalenia dotyczące strategii, statutu, sprawozdania z realizacji strategii, planu rzeczowego finansowego, ale też monitoruje zarządzanie

akademią, czyli ma nadzór nad Kolegium Rektorskim. Przewodniczącym rady jest Stanisław Ruksza, dyrektor Trafostacji Sztuki w Szczecinie. Moja współpraca z wszystkimi organami kolegialnymi układa się bardzo dobrze także dlatego, że istnieje jasny podział kompetencji. Mamy jasność, jaka jest rola rektora, a jaka dziekana i pozostałych gremiów i, pomimo że ustawa na to pozwala, uważam, że rektor nie powinien decydować samodzielnie o sprawach naukowych i dydaktycznych danego wydziału. Zresztą autonomia wydziałów ma wielowiekową tradycję.

Jest pani pierwszym rektorem Akademii Sztuki spoza obszaru sztuk muzycznych. Które z punktów pani programu wyborczego zatytułowanego „Wspólna przyszłość ponad podziałami” udało się zrealizować, a które okazały się problematyczne?

Problemem był przede wszystkim Covid-19, chociaż okazało się, że w rzeczywistości pandemii można nauczyć się funkcjonować. Dla nas istotne było to, żeby prowadzić uczelnię w kierunku, który nam wydaje się słuszny, żeby przekonać do tego większość osób, żeby powstawało więcej projektów interdyscyplinarnych, zgodnych z ideą uczelni. To wszystko jest trudne i wymaga czasu.

W szczecińskiej prasie szerokim echem odbiła się sprawa zwolnienia poprzedniego rektora, prof. Dariusza Dyczewskiego.

Prof. Dyczewski został zwolniony 5 marca 2021 roku na podstawie regulaminu pracy, gdy udzielił wywiadu szczecińskiemu magazynowi, przedstawiając nieprawdę o moim zarządzaniu i gospodarowaniu środkami publicznymi. Później odbyło się wiele mediacji, a ostatecznie po piątej, sądowej mediacji i po zamieszczeniu przez pana profesora sprostowania w prasie został on przywrócony do pracy. Spotkaliśmy się później i ustaliliśmy – zgodnie z zasadami dobrych praktyk na uczelniach – że jako rektorzy, mając na celu dobro uczelni, będziemy się wspierać.

Konflikt został więc zażegnany?

Tak. Jesteśmy wszyscy, studenci i wykładowcy obu dyscyplin, na jednym okręcie i mamy wspólnie świadomość, że tylko wzajemny szacunek i wsparcie pozwoli nam płynąć do celu. A wracając do programu wyborczego – to był nie tylko mój program,





Fot. K. Sokoł

opracowałam go wspólnie z kolegami. Program przerodził się w strategię i, co istotne, została ona jednogłośnie zatwierdzona na posiedzeniu Senatu 30 grudnia 2020, czyli w roku, kiedy przejęliśmy władzę. Bardzo mnie to ucieszyło, bo świadczyło, że planowany kierunek rozwoju jest akceptowany przez całą społeczność akademicką. Wcześniej, od 2017 roku, uczelnia nie miała strategii zaakceptowanej przez Senat, ten statek dryfował bez ustalonego celu. Społeczność akademicka uznała, że zmiany, które proponowałam, są dobre, mimo że jest ich tak dużo, że można je nazwać małą rewolucją. Poczynając od zmian strukturalnych, organizacyjnych, administracyjnych, kompetencyjnych, zmian niemal wszystkich aktów prawnych, w tym statutu, aż po zmianę strony internetowej. Przy tym zakresiliśmy wizję rozwoju akademii na najbliższe cztery lata.

Jaka jest ta wizja?

Jak zakłada strategia, najważniejszym podmiotem na uczelni są studenci. Zawsze starałam się realizować to, czego oczekują. Jeszcze przed wyborami rektora na obecną kadencję posłam na zebranie Samorządu Studenckiego, aby dowiedzieć się, czego

najbardziej potrzebują studenci. „Wyobraźcie sobie – mówię – że przychodzi do was wróżka z czarodziejską różdżką: powiedzcie o czym marzycie i to zostanie zrealizowane”. Powiedzieli mi wtedy, że chcą psychologa i stałej porady psychologicznej. Przez całe wakacje szukałam odpowiedniej osoby, ale w końcu udało się zapewnić stałą pomoc psychologiczną dla studentów i pracowników uczelni, została też powołana rzeczniczka do spraw równego traktowania. Istotne są także studenckie sprawy socjalne. Zawarliśmy porozumienie z Zachodniopomorskim Uniwersytetem Technologicznym, aby studenci mogli korzystać z uniwersyteckich akademików. Współpracu-

jemy też z władzami miasta i samorządem, pozyskujemy dla naszych absolwentów mieszkania, z których mogą korzystać na preferencyjnych warunkach. W tym roku akademickim z takiej możliwości skorzystało trzech absolwentów, myślimy już o następnych. Przygotowujemy też punkt kawowy dla studentów; dotąd w żadnym z naszych obiektów nie było takiego miejsca, gdzie można by się wspólnie napić kawy czy zjeść posiłek, a są to przecież sprawy podstawowe. Następna istotna sprawa to realizacja projektów interdyscyplinarnych, żeby wykorzystać potencjał, jaki daje uczelnia, która ma dwie dyscypliny, muzyczną i plastyczną, aby tworzyć mosty zamiast murów pomiędzy środowiskami. Takich projektów jest dużo.

Jakieś przykłady?

Podpisaliśmy umowę z parkiem technologicznym Pomierania, w którym odbywają się wspólne projekty Wydziału Instrumentalnego, Wokalnego i Wydziału Grafiki w oparciu o zaawansowane technologie. Przygotowujemy się także do prowadzenia tzw. nauczania synestetycznego, łączącego studentów kierunków muzycznych i sztuk wizualnych. Współpracujemy z uniwersytetami w Kenii w zakresie sztuki i edukacji artystycznej w perspektywie transkulturowej. Współpraca obejmuje takie dziedziny jak moda, taniec, malarstwo, fotografię, rzeźbę, instalacje i filmy. Projekt realizowany jest z funduszy europejskich.

Widzę konieczność realizowania projektów interdyscyplinarnych, bo inaczej idea tej szkoły nie miałaby sensu. Pomysłów jest bardzo dużo, zgłaszają je i studenci, i profesorowie. Stawiamy na rozwój kierunków, które idą w stronę interdyscyplinarności. Najnowszy z nich, gry komputerowe i rzeczywistość wirtualna, jest interdyscyplinarny, bo wiąże się nie tylko z pracą grafików, ale też muzyków. Od przyszłego roku, w związku z potrzebami rynku pracy i jazzowymi tradycjami Szczecina, planujemy uruchomić kierunek jazz i muzyka rozrywkowa. W przyszłości chcemy także utworzyć wydział teatralny, którego brakuje na Pomorzu Zachodnim. Na akademii mamy już załączek tego wydziału, mianowicie pracownię scenografii, która działa na Wydziale Architektury Wnętrz. Jeżeli wydział teatralny powstanie, to w dalszej kolejności



Fot. Archiwum AS

myślimy o specjalności tancerz oraz reżyseria światła i reżyseria dźwięku.

Istotne również jest to, że mimo pandemii dynamicznie współpracujemy z różnymi ośrodkami w Europie i na świecie w zakresie zarówno sztuk wizualnych, jak muzycznych. Jako przykład podam stałą współpracę Wydziału Grafiki oraz kierunku gry komputerowe i rzeczywistość wirtualna z uniwersytetem w Tokio – dwa razy do roku odbywają się wystawy i konferencje zdalne, naprzemiennie w Szczecinie i w Tokio.



Fot. Archiwum AS

Wystawy także mają charakter wirtualny?

W większości nie. Prace prezentujemy w galeriach, natomiast kontaktujemy się on-line. Zainicjowaliśmy także kontakty z wieloma uczelniami w Europie i Azji, mając nadzieję na dobry rozwój współpracy m.in. w ramach Erasmusa. Pandemia w szerokim zakresie nauczyła nas wykorzystywania narzędzi i metod komunikowania się na odległość.

A jak rozwija się infrastruktura akademii w związku z dużym przyrostem liczby studentów?

Rozwój infrastruktury to także bardzo ważny element naszej strategii. Mam satysfakcję, że po roku zrealizowaliśmy już wiele planowanych inwestycji. Obecnie jesteśmy właścicielami trzech pałaców położonych w centrum miasta i dwóch kamienic. Jedną z nich, dawny budynek Wyższej Szkoły Sztuki Użytkowej, powinniśmy wyłączyć z użytkowania, pomimo sentymentów związanych z tym miejscem. Problemem jest m.in. wilgoć i brak dostępu dla osób z niepełnosprawnością. Druga kamienica służyła nam jako hotel, ale w dobie pandemii jest zbyt kosztowna w utrzymaniu, więc zamierzamy ją sprzedać.

Natomiast 7 grudnia 2021 udało nam się sfinalizować zakup Pałacu Jońskiego, który sąsiaduje bezpośrednio z naszą główną siedzibą, czyli z Pałacem pod Globusem. Pałac Joński przeszedł generalny remont w 2000 roku i spełni wszelkie nasze pałacowe potrzeby na dłuższy okres, więc adaptacja będzie miała niewielki zakres i nie będzie zbyt kosztowna. Z kolei Pałac Ziemstwa Pomorskiego, ze wspaniałą Salą Giełdy, to prawdziwa skarbonka bez dna, za to jest niezwykle piękny. W tej chwili kończymy remont przyziemia i Sali Giełdy, brakuje nam jeszcze sporych funduszy na dokończenie remontu.

Jesteśmy w trakcie przygotowania procesu inwestycyjnego związanego z realizacją Centrum Sztuki Łaziebna. Mamy obietnicę pozyskania niezabudowanej działki w kwartale, gdzie mieści się Pałac pod Globusem oraz Pałac Joński. Dysponujemy już projektem obiektu, w którym będzie nowoczesna wielofunkcyjna sala koncertowa, a zarazem wykładowa na ok. 140 miejsc, spełniająca wszelkie potrzeby funkcjonalne, techniczne i akustyczne, poza tym dwie galerie, pokoje gościnne i kawiarnię. Wspomniany obiekt zamierzamy zrealizować w ciągu najbliższych trzech lat.



Fot. Archiwum AS

Jak wyglądała organizacja zajęć w czasie pandemii i jak pani ocenia jej wpływ na jakość kształcenia artystycznego?

Ogromną stratą dla środowiska, którą ponieśliśmy w związku z pandemią, była śmierć prof. Jacka Kraszewskiego, uznanego muzyka dyrygenta, który pracował u nas od początku. Rok temu, z powodu pandemii, inauguracja odbyła się w trybie zdalnym. Wrzesień i październik 2020 roku były chyba najgorszym okresem, ponieważ powstały dwa duże źródła choroby, akurat na wydziale muzycznym i sztuk wizualnych. Obecnie monitorujemy stan zachorowań bez przerwy. Od tamtego momentu nie zdarzyło się, żeby liczba osób w izolacji czy na kwarantannie była większa niż 1% całej społeczności; maksymalnie było to 8-10 osób. Myślę, że powoli uzyskujemy odporność zbiorową, więc wprowadzaliśmy ostrożnie zajęcia bezpośrednie. Wykłady dla dużych grup studentów nadal są prowadzone on-line, uznałam natomiast, że w przypadku sztuk muzycznych oraz zajęć praktycznych na sztukach wizualnych nie można utrzymać dobrego poziomu inaczej, jak poprzez nauczanie bezpośrednie, oczywiście przy zachowaniu wszystkich obostrzeń związanych z pandemią. Taka organizacja studiów przyniosła bardzo dobre rezultaty. Nie zdarzyło się nic groźnego poza pojedynczymi incydentami. Jeśli okazywało się, że jakiś student czy wykładowca w grupie jest zakażony, wówczas natychmiast przechodziliśmy na formę on-line i przez odpowiedni czas prowadziliśmy zajęcia w takiej formie.

Mimo trudnego okresu pandemicznego prowadzimy działania artystyczne, organizujemy i uczestniczymy w konferencjach i sympozjach, czego przykładem jest Interdyscyplinarne Sympozjum na temat Nauki Sztuki i Technologii MEDEA, które w tym roku odbyło się w Salonikach, i w którym wzięłam udział wraz z naszymi pracownikami i studentami. Wraz z trzema japońskimi uczelniami współorganizowaliśmy konferencję naukowo-artystyczną Incast, której towarzyszyła wystawa prac artystycznych. Organizowaliśmy cykliczny festiwal sztuki Młode Wilki, który jest skierowany do studentów wyższych szkół artystycznych. Mimo pewnych obaw zdecydowałam także, że Międzynarodowy Festiwal Saksofonowy odbędzie się u nas, na miejscu, w akademii. Ten festiwal, organizowany przez profesora Dariusza Samóla, ma już dwudziestoletnią tradycję. Natomiast konkurs wokalny im. Carla Loeve ze

względem na pandemię odbył się w formie on-line, na podstawie nagrań nadesłanych przez uczestników.

Czy pandemia wpłynęła na wyniki rekrutacji?

Co jest interesujące, mimo pandemii ostatnia rekrutacja była dla nas zaskakująco dobra. W przypadku grafiki projektowej mieliśmy około 5 osób na jedno miejsce, niewiele mniejszym powodzeniem cieszyły się gry komputerowe. W czasie pandemii uczelnia cały czas funkcjonowała. Ta ciągłość jest dla nas bardzo ważna, bo w tym roku musimy przygotować się do ewaluacji. Jest to trudny czas, jak wiadomo, ewaluacja decyduje o „być albo nie być” uczelni. Obecnie posiadamy kategorię A w sztukach plastycznych i kategorię B w sztukach muzycznych i musimy udowodnić, że bardzo dobrze rozwijamy się naukowo i artystycznie. Najważniejsze, aby utrzymać poziom nauczania i to nam się udaje. Uczestniczę niemal we wszystkich wydarzeniach związanych ze studentami: w koncertach, wystawach, dyplomach. Ostatnio byłam w Filharmonii Szczecińskiej na pokazie dyplomów z Wydziału Wzornictwa, który jest u młodym kierunkiem. Pokaz był rewelacyjny. Studenci tego kierunku reprezentują świetny poziom, uzyskują wiele prestiżowych nagród. Oczywiście podobnymi sukcesami mogą się cieszyć studenci innych kierunków.

Nie tylko poziom dyplomów dobrze świadczy o naszej uczelni. Podczas rozdzielania subwencji otrzymaliśmy dodatkową kwotę w wysokości 1,5 miliona zł, która była najwyższym dodatkiem subwencyjnym spośród dziewiętnastu przyznanych publicznych uczelniom artystycznym. Wynika to ze znaczącej liczby awansów naukowych, z rosnącej liczby studentów oraz wielu innych algorytmów. Po zakończeniu ewaluacji, jeśli ona dobrze wypadnie, chcielibyśmy uruchomić szkołę doktorską. Jesteśmy już do tego całkowicie przygotowani.

Istotne na przyszłość jest to, że wiemy, dokąd zmierzać, mamy energię i pasję do wszelkich wyzwań, mamy zdolnych, wspaniałych studentów, poczucie misji i roli uczelni dla naszego miasta. Jedyne, czego możemy sobie życzyć, to abyśmy w tych trudnych czasach mogli funkcjonować w zdrowiu, spokoju i pewności jutra.

Rozmawiała Krystyna Matuszewska



Waldemar Rapior

Autonomia, Big Science i świat poza murami

Mamy dostatecznie dużą wiedzę, aby wskazać plusy i minusy projektacji uniwersytetu. Określenie tożsamości nauki, tak aby była ona integralną częścią rozumienia i poznania nas samych i świata, wydaje mi się dziś nie tylko niezmiernie istotne, ale i konieczne.

Jak pisała badaczka życia uniwersyteckiego Mollie Dollinger, w kularowych rozmowach z akademikami często pojawia się pytanie: „Jakie realizujesz projekty?”. Sugeruje ono, że naukowcy powinni pracować nad czymś więcej niż tylko rutynowa praca akademicka. Jednocześnie realizacja projektów wypycha naukowców w nową rutynę: pisanie wniosków, składania sprawozdań i pracy administracyjnej. Projekt stał się jednym z podstawowych narzędzi networkingu i powszechną formą awansu akademików, a także osób wykonujących profesje nowej klasy średniej.

Krytycy projektacji zwracają uwagę na niedopasowanie uniwersytetu do świata projektowego. Teoretycy zarządzania dawno wykazali, że projekty realizowane bez wsparcia instytucjonalnego częściej się nie udają i wymagają poświęcenia osobistych zasobów (np. pracy na prywatnych laptopach czy wykonywania zadań w czasie wolnym i podczas urlopów). Projekt nie jest „samotną wyspą” – jego sukces zależy od tego, czy instytucja traktuje go priorytetowo i jakie zasoby – administracyjne, finansowe, ludzkie – kieruje, aby go wesprzeć. Inni badacze podkreślają, że naukowcom brakuje podstawowej umiejętności projektowej – współpracy, zwłaszcza interdyscyplinarnej. Jak pisali przedstawiciele socjologii fenomenologicznej, współpraca wymaga nie tyle przekonywania do własnej racji, co „przekładalności perspektyw”: dostrzegania i rozumienia punktów widzenia różniących się od własnego. W licznych badaniach mówi się o depresji, zmęczeniu, wypaleniu i stresie naukowców i naukowców, ignorancji pracowników naukowych z długoletnim stażem wobec młodych i badaczy bez etatu, mobbingu, przeciążeniu pracą administracyjną, braku wynagrodzeń za pisanie tekstów naukowych, niskim poziomie sukcesu w agendach finansujących projekty, niewielkich środkach kierowanych na naukę z budżetu państwa w Polsce. Większość tych patologii pojawia się nie tylko na uniwersytetach.

Krytyka projektacji uniwersytetu często przeciwstawia sobie dwa typy idealne: „krótkie projekty naukowe” i „długoletnią pracę badawczą”, „czas projektu” (zdekontekstualizowany, z określonym początkiem i końcem etc.) i „czas procesu” (nieliniarny, zależny od kontekstu, z nieokreśloną przyszłością etc.).

Ten pierwszy jest utożsamiany z elastycznością i efektywnością, ten drugi z autonomią i wolnością naukową. Beata Jałocha z Michałem Zawadzkim (w artykule *Projektacja uniwersytetu. Podejście krytyczne*) wskazują, że czas projektowy prowadzi do „utrąty tożsamości uczelni, wolności i uniwersyteckiej autonomii”. Czym są w świecie akademickim te wartości: autonomia i wolność?

W telegraficznym skrócie opiszę, jak ideał autonomicznej, czystej nauki został zastąpiony przez Big Science – naukę wykazującą wpływ na świat i społeczeństwo. Sprojektywana nauka, której bolączki opisałem powyżej, wyewoluowała z tej ostatniej. Obserwując rozwój nauki (jest ona dziś ściślej związana ze światem poza murami akademii niż za czasów Big Science) oraz zmiany społeczne, których doświadczamy, twierdząc, że znaleźliśmy się w momencie „po-projektacji”. Stoimy u progu nowego ideału nauki. Co się na niego składa?

Od autonomii, przez Big Science, do ścisłego związku ze społeczeństwem

Autonomia nauki wywodzi się z XIX-wiecznego ideału naukowca – indywidualisty i bohatera. Humboldt i Darwin stanowili wzór do naśladowania. W myśl tego ideału ocena wykonalności przedsięwzięcia czy projektu była drugorzędna, finansowanie otrzymywał naukowiec (rzadko naukowczyni). W zachodnim świecie nauki ideał ten został wzmocniony, a jednocześnie podważony, podczas realizacji Projektu Manhattan. Z jednej strony, w ramach prac nad pierwszą bombą atomową, naukowcy uzyskali autonomię i wolną rękę w rozwiązywaniu problemów. Nikt nie wiedział, czym jest bomba atomowa, dopóki nie została zdetonowana. Z drugiej strony, budowa bomby związała eksplorację naukową z celem wyznaczonym przez zewnętrzną wobec uniwersytetu instytucję (rząd USA) oraz biznesem (komponenty bomby produkowały takie firmy jak Chrysler, DuPont, General Electric). Kierownicy projektu, Leslie Groves, odpowiedzialny za jego wojskową część, i J. Robert Oppenheimer za naukową, dobrze rozumieli naturę pracy projektowej, opartej na relacjach międzyludzkich (motywowaniu pracowników, angażowaniu całego czasu naukowców

w pracę nad projektem, rozwiązywaniu konfliktów w zespole etc.). Projekt Manhattan wyznaczył kierunek zmian, jakie zaszły na zachodnich uniwersytetach.

Autonomia nauki po II wojnie światowej nie była jednoznaczna. Z jednej strony napływ publicznych środków do świata akademii dał naukowcom wolność w realizacji pomysłów, które ich interesowały, a także możliwość kształcenia studentów w niespotykanym dotąd tempie. Był to czas, w którym wierzyliśmy, że „samotny geniusz” albo grupa młodych pozbawionych nadzoru naukowców mogą doprowadzić np. do odkrycia struktury DNA. Jednocześnie nauka w tamtym okresie była głęboko seksistowska, wykluczała niebiałych badaczy, rzadko doceniała naukową pracę kobiet. Świat autonomii naukowej sprzyjał nierównościom. Więcej, autonomią nauki uzasadniano wykluczenie kobiet, osób o różnym poziomie sprawności fizycznej czy różnym kolorze skóry ze świata akademii. Badacze nie mieli też nawyku usprawiedliwiania się ze swojej pracy osobom spoza uniwersytetu.

Projekt Manhattan zrodził inny model nauki – Big Science, naukę służebną wobec świata pozanaukowego. Projekt ten przyczynił się do zmiany zapotrzebowania na wiedzę naukową, dzięki niemu pojawiły się nowe rządowe agencje finansujące naukę. Zmieniła się również struktura pracy naukowców. Jak twierdzą historycy nauki, wielkich przełomów ery powojennej dokonano nie dzięki swobodnemu uprawianiu nauki przez wolne umysły, ale raczej dzięki współpracy międzyinstytucjonalnej, która nie traciła z oczu konkretnych celów społecznych. Jedną z cen, jaką trzeba zapłacić, gdy wymagania wobec nauki zamieniają się w „naukę na żądanie”, lub w życzliwszej interpretacji – „odpowiedzialnej wobec społeczeństwa”, jest rezygnacja z indywidualnej autonomii.

Heather Douglas pyta: czy problem z dzisiejszą nauką polega na utracie autonomii, czy na niezdolności naukowców do określenia, przed kim mają być odpowiedzialni? Do jakich odbiorców należy kierować obiektywną wiedzę naukową? Można spekulować o istnieniu hierarchii odbiorców; z pewnością podmioty dysponujące dużymi pieniędzmi są na jej szczycie, a to może być powodem nadużyć obiektywności nauki (np. lobbyści paliw kopalnych kształtują opinię publiczną poprzez finansowanie naukowych projektów podważających wpływ człowieka na zmiany klimatu). Sue Rosser zauważyła, że – jak na ironię – wiele aspektów sprzecznych z modelem autonomicznej nauki, takich jak konkurencja, duże zespoły, wpływ przemysłu i rządu oraz duża skala, jest tym, czego potrzebujemy w walce z pandemią Covid-19. Pozostaje pytanie, czy rządy i międzynarodowe organizacje ochoczo finansujące naukę sprostają zadaniu politycznemu, np. zachęceniu do szczepień, wsparciu essential workers oraz dystrybucji szczepionki do krajów Globalnego Południa? Podobnie jest w przypadku nauki zajmującej się zmianami klimatu: czy nauka powinna poprzestać na badaniach, nie troszcząc się o to, jak i przez kogo wiedza zostanie wykorzystana?

Według Douglasa kluczowe dla nauki są obowiązki wobec szerszego społeczeństwa, aby respektować zasady moralne (np. w badaniach na ludziach i zwierzętach) i pomagać społecznościom w wyjaśnianiu świata i realizacji ich celów. Piszę te słowa, śledząc od miesięcy (w raportach Grupy Granica, Amnesty International, Human Rights Watch i świadectwach bezpośrednich świadków: dziennikarzy, aktywistek i mieszkańców Podlasia) szczegóły łapanek i wywozek uchodźców i migrantów, dokonywanych przez polskie służby na granicy polsko-białoruskiej. W tym kontekście jest istotne, aby świat nauki umiał odpowiedzieć w sposób humanitarny na tę sytuację i działania podjęte przez organizację prochodzące i promigracyjne. Mamy wiele przykładów współpracy między organizacjami obywatel-

skimi a nauką, które zmieniły oblicze projektów naukowych. W latach 60. XX wieku pacjentki z rakiem piersi w Stanach Zjednoczonych czuły, że są traktowane przez ekspertów przedmiotowo, a choroba podmiotowo. Kobiety weszły we współpracę z lekarzami i naukowcami, a ich inicjatywa zmieniła podejście do badań i leczenia raka piersi. W nauce o zmianach klimatu coraz powszechniejsza staje się współpraca między naukowcami i obywatelami w ramach citizen science.

Trudno nie zgodzić się z Douglasem, że ideał autonomicznych badaczy uprawiających naukę dla niej samej nie służył zbyt dobrze społeczeństwu. Trudno również zaakceptować patologie sprojektyzowanej Big Science, o których wspominałem powyżej. Tym trudniej je zaakceptować, im częściej badacze gospodarki przekonują, że jesteśmy dziś świadkami zmiany paradygmatu ekonomicznego – już nie konsumpcja i produkcja okazują się istotne w dobie kryzysu klimatycznego, pandemicznego, migracyjnego i starzenia się społeczeństw europejskich, lecz dystrybucja zasobów, które zostały wytworzone. Akademiczki i akademicy realizujący postulaty slow science powołują się na ideę postwzrostu, aby uzasadnić tę zmianę na uniwersytetach. Jeśli projekt jest niezwykle efektywną ramą organizacyjną, jak należy przekształcić uniwersytet, aby nie wzmacniał patologii w pracy naukowców?

Nowy ideał nauki

Od nauki autonomicznej, przez Big Science, czyli naukę uzasadniającą przed określoną publicznością potrzebę wydatkowania dużych środków finansowych, dojrzałyśmy do nauki, która jest ściśle związana ze społeczeństwem na wielu poziomach. Patrząc na kontekst społeczno-ekonomiczno-polityczny, w jakim uprawiamy dziś projekty naukowe, jesteśmy w momencie wymyślania tożsamości naukowej na nowo. Musimy znaleźć nowy ideał, w którym będzie miejsce i na autonomię naukową, i na nowoczesną efektywność i elastyczność obiecaną przez projektyzację, i na ścisły związek nauki ze światem poza murami akademii. Ekonomisci heterodoksyjni powiedzieliby, że ekonomicznie jesteśmy na to gotowi. Na pytanie, jak zapłacić za lepsze warunki pracy naukowców, można by odpowiedzieć za ekonomistką Paviłiną R. Tcherneva: „tak samo jak sfinansowano walkę z pandemią”. Wielu badaczy zmian klimatu dodałoby: musimy szukać nowego ideału nauki, jeśli chcemy, literalnie, przetrwać.

Jaki zatem przyjąć model? Powód rozpoczęcia projektu nie zawsze musi być warunkowany przez jakiś problem lub brak (jak w mainstreamie zarządzania projektami). Impulsem do realizacji projektu może być marzenie. Aby marzyć, potrzebne są jakieś formy autonomii i spontaniczności. Darwin nie określał siebie słowem „naukowiec”. Słowa scientist po raz pierwszy użył William Whewell w marcu 1834 roku. Darwin był wówczas na wyspach Falklandzkich. Angielski biolog był raczej odkrywcą, poszukiwaczem przygód, obserwatorem, pamiętnikarzem. Coś z tej przygody powinno pozostać w świecie nauki. Jednocześnie, jak pokazuje naukowa odpowiedź na pandemię Covid-19, istotna jest również nowoczesna efektywność i elastyczność, które badacze projektyzacji wiążą z projektem jako formą organizacyjną. Szukając nowego modelu nauki, należy wziąć pod uwagę zmiany paradygmatu ekonomicznego oraz hiperzłożoność problemów, z którymi musimy się dziś mierzyć. Mamy dostatecznie dużą wiedzę, aby wskazać plusek i minusy projektyzacji uniwersytetu. Określenie tożsamości nauki, tak aby była ona integralną częścią rozumienia i poznania nas samych i świata, wydaje mi się dziś nie tylko niezmiernie istotne, ale i konieczne. Nauka to skromne przedsięwzięcie. Zatrzymanie gospodarek w trakcie pandemii Covid-19 uświadomiło historyczną naukę Jes-

sice Riskin, że nauka powinna być połączona z innymi dziedzinami życia społecznego.

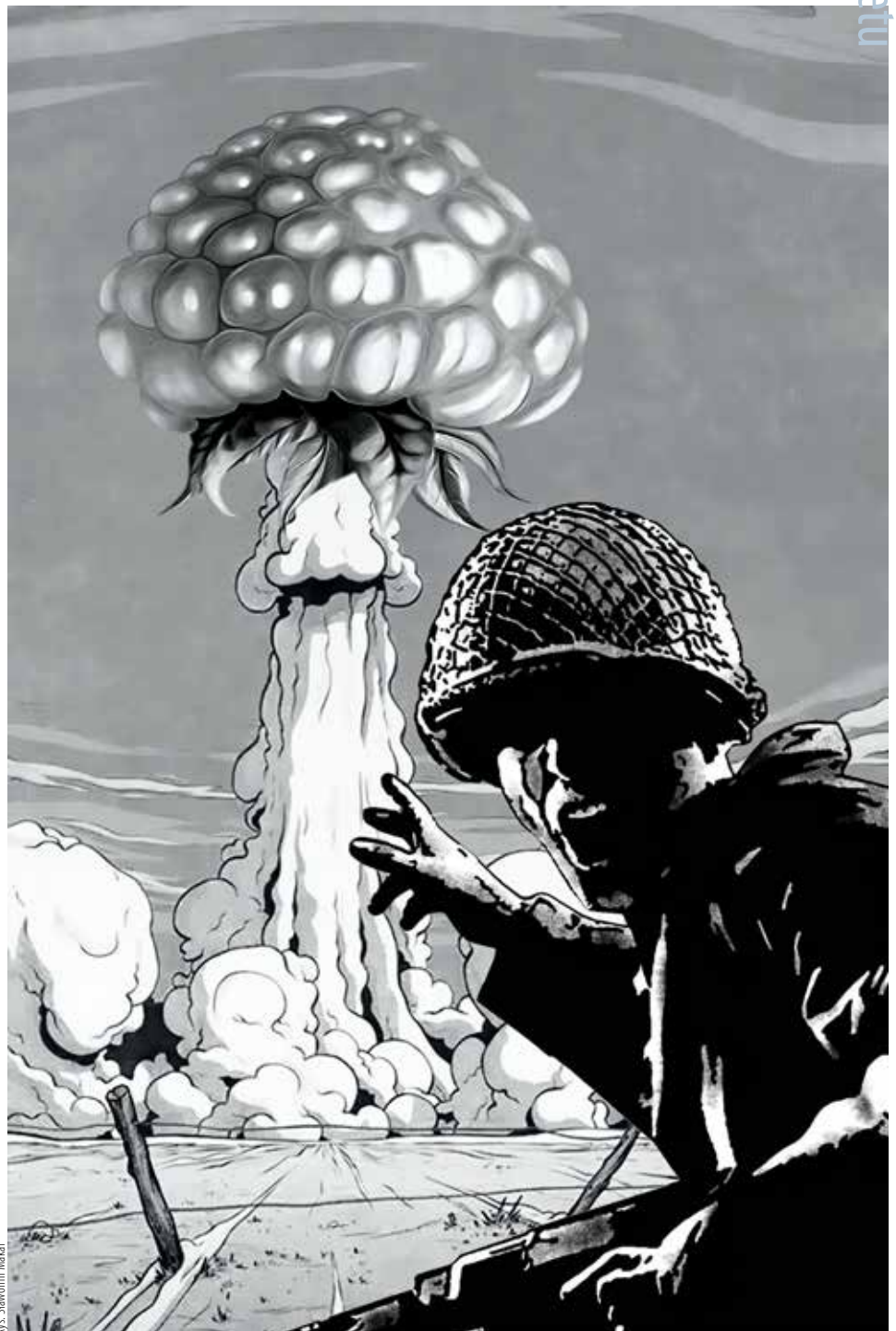
W tym kontekście warto rozpatrzyć pomysł kanadyjskiego filozofa Jamesa Roberta Browna. Proponuje on alternatywę dla finansowania badań. Brown pisze, że wiele korporacji w Stanach Zjednoczonych przyjmuje tzw. programy 20% czasu. Google przydziela swoim pracownikom projekty, ale pozwala im wykorzystać 20% ich czasu (w praktyce jeden dzień w tygodniu) na pracę nad czymś, co sami wybiorą. To właśnie tutaj mogą odbywać się napędzane ciekawością, nieskrępowane badania. Wygląda na to, że Google'owi bardzo się to opłaciło. Być może uniwersytety – obok realizacji projektów i zadań dydaktycznych – powinny przeznaczyć jakiś procentu czasu pracy (a wspomniane 20% to bardzo skromna propozycja) na swobodną wymianę idei i spontaniczne, na podobieństwo inicjatyw obywatelskich i oddolnych, reagowanie na to, co dzieje się w społeczeństwie?

Sam współrealizowałem projekt finansowany z funduszy unijnych w szkole zawodowej w Rotterdamie, gdzie nasz zespół prowadził działania edukacyjne oparte na projektach. Uczniowie mieli obowiązkowe zajęcia z matematyki i językowe, a oprócz tego realizowali projekty dla miejscowych biznesów, lokalnych przedsiębiorców i instytucji kultury. Taka nauka pozwalała powiązać umiejętności z prawdziwym życiem. Menedżer szkoły powiedział mi, że jeśli uczeń sam będzie znajdował rozwiązania, zapamięta 80-90% przekazywanej wiedzy, a nie 10%, jak w przypadku tradycyjnej lekcji. Projekty są zatem dobrą matrycą współpracy i łączenia nauki ze światem rzeczywistym.

Jakie projekty wspierać? Ostatnia dekada pokazała, że w nauce – zarówno w etnografii, psychologii społecznej, ekonomii, jak i medycynie – istnieje kryzys replikacji. Jedną z jego przyczyn było kierowanie środków finansowych na projekty innowacyjne, a nie na potwierdzające już istniejące teorie. Niedofinansowane są projekty eksploracyjne. Projekty popularyzatorskie są często uważane za nie mniej istotne, choć podział na wytwarzanie wiedzy i jej popularyzację jest problematyczny. Projekty współpracy z aktywistami i aktywistkami czy światem sztuki są postrzegane często jako przykład popularyzacji, a nie produkcji wiedzy podstawowej. Tymczasem kryzys klimatyczny, pandemia Covid-19, ruchy migracyjne czy kryzys geopolityczny i humanitarny na granicy polsko-białoruskiej wymagają współpracy nauki i świata aktywistycznego. Kryzysy te unieważniają podział na „dwie kultury”, humanistyczną i inżynierską, zaproponowany przez Charlesa Percy'ego Snowa w słynnym wykładzie z 1959 roku. Założenie Snowa, że inżynierowie rozwiążą problemy świata, nie czytając Szekspira, a skupiając się na wąskim szukaniu rozwiązań, nie wydaje się dziś przekonujące. Badaniu złożonych problemów czy hi-

robiektów, by posłużyć się pojęciem filozofa Timothy'ego Mortona, nie sprostą pojedynczą dyscypliną, a nawet kilka dyscyplin naukowych. Pilnie potrzebujemy współpracy zarówno między naukowcami z różnych dyscyplin, jak i nauki z inicjatywami obywatelskimi i administracją rządową. Pytanie: jak tę współpracę skutecznie, aby zachować i autonomię (ale bez seksizmu i wykluczania osób niebędących białymi mężczyznami), i efektywność (ale bez nadużyć, szykan, niskich płac i zagrożeń w miejscu pracy), i ścisły związek nauki ze światem poza murami akademii (ale bez hierarchii odbiorców, narzucanej przez sposób finansowania nauki)?

Dr Waldemar Rapior, socjolog, kulturoznawca. Współrealizuje projekt „Promigracyjne sojusze” (2021-2023). Finalizuje autorski projekt „Moralność milcząca”, finansowany przez Narodowe Centrum Nauki.



Rys. Sławomir Mielki

Dodawanie przez odejmowanie

czyli epistemologia subtraktywna

O wiele łatwiej przychodzi nam dodawać coś do istniejących rozwiązań, niż odejmować, czyniąc je przez to lepszymi, nawet jeśli rzecz dotyczy tak błahych czynności jak konstrukcja z klocków czy plan wycieczki.

„Celem nauki nie jest otwieranie drzwi nieskończonej mądrości, lecz położenie kresu nieskończonym błędom”.

Bertold Brecht

Mieszkańcy jednego z bloków w Gorzowie Wielkopolskim zaalarmowali policję po tym, jak przez kilka tygodni nie widzieli swojej siedemdziesięcioletniej sąsiadki. Funkcjonariuszom nie udało się dostać do mieszkania przez drzwi, ponieważ były zasypane zgromadzonymi tam przedmiotami. Ostatecznie poproszono o pomoc straż pożarną. Po wejściu do mieszkania przez okno odnaleziono ciało kobiety pod jednym ze stosów przedmiotów, które prawdopodobnie przygniotły ją i unieruchomiły. W ciągu doby z 42-metrowego mieszkania usunięto cztery kontenery śmieci i zamówiono kolejnych dziesięć. Kobieta cierpiała na syllogomanię – patologiczne zbieractwo.

Psychologia dobrze poznała i opisała to zaburzenie. Patologiczne zbieractwo może być przyczyną śmierci, jak to miało miejsce w opisanym wyżej przypadku. „Kolekcje” osiągają takie rozmiary, że praktycznie uniemożliwiają poruszanie się po domu, a zbieracz, żeby gdzieś się dostać, musi korzystać z wąskich tuneli albo karkołomnych ścieżek przez zwaly rupieci. W badaniach psychologów z Worcester Polytechnic Institute Project Center w Melbourne okazało się, że w Australii patologiczne zbieractwo jest przyczyną prawie jednej czwartej tragicznych śmierci w pożarach domów ludzi cierpiących na to zaburzenie. Syllogomania dotyka najczęściej ludzi starszych po 40-50 roku życia, choć od tej reguły bywają wyjątki. Jej szczególną odmianą jest gromadzenie zwierząt domowych, co stwarza dodatkowe zagrożenia sanitarne.

Złagodzenie objawów patologicznego zbieractwa jest niemożliwe bez pozbycia się zbędnych przedmiotów. Poprawa jakości życia ludzi, których dotknęła ta przypadłość, prowadzi jedynie przez dość radykalne odejmowanie. To klasyczny przykład dodawania przez odejmowanie. Nie jest to jedyna sfera życia, w której obowiązuje ta zasada. Odejmuwanie przynosi niewyobrażalne korzyści w przypadku biurokracji. Spiętrzenie proce-

dur biurokratycznych powoduje paraliż systemów administracyjnych, a próby jego przewyciężenia kończą się często tym, że petenci poza tradycyjną papierową dokumentacją muszą jeszcze prowadzić ją i przechowywać w formie cyfrowej.

„Posągi powstają przez odejmowanie” stwierdził kiedyś filozof Proklos Ateńczyk. Nie sposób ująć tego trafniej. Żadna, najpiękniejsza nawet bryła najszlachetniejszego marmuru nigdy nie stała się przedmiotem adoracji, zanim nie odjęto od niej zbędnej materii. Jak głosi tradycja, w pełni świadom był tego Michał Anioł, twórca majestatycznego posągu Dawida. Indagowany o sekret swojego geniuszu miał odrzec, parafrazując słowa Proklosa: „To bardzo proste, wystarczyło usunąć wszystko, co nie było Dawidem”. Artysta twierdził, że widzi postaci ukryte w marmurze, a jego rolą jest jedynie ich wydobycie. Zdumiewającym świadectwem tego przekonania są jego cztery nieukończone rzeźby niewolników uwięzionych w marmurze.

Aby stworzyć sobie lepsze wyobrażenie, czym jest zasada dodawania przez odejmowanie w działaniu, spróbujmy przyrzec się naszej własnej kondycji zdrowotnej. Prawdopodobnie dla większości z nas prawdziwym okaże się twierdzenie, że rezygnacja z niektórych używek (tytoń, alkohol, kofeina i inne), odjęcie z codziennej diety nadmiaru niektórych pokarmów (cukry, tłuszcze itp.), mogą dać nam więcej korzyści niż przyjmowanie tuzina dodatkowych tabletek dziennie, których zadaniem ma być redukcja negatywnych skutków owych nadwyżek, które sobie ustawicznie zapewniamy, wdrażanie nowatorskich diet czy wymyślnych programów treningowych. Nassim Taleb w swojej książce *Antykruchłość*, wyjaśniając działanie tej zasady, przedstawia obliczenia, z których wynika, że rezygnacja z palenia tytoniu przez wszystkich ludzi na ziemi przyniosłaby w skali globalnej więcej korzyści niż daje ich cały złożony system opieki medycznej. Innymi słowy, gdyby ludzkość w tym samym momencie rzuciła palenie i jednocześnie zamknęła wszystkie szpitale, przychodziłoby i zlikwidowała całą opiekę medyczną, to korzyści zdrowotne dla całej populacji i tak byłyby dodatnie.

Dziesiątki teorii, setki konstruktów

Patologicznym zbieraczem, który może zginąć w pożarze lub pod stertą zgromadzonych przez siebie rupiec, może być jeden z naszych miłych sąsiadów, którym kłaniamy się codziennie w drodze do pracy. Nie dowiemy się tego, dopóki nie zajrzemy do jego mieszkania. Podobnie wiele obszarów naszego codziennego życia, jak również niektóre dziedziny nauki przepelniają niepotrzebne przedmioty, pojęcia, konstrukty, koncepcje, choć na pierwszy rzut oka wydają się uporządkowane i schludne. Dopiero przypadek odkrywa przed nami, że to, co braliśmy za rodzaj porządku, okazuje się niczym innym, jak tylko nikomu niepotrzebnymi rupieciami, które utrudniają zarówno rozwój, jak i codzienne funkcjonowanie.

Takiego odkrycia dokonano, kiedy pewna grupa, złożona ze specjalistów w zakresie ochrony zdrowia, pracująca nad wdrożeniem teorii psychologicznej na potrzeby zmiany zachowań pracowników opieki medycznej, zidentyfikowała 33 teorie psychologiczne wyjaśniające zachowania za pomocą 128 konstruktów teoretycznych. I nie był to wynik dokonanego przez nich wyczerpującego przeglądu literatury, lecz po prostu efekt jednej sesji burzy mózgow. Jest wysoce nieprawdopodobne, że potrzebujemy tak wielu teorii i konstruktów, aby wyjaśnić zachowanie. W tym konkretnym wypadku zachowanie dość proste, bowiem implementacja tych teorii miała służyć... zwiększeniu częstotliwości mycia rąk przez pracowników służby zdrowia!

Nie jest to odosobniony precedens. W innym przypadku autorzy podjęli wysiłek zidentyfikowania teorii przydatnych w modyfikacji zachowań prozdrowotnych z czterech różnych dziedzin: psychologii, antropologii, ekonomii i socjologii. Tym razem podeszli jednak do tego systematycznie, dokonując przeglądu istniejącej na ten temat literatury. Naliczyli 82 teorie, z których tylko kilka zostało przed publikacją poddanych rygorystycznej weryfikacji empirycznej.

Proliferatywny charakter niektórych dziedzin nauki dość dobrze oddaje określenie „nauka śmieciowa”. Określa się tym mianem dwojakiemu rodzaju prace. Te, które powstają na zamówienie i mają potwierdzać założenia zamawiającego (np. firmy produkującej jakiś środek, która badaniami usiłuje potwierdzić jego skuteczność), a także takie, których nikt nigdy nie czyta i nie wykorzystuje w swojej pracy. O ile te pierwsze są często trudnymi do wykrycia oszustwami, o tyle te drugie dość łatwo zidentyfikować i policzyć ich udział w ogólnej produkcji naukowej. Są to po prostu prace, których nikt nie zacytował przez pięć lat, nawet sami autorzy. A jeśli tak, to znaczy, że albo ich nikt nie przeczytał, albo po lekturze uznał za nieprzydatne do jego pracy. Udział nauki śmieciowej jest różny w różnych dziedzinach. Obecnie szacuje się, że stanowi ona około 82% w naukach humanistycznych, 32% w naukach społecznych, 27% w naukach przyrodniczych i 12% w naukach medycznych. Czy nie przypomina to mieszkania patologicznego zbieracza? Przecież nawet stosunkowo niski wynik udziału nauk śmieciowych w medycynie może przerazić, jeśli uświadomimy sobie, jak ogromne są koszty takich badań, w porównaniu na przykład z kosztami badań humanistów.

Łatwiej dodać, niż ująć

Jeszcze gorzej rzecz ma się z ogólną wiedzą gromadzoną przez ludzi. Ciekawą analizę przeprowadził architekt i futurolog Richard Buckminster Fuller. Swoje obliczenia odniósł do okresu 200 tysięcy lat ewolucji gatunku *Homo sapiens*. Przyjął, że w ciągu pierwszych 198 tysięcy lat ludzkość zgromadziła pewną sumę wiedzy. Jej podwojenie zajęło już tylko niecałe 1500 lat. Ta podwojona suma wiedzy została ponownie zdublowana już tylko w ciągu 500 lat. Pomiędzy rokiem 1900 a 1950

ponownie ją pomnożyliśmy przez dwa. W pewnym momencie przyrost wiedzy nabrał charakteru wykładniczego. Na kolejną taką operację potrzebowaliśmy dwadzieścia lat, następnie już tylko dziesięć, potem osiem, aby około roku 2017 dojść do 13 miesięcy. Dzisiaj suma wiedzy jest podwajana co około 12 godzin, a tempo systematycznie się zwiększa.

Oczywiście spora część tej wiedzy ma charakter addytywny. Nie da się przecież powstrzymać przyrostu danych historycznych. Coraz większa liczba ludzi dostarcza coraz większej liczby wydarzeń, które są elementami tej wiedzy. Ale ogromna jej część ma wartość podobną do przedmiotów gromadzonych przez patologicznych zbieraczy. Nikt nigdy z niej nie skorzysta, a utrudnia ona poszukiwanie tej pożądanej wiedzy. Już dzisiaj, pomimo nieprawdopodobnie wydajnych algorytmów przeszukujących światowe zasoby wiedzy, dotarcie do tej właściwej pochłania większość naszego czasu.

Tylko trochę lepiej rzecz ma się w nauce, choć i tutaj przyrost wiedzy przybiera charakter wykładniczy. O ile w latach 70. na całym świecie publikowano około 500 tysięcy artykułów naukowych rocznie, o tyle dzisiaj liczba ta przekracza już 4 miliony. Dlaczego nie potrafimy powstrzymać się przed takim zachłannym gromadzeniem śmieci? Odpowiedź na to pytanie tkwi prawdopodobnie w naturze naszych umysłów. Od dawna obserwowano, że wśród pomysłów racjonalizatorskich zaledwie około 10% ma charakter subtraktywny, pozostałe polegają na dodawaniu. Te spostrzeżenia sugerowały, że umysł ludzki preferuje myślenie addytywne. Ale dopiero w 2021 roku Gabrielle S. Adams z University of Virginia wraz ze swoimi współpracownikami wykazała w badaniach eksperymentalnych, że kiedy ludzie poszukują sposobów ulepszenia jakiejś procedury, wzmocnienia własnej argumentacji, sposobów oddziaływania na innych, zwykle nie dostrzegają możliwości subtraktywnych, polegających na odejmowaniu. W ośmiu przeprowadzonych przez badaczy eksperymentach uczestnicy poszukiwali sposobów złagodzenia przeciążonych harmonogramów, zmniejszenia biurokracji, poprawy konstrukcji z klocków Lego, ulepszenia pola golfowego, a także zminimalizowania oddziaływania ludzi na planetę. W każdej sytuacji badani nie dostrzegali możliwości korzystnych zmian subtraktywnych w porównaniu do addytywnych, nawet jeśli w zadaniu sugerowano im te pierwsze. Eksperymentatorzy tłumaczyli ten efekt przeciążeniem poznawczym, które wywołują pomysły subtraktywne. O wiele łatwiej przychodzi nam dodawać coś do istniejących rozwiązań, niż odejmować, czyniąc je przez to lepszymi, nawet jeśli rzecz dotyczy tak błahych czynności jak konstrukcja z klocków czy plan wycieczki.

Jeden ze współautorów tych badań, profesor Leidy Klotz, również w 2021 roku, opublikował książkę zatytułowaną *Subtract: The Untapped Science of Less* [Odejmuwanie. Niewykorzystana nauka mniejszego], w której nie tylko wyjaśnia ewolucyjne korzenie naszych tendencji do zbieractwa, ale również omawia mechanizm neurofizjologiczny tego zjawiska. Gromadzenie jedzenia, ale także innych przedmiotów aktywizuje w mózgu ten sam układ nagrody, który odpowiada za odczuwanie przyjemności podczas jedzenia, jest pobudzany po przyjęciu kokainy czy w trakcie przeglądania lajków na Facebooku. W przypadku patologicznych zbieraczy uaktywnia się prawdopodobnie za każdym razem, kiedy dodają oni do swojej „kolekcji” jakiś przedmiot.

Epistemologia subtraktywna

Naszą awersję do odejmowania wyjaśnia również mocno ugruntowana empirycznie teoria perspektywy, stworzona przez laureata nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii Daniela Kahnemana i niezującego już Amosa Tverskiego. Wykazali w niej, że

nasza psychologiczna niechęć do strat jest dużo silniejsza niż zadowolenie z osiągniętych zysków. Strata 100 dolarów boli nas tak bardzo, że zysk 100 dolarów nie równoważy negatywnych emocji, których doznaliśmy wcześniej, tracąc. To dlatego tak niechętnie pozbywamy się czegokolwiek, również akcji, które systematycznie przynoszą nam straty.

Prezentowane wyniki badań po raz kolejny pokazują, że to, co pomogło nam przeżyć na plejstocenijskiej sawannie, w antropocenie stało się kulą u nogi. Rozwiązaniem tego problemu może być podejście, które wspomniany już wcześniej Nassim Taleb nazwał epistemologią subtraktywną. W myśl tej zasady: „Największym – i najtrwalszym – wkładem w naukę jest usuwa-



Rys. Sławomir Makal

nie z niej tego, co naszym zdaniem jest błędne”. Warto jednak podkreślić, że epistemologia subtraktywna, jakkolwiek oparta na odejmowaniu, nie jest metodą redukcjonistyczną. Ta ostatnia korzysta z dzielenia jako podstawowej funkcji umożliwiającej poznawanie rzeczywistości. Jej istotą jest kawałkowanie złożonych całości na mniejsze części i próba ich opisu z nadzieją, że tak opisane elementy dadzą jakiś obraz całości.

Metody, które kształtują epistemologię subtraktywną, choć rzadko nazywane w ten sposób, nie powstały w XXI wieku. Jednym z bardziej znanych prekursorów był Pirron z Elidy, założyciel szkoły sceptycznej, bo tak nazwano ten ostatni wielki obóz filozoficzny epoki hellenistycznej. Stał on na uboczu głównego nurtu, w którym aktywne były inne szkoły, i przeciwstawiał im swoją doktrynę, podkreślając niepewność wygłaszanych sądów o rzeczywistości. Pirroniści powstrzymywali się od wydawania sądów, co miało służyć zasadniczej funkcji filozofii – osiągnięciu spokoju ducha, a w konsekwencji szczęścia. Dążąc do niego, podawali w wątpliwość sądy formułowane przez filozofów innych szkół. Ich sceptycyzm umożliwił wyrugowanie wielu dowolności i błędów w przyjmowanych wówczas poglądach filozoficznych. Zużytkowali i usystematyzowali wszystko, co było krytyczną myślą w Grecji, znakomicie to jeszcze pomnożywszy. Jako „teoretyczne sumienie” epoki, podnieśli poziom wymagań stawianych dowodom i w ogóle nauce, oczyszczając ją z wszelkich śmieciowych twierdzeń. I choć nie to było ich celem, stało się mimowolnie największym osiągnięciem tego obozu filozoficznego.

Nie mniejsze znaczenie w rozwoju metod subtraktywnych mieli neoplatoniści, tacy jak Proklos Ateńczyk, i przedstawiciele teologii apofatycznej, zwanej czasami teologią negatywną, żeby wymienić chociażby Grzegorza z Nyssy czy Akwinatę. Przedstawiciele tego nurtu, szukając możliwości poznania natury boga, wypracowali podejście określane jako *via negativa*, którego istotą jest dookreślanie badanego zjawiska za pomocą formuł przeczących. Ich zdaniem, więcej dla rozumienia natury boga daje określenie tego, jaki bóg nie jest, niż poszukiwanie trafnych jego opisów. *Via negativa* przetrwała jako metoda rozumowania i znalazła szerokie zastosowanie nie tylko w teologii.

Znakomitym spadkobiercą tych tradycji był również średniowieczny franciszkanin William z Ockham. Przytłoczony mnogością spekulatywnych systemów średniowiecznej scholastyki, chcąc zrobić z nimi porządek, postulował zasadę ekonomii myślenia, którą znamy dzisiaj jako brzytwę Ockhama. Zgodnie z nią w wyjaśnianiu zjawisk należy dążyć do prostoty, wybierając takie wyjaśnienia, które opierają się na jak najmniejszej liczbie założeń i pojęć. Dzisiejsze, najbardziej znane sformułowanie tej zasady „Nie należy mnożyć bytów ponad potrzebę” (*Entia non sunt multiplicanda praeter necessitatem*) pochodzi prawdopodobnie już z siedemnastego wieku.

Uczeni i rzeźbiarze

Dzisiejsza nauka, zagracona niczym mieszkaniem patologicznego zbieracza, domaga się porządków na miarę tych, które swego czasu przeprowadził w niej Pirron czy później, w średniowiecznej scholastyce, William z Ockham. Nie znosi się jednak na to, a przynajmniej nieprędko. Na przeszkodzie stoi z jednej strony natura naszych addytywnych umysłów, które stronią od odejmowania. Z drugiej zaś społeczny system kontroli nauki. Najświętszą zasadą, która kieruje zachowaniami współczesnych uczonych, jest maksyma przeciwna dodawaniu przez odejmowanie: „publikuj lub gin” (*publish or perish*). To dzięki niej jesteśmy dzisiaj świadkami wykładniczego przyrostu liczby publikacji naukowych, z których znaczną część stanowi nauka śmieciowa, zaciemniająca obraz rzeczywistości zamiast go rozjaśniać.

W epistemologii subtraktywnej równie ważne jak poznanie tego, co działa, co jest skuteczne, jest dowiedzenie się jak najwięcej o tym, co nie działa i jest nieskuteczne. Negatywny rezultat badania, jeśli tylko nie jest wynikiem błędów, to odciosany fragment marmurowej bryły, dzięki któremu wyraźniejszy staje się zarys ostatecznej rzeźby. Zdobywając wiedzę na temat nieistotnych związków, niedziałających metod, nietrafionych konstruktów, zbliżamy się do kształtu, którego tak niecierpliwie poszukuje dłuto rzeźbiarza. Tymczasem społeczność naukowa świadomie zrezygnowała z gromadzenia tej wiedzy, przyjmując zasadę niepublikowania negatywnych wyników badań. Dzisiaj naukowiec poszukujący zależności pomiędzy interesującymi go zmiennymi nie ma żadnej możliwości sprawdzenia, czy ktoś, zadając te same pytania, nie uzyskał negatywnych rezultatów. Nawet jeśli setka uczonych błąkała się po tych samych zaułkach labiryntu przez lata, kolejny będzie musiał powtórzyć ich kroki, bo miejsce na negatywne wyniki jest wyłącznie w ich szufladach i w zakamarkach twardych dysków. Dopiero od niedawna podejmuje się próby zmiany tego stanu rzeczy.

Dlaczego uczeni nie postępują tak jak rzeźbiarze? Wśród typowych uwag, machinalnie zamieszczanych przez recenzentów prac naukowych, często pojawia się zastrzeżenie, że bibliografia jest przestarzała lub nie dość aktualna. Autorzy gonią zatem za nowościami, popędzani przez innych. Jak gdyby na przykład prawo Yerkesa-Dodsona, ogłoszone drukiem w 1908 roku, mogło stracić swoją moc wyjaśniającą wyłącznie poprzez upływ czasu. Tak się składa, że silne i dobrze opisane zależności doskonale opierają się upływowi czasu, w przeciwieństwie do nietrwałych nowości, a przekonanie, że to co nowe jest lepsze od tego co stare, jest aż nazbyt często zwykłym błędem poznawczym określanym mianem neomanii. Niestety nauka nie oparła się temu, co kieruje pospółstwem – pogonią za nowością wyłącznie ze względu na sam fakt, że jest nowością, i natrętnym powielaniu modnych wzorców. Dzisiaj naukowe doniesienia często przypominają czołówki serwisów informacyjnych – są równie hałaśliwe jak one i... równie szybko z nich znikają.

Narzędzia epistemologii subtraktywnej to analiza negatywnych rezultatów badań, replikacje, krytyczne przeglądy badań. Stanowią one śmiertelne niebezpieczeństwo dla rzesz naukowych urzędników, których utrzymujemy z naszych podatków. Najlepiej ilustrują to gorące dyskusje, jakie wybuchają po ogłoszeniu wyników kolejnych dużych projektów replikacyjnych. Tam, gdzie przeprowadza się działania odejmowania, bardzo łatwo można znaleźć się w miejscu równania zwanym odjemnikiem. To główny powód, dla którego epistemologia subtraktywna prawdopodobnie nigdy nie stanie się znaczącym podejściem w nauce, a uczeni będą przekonywać nas i siebie nawzajem o potrzebie pluralizmu, konstruktywizmu i kreatywności w nauce. Najwyższe uznanie dla oryginalności stawianych hipotez już spowodowało, że znaczącej części badań w wielu dziedzinach nie da się powtórzyć.

Nauka dopomina się o porządku, a każdy wysiłek poświęcony na ich przeprowadzenie ma ogromne znaczenie. O ile wiele nowych, często małych hipotez wylądzuje dość szybko na śmietniku historii, o tyle każda rzetelna praca włożona w oczyszczenie nauki będzie niczym użycie dłuta przez rzeźbiarza, który bezpowrotnie odejmuje z bryły marmuru niepotrzebne fragmenty, aby przybliżyć nam ukryte w jej wnętrzu piękno. Epistemologia subtraktywna nie jest czymś, co miałoby zastąpić tradycyjny proces badawczy. Bez niego nie będzie postępu. Ale uporczywe tworzenie nowych konstruktów, bez wyrzucania starych, zużytych i niepotrzebnych, nie zda się na nic. Zginą przytłoczone nadmiarem śmiecia.

Dr Tomasz Witkowski, psycholog, pisarz, współzałożyciel Klubu Sceptyków Polskich

Adiunkt w inkubatorze

czyli Orwell semper vivit

Używanie języka w celach agitacyjno-perswazyjnych i urabianie za jego pomocą odbiorcy to zjawisko bardzo stare. Było też przedmiotem analiz, zanim powstał wyraz „nowomowa”.

Jestem emerytem, od kilku lat nie zajmuję się już działalnością zawodową. Staram się jednak, w ograniczonym zakresie, uczestniczyć w życiu zbiorowości, do której należałem, czasami biorę udział w zebraniach organizowanych zdalnie. Dlatego też jestem prenumeratorem internetowej listy [Ling], której „głównym celem jest rozpowszechnianie informacji o wydarzeniach lingwistycznych w Polsce: o konferencjach, warsztatach, otwartych seminariach i referatach”. Na liście tej przeczytałem ogłoszenie o konkursie, w wyniku którego miał być zatrudniony „Adiunkt w Inkubatorze Doskonałości Naukowej”. Zrobiło ono na mnie takie wrażenie, że posłałem komentarz: „Adiunkt w Inkubatorze Doskonałości Naukowej [może: Ministerium Prawdy Obiektywnej?] Świetne!” i opatrzyłem tytułem: „Orwell semper vivit”.

Dodana przeze mnie lokalizacja owego inkubatora jest parafrazą „Ministerstwa Prawdy” ze sławnej powieści George’a Orwella *Rok 1984* (*Nineteen Eighty-Four*), opublikowanej w roku 1949 i przedstawiającej antyutopijny świat przyszłości. Nie poczuwam się do autorstwa tego skojarzenia. Mojemu pokoleniu nasuwa się ono samo. Kiedy w nazwach oficjalnych pojawiła się „doskonałość naukowa”, w gronie kolegów wymienialiśmy się uwagami i wymyślali prześmiewcze nazwy innych jednostek.

Współczesnym polskim odpowiednikiem Ministerstwa Prawdy jest Rada Doskonałości Naukowej, powołana ustawą z 20 lipca 2018 r., zwaną Konstytucją dla Nauki, w celu kontroli procedur awansowych w szkolnictwie wyższym i instytutach naukowych (na miejsce Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów). Sens tych procedur nie budzi wątpliwości. Chodzi o nazwę i – ogólnie – o język, którym przemawia Władza do poddanych. Poddał ją analizie Wojciech Włoskiewicz w opublikowanym w „Poradniku Językowym” (2019 nr 10 s. 35–47) artykule „o języku polskiej polityki naukowej” (to podtytuł *Nowomowa pseudometanaukowa?* Wyraz „doskonałość” ma w języku polskim tradycyjne znaczenie: «najwyższy stopień cech dodatnich, brak wad, bycie doskonałym, idealnym; wzorowość». (*Uniwersalny słownik języka polskiego PWN*, por. też SJPDor.). W nazwie „Rada Doskonałości Naukowej” wyraz ten, jak pisze Włoskiewicz (s. 39): „idealnie wpisuje się w [...] nowomowny schemat: maksimum konotacji (pozytywne wartościowanie) – minimum znaczenia”.

Doskonałość i niestosowność

Wcześniej jeszcze na niestosowność terminu „doskonałość naukowa” zwrócił uwagę ABBA w „PAUZie Akademickiej” (http://pauza.krakow.pl/372_4_2017.pdf). Przed Narodowym Kongresem Nauki w roku 2017, po rzeczowej analizie, stwierdził: „Dla mnie stosowanie tej słownej zbitki jest niedopuszczalnym nadużyciem: Albo jest to zbiór pusty („nobody is perfect!”), albo zmieniamy znaczenie słowa doskonałość”. Ogłosił nawet konkurs na zastąpienie tego terminu. Nie wiem, czy ktoś wziął w nim udział ani czy podjął dyskusję.

„Doskonałość naukowa” została, i to nie tylko w nazwie rady. Nie zmieniono nazwy Biura ds. Doskonałości Naukowej PAN (które rozpoczęło działalność 1 kwietnia 2016 r), a odpowiednie placówki „doskonałości naukowej” zaczęły rosnąć jak grzyby po deszczu, po części skutkiem działania wymienionej ustawy. Na przykład na stronie internetowej Uniwersytetu Warszawskiego znajdujemy zarządzenie nr 115 rektora UW z 1 czerwca 2020 r. w sprawie realizacji programu „Inicjatywa doskonałości – uczelnia badawcza” na UW (potem skrótowo oznaczana IDUB). W innym dokumencie pada hasło „Doskonali naukowcy dla doskonałości naukowej” (<https://inicjatywadokonalosci.uw.edu.pl/dzialania/i-1-2/>). Piękne słowa! I tylko słowa. Sloganowy charakter ma też inny tytuł: „Laboratorium wiedzy: Naukometria dla doskonałości naukowej” <https://inicjatywadokonalosci.uw.edu.pl/dzialania/ii-3-9/>.

Doskonałość się mierzy? Oczywiście, choć sam wyraz „naukometria” (hybrydalne złożenie, z członem pierwszym polskim i drugim, z greckiego, międzynarodowym) jest używany od niedawna i rzadko. Natomiast pojęcie funkcjonuje w świecie od kilkadziesiątu lat, najczęściej pod nazwą angielską *scientometrics*. Można oceniać prace naukowe przez przypisanie im liczb (zwanymi często punktami). Metody takiej parametryzacji, o których wiele dyskutowano, nie są przedmiotem naszego zainteresowania. Nas interesuje obiekt. Są nim cechy tekstów, które są oceniane, i przypisana im nazwa. Powinny to być jakieś wartości mierzalne, jak długość tekstu (np. liczba wyrazów czy znaków), jego ważkość (oceniana na jakiejś podstawie) czy „wartość” (w jakiejś walucie, np. kwota już wyłożona na jego powstanie). Doskonałość, jeśli ją rozumieć tradycyjnie, nie jest wartością mierzalną, tylko najwyższym stopniem określonej cechy.

Dla porządku musimy jednak odnotować wypadek, kiedy doskonałość się mierzy. Istnieje bowiem termin „doskonałość aerodynamiczna” – stosunek współczynnika siły nośnej do współczynnika oporu. Zauważmy, że „doskonałość statku powietrznego zmienia się w zależności od jego kąta natarcia” (Wikipedia). Ten termin, jak widać, stracił związek z pod-

stawowym przymiotnikiem (statek osiąga doskonałość X, ale bynajmniej nie jest doskonały w stopniu X). Termin ten powstał prawdopodobnie skutkiem jakiegoś skojarzenia przy tłumaczeniu. Odpowiadają mu w innych językach terminy zupełnie inaczej zbudowane, np. angielskie lift-to-drag ratio. Nie jest jednak wykluczone, że „doskonałość naukowa” też



Rys. Sławomir Makal

zacznie żyć swym własnym życiem i wejdzie do języka jako jednostka.

Mierny poziom doskonałości

Rada Doskonałości Naukowej i odpowiednie ciała niższych szczebli oceniają liczbowo doskonałość (czegoś lub kogoś). Liczba przypisana danej pracy może chyba być związana na przykład z następującą oceną opisową: „Praca X reprezentuje mierny poziom doskonałości, ale – ze względu na krajową słabość dyscypliny, do której należy, i inne zasługi autora – zasługuje na zatwierdzenie i przekazanie do wyższej instancji”. Takie zdanie ma chyba sens, tylko wyraz „doskonałość” jest w nim użyty w nowym, nietradycyjnym znaczeniu.

To nowe znaczenie powinno być odnotowane i objaśnione. Sprawdziłem (30 grudnia 2021 r.), czy nie trafiło ono już do internetowego *Wielkiego słownika języka polskiego* PAN, opracowywanego obecnie w IJP PAN, skrupulatnie odnotowującego nie tylko wyrazy, ale też ustalone połączenia (kolokacje czy związki frazeologiczne). Wyrażenia „doskonałość naukowa” w nim jeszcze nie ma. Wyrazowi „doskonałość”, pochodzącemu od przymiotnika „doskonały”, przypisane jest znaczenie takie, jak w dawniejszych słownikach („cecha osoby, rzeczy lub zjawiska, które są takie, że trudno sobie wyobrazić, żeby mogły być lepsze”) i synonimy „perfekcyjność”, „znakomitość”. To nie jest znaczenie, w którym wyraz występuje w nazwie Rady Doskonałości Naukowej. Jeśli zyczliwie zinterpretujemy intencje legislatorów, to „doskonałość” w ich znaczeniu najlepiej odpowiada rzeczownik „jakość” (od „jaki”). Jakość może być różna i bywa mierzona. (Rzeczownik „jakość” nie bardzo pasuje do nazwy rady. Gdybym we właściwym momencie wziął udział w konkursie na jej nazwę, zgłosiłbym pewnie propozycję: Rada ds. Kwalifikacji Naukowych.)

A może brak znaczenia w WSJP nie jest skutkiem opóźnienia w notowaniu materiału, tylko świadomym opuszczeniem? Może redakcja uznała, że ta kolokacja nie utrwaliła się jeszcze w języku i trzeba poczekać? Na pewno warto poczekać. Może za parę lat ustawa zostanie zmieniona, a niefortunna nazwa usunięta (miejmy nadzieję, że nie nakażą usuwania, jak u Orwella, wszystkich jej użyć we wszystkich egzemplarzach wszystkich pism).

Ale wróćmy do zasadniczego wątku – ogłoszenia o konkursie „na stanowisko adiunkta w Inkubatorze Doskonałości Naukowej”. Kiedy pisałem notkę na liście dyskusyjnej, myślałem, że „inkubator doskonałości” to wynalazek autora ogłoszenia (ukuty na podstawie „inkubatora przedsiębiorczości”, w którym można się jeszcze dopatrzeć jakiegoś sensu). A jednak nie. Poszperawszy trochę w internecie, stwierdziłem, że było inaczej.

Inkubatory Doskonałości Naukowej utworzył zapewne, startując w konkursie „Inicjatywa Doskonałości – Uczelnia Badawcza” (IDUB) w styczniu 2020 r., Uniwersytet Wrocławski. Internetowy „Przegląd Uniwersytecki” zawiera sporo informacji dotyczących Inkubatorów Doskonałości Naukowej (IDN). W lecie 2021 r. rozstrzygnięto konkurs na te inkubatory. Znalazłem kilka artykułów w internecie, wszystkie rzeczowe, neutralne, bez słowa krytyki, nie mówiąc już o kpinie. Autor ogłoszenia, które cytowałem, użył po prostu oficjalnej nazwy programu, w którego ramach pozyskał środki na zatrudnienie pracownika. Znalazłem też inne konkursy na stanowiska w inkubatorach doskonałości naukowej.

Kurczaki i kwoki

Mnie ta nazwa wydała się niewłaściwa, a przede wszystkim śmieszna. Nie tylko mnie. Świadczy o tym dyskusja, w której zabrało głos kilkanaście osób. U jednego z dyskutantów wyraz „inkubator” nie wywoływał pozytywnych skojarzeń – gdy jako

siedmiolatek oglądał wylęgarnię kurczaków, zareagował długim płaczem. Inny, zaangażowany w procedury awansowe, wpadł w ton szyderczy: „Jak doskonałość naukowa już się wylęgnie w inkubatorze, to przechodzi do Rady Doskonałości Naukowej, RDN, po drodze dojrzewając na Radach Wydziału i Radach Dyscyplin Naukowych (też RDN), dzięki którym siedzimy jak kwoki dwa razy tyle czasu co kiedyś, a większość spraw jest omawiana kilka razy”. Jak widać, patetyczne nazwy służą dodatkowo mnożeniu biurokratycznych procedur. Bo w „doskonałości naukowej” nie chodzi o żadne pozytywne treści, tylko o sprawienie odpowiedniego (dobrego?) wrażenia. To był cel sformułowań użytych w Konstytucji dla Nauki i taki jest cel powtarzania tej językowej etykiety w dokumentach władz uniwersyteckich.

Na lingwistycznym forum znaleźli się też dyskutanci, którzy sformułowania użyte w ogłoszeniu uznali za naturalne w ofercie pracy. Może – jako zbyt młodzi – nie zrozumieli mojej aluzji, bo nie znali *Roku 1984* ani Orwella. Jeden z nich zwrócił uwagę, że doskonałość naukowa „od wielu lat funkcjonuje na arenie międzynarodowej i chyba nikogo tam nie dziwi” (co do tego mam wątpliwości). Jak wiadomo, jest ona kryterium w konkursach ERC – European Research Council („The sole criterion for selection is scientific excellence”). Cóż, nie tylko polscy dygnitarze i biurokraci przemawiają nowomową (charakteryzującą się użyciem starych wyrazów w nowych znaczeniach).

Używanie języka w celach agitacyjno-perswazyjnych i urabianie za jego pomocą odbiorcy to zjawisko bardzo stare. Było też przedmiotem analiz, zanim powstał wyraz „nowomowa”. Dość tu przypomnieć wydaną w roku 1947 książkę Victora Klemperera *LTI (Lingua Tertii Imperii)*, ukazującą – na tle wspomnień z życia autora – zakłamanie języka w hitlerowskiej Trzeciej Rzeszy.

W językoznawstwie polskim i ogólniej – w polskiej dyskusji intelektualnej pojęcie nowomowy było dyskutowane około 40 lat temu. Kojarzono ją z PRL-em. Było to oczywiście wywołane potrzebą społeczną. Jak się wydawało, wszyscy chcieli zobaczyć, że byli przedmiotem manipulacji, a specjaliści starali się im to pokazać.

Patrzyłem na te dysputy z pewnego dystansu. Nie widziałem potrzeby demaskowania kuglarstwa językowego stosowanego przez władze. Wyrosłem w czasach najbujniejszego rozkwitu polskiej nowomowy (manipulowania językiem w celach propagandowych) i byłem przyzwyczajony do interpretowania kierowanych do mnie komunikatów. Wiedziałem, że polityka zagraniczna prowadzona przez „narody miłujące pokój” to zimna wojna (dzięki Bogu zimna, hasło „pokój” przemawiało do wszystkich, którzy przeżyli II wojnę światową). Wiedziałem, że „regulacja cen i podwyżka płac” (z roku 1953) to operacja finansowa prowadząca do drastycznego spadku realnych dochodów mieszkańców Polski. I byłem pewien (może było to tylko życzenie), że widzą to wszyscy, słuchają „drętwej mowy”, ale pragną czegoś innego. Nie bez przyczyny do hasła Polskiego Października 1956 roku należał fragment *Kwiatów polskich*:

„Lecz nade wszystko – słowom naszym,
Zmienionym chytrze przez krętaczy,
Jedyną przywróć i prawdziwość:
Niech prawo zawsze prawo znaczy,
A sprawiedliwość – sprawiedliwość”.

Tę modlitwę napisał Julian Tuwim mniej więcej w tym samym czasie co Orwell swoją powieść. Prośba polskiego poety pozostała w sferze marzeń, wizja angielskiego pisarza realizuje się wokół nas.

Zygmunt Saloni, emerytowany profesor językoznawstwa

Dzięki Twojej bibliotece
czytasz gdzie chcesz i kiedy chcesz!

Wejdź na **libra.ibuk.pl**

SPRAWDŹ, JAKIE MOŻLIWOŚCI DAJE CI IBUK LIBRA:

- stwórz **własne notatki** w książce
- **dodawaj zakładki** do fragmentów
- **wyszukuj** w publikacjach interesujące słowa i frazy
- korzystaj z dostępu online do **Słownika języka polskiego PWN** oraz **Encyklopedii PWN**
- dodawaj książki do **Mojej półki** lub czytaj w **myIBUK**
- **korzystaj z trybu Projekty** w pisaniu pracy naukowej
- **wybieraj spośród wielu książek zakupionych przez bibliotekę**
- nie instaluj aplikacji, **wystarczy przeglądarka www**



Zapytaj w bibliotece,
jak zacząć korzystać
z IBUKA Libry



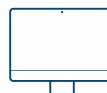
Pobierz Przewodnik
użytkownika ze strony
libra.ibuk.pl/pomoc



Wejdź na
facebook.com/PWNNauka
i dodaj do obserwowanych



Czytaj 24/7 na urządzeniach:



Jak koroduje etyka w nauce

Mnożące się przypadki naruszania zasad etyki i duża bezkarność w tym zakresie, to mechanizm obniżający poziom moralny istotnej części polskiego środowiska naukowego.

„Nie można być bardziej albo mniej uczciwym, ale można być bardziej lub mniej nieuczciwym”.

T. Kotarbiński

Każda poważna grupa zawodowa ma swój kodeks etyczny. Naukowcy również – „Kodeks Etyki Pracownika Naukowego” opracowany przez Komisję do spraw Etyki w Nauce PAN, którego aktualne III wydanie jest datowane na 15 czerwca 2020. W środowisku uczonych powinien być on powszechnie znany i stosowany. Jesteśmy jednak przekonani, że duża część omawianej tu grupy zawodowej tego elementarza nawet nie widziała. Oczywiście nieznanomość rozważanego dokumentu w większości przypadków nie idzie w parze z niewłaściwym postępowaniem. Kodeks znają przede wszystkim ci, którzy chcieli go poznać i starają się zawartych tam zasad przestrzegać. Z drugiej strony każdy „świeżo upieczony” doktor składa ślubowanie i zapewne pamięta, że po wysłuchaniu, mniej lub bardziej uważnym, odczytanego tekstu, rzekł: „Ślubuję”. Dla zmiany na lepsze obecnej sytuacji znajomość Kodeksu mogłaby być obligatoryjna dla kandydatów na doktorów. Z punktu widzenia poprawności dalszej kariery ten wymóg postawiony na jej progu ma większe uzasadnienie niż egzamin z języka nowożytnego, bo dziś wszyscy są świadomi, że bez umiejętności posługiwania się zwłaszcza językiem angielskim daleko się w twórczości naukowej nie zajdzie.

Naruszanie zasad etyki przez pracowników naukowych często ma miejsce w związku z publikowaniem wyników badań oraz podczas realizacji procedur awansowych. Pomimo że na ten temat wiele już powiedziano i napisano (szerzej na ten temat jeden z nas, Wojciech Przetakiewicz, parokrotnie wypowiedział się na łamach FA: 11/2014, 1/2017, 6/2018, 4/2019), to – jak się okazuje – temat jest wciąż aktualny, a nasze spostrzeżenia w tym zakresie poskutkowały niniejszą publikacją.

Mnożące się przypadki naruszania zasad etyki i duża bezkarność w tym zakresie to mechanizm obniżający poziom moralny istotnej części polskiego środowiska naukowego. Pod tym względem ulega ono destrukcji (liczne tego przypadki zostały opisane przez dr. hab. Marka Wrońskiego w formie

artykułów w FA, w liczbie ok. 190, w ramach poczytnego cyklu „Z archiwum nieuczciwości naukowej”).

Jako mechanicy/materiałoznawcy pozwolimy tu sobie na analogię nieetycznych zjawisk w działalności naukowej do procesów korozyjnych. Jedne i drugie są związane z destrukcją „materiału” w środowisku ich występowania. Oceniając korozję po objawach, można ją w najprostszym sposobie podzielić na ogólną (równomierną) oraz lokalną (wżerową). Szczególnie ten drugi rodzaj korozji częściej wywołuje niszczenie elementów konstrukcyjnych skutkujące awarią.

Ogólna korozja etyki w nauce

Ogólna korozja etyki w nauce ma charakter powszechny. Przejawia się przede wszystkim w zaniku dyskusji i krytyki, a odnosi się do tolerowania nierzetelności, a nawet oszustw, wyrażonego poprzez „łaskawe” recenzje oraz zaprzeczające uczciwości głosowania w sprawie awansów. To wybitnie negatywne zjawisko, które m.in. bardzo wyraziście i przekonująco opisał prof. Mariusz Mazur w artykule (*Nie*)recenzenci i (*nie*)recenzje (FA 9/2017).

Warto tu także dla przypomnienia (na rozważany temat nigdy nie za wiele, a wiadomo, że „kropla drąży skałę”) przytoczyć bardzo trafne wnioski prof. Dariusza Galasińskiego (FA 5/2020). Ma on rację uznając, iż: „Jakakolwiek zmiana postępowania nie spowoduje tego, że recenzenci piszący nierzetelne recenzje nagle doznają objawienia uczciwości akademickiej; odpowiednie komisje zaczną wypalać żelazem nieuczciwość akademicką, a każdy habilitant czy profesorant będzie dobrze wiedział, że niepowodzenie wynika z uczciwego namysłu nad dorobkiem. Warto uświadomić sobie, że nawet upublicznienie recenzji nie spowodowało tego, że recenzenci zaczęli choćby weryfikować to, co piszą. Nie zrobi też tego żadna zmiana w procedurze. (...) Dopóki my wszyscy będziemy tolerować nieuczciwe czy nierzetelne zachowania (...), dopóty nie ma sensu dyskutować o postępowaniach awansowych. (...) Plagiaty, koleżeńskie recenzje, ustawki awansowe, dopisywanie się do artykułów, komisje dyscyplinarne, to wszystko wymaga bolesnej debaty i środowiskowego patrzenia w lustro. (...) Nie wykluczam, że z tej debaty nie wyniknie nic. Jednak bez niej



Fot. Stefan Ciechan

nauka polska nadal będzie funkcjonować we wszechświecie równoległym”.

Wadliwe recenzje to podstawowy, powszechny grzech w procedurach awansowych. Falszując rzeczywisty stan rzeczy, wprowadzają w błąd różne gremia, a jeśli kandydatowi na końcowym etapie zabraknie „szczęścia”, to ma doskonałą podstawę do kolejnych odwołań, których korowód ciągnie się nieraz latami, również w sądach, pochłaniając coraz większe środki finansowe na opłacenie ekspertów itp. Wystarczy czytać wspomniane już artykuły M. Wrońskiego, by przekonać się, do czego prowadzą nierzetelne, tendencyjne sporządzone recenzje. Można dostać zawrotu głowy...

Powszechną plagą dotykającą z kolei piśmiennictwo naukowe są plagiaty stanowiące tylko jeden z wielu aspektów związanych z publikowaniem. Można do nich dodać stosowanie różnorodnych praktyk mających na celu „efektywne wypełnianie slotów”. Rzadko poruszonym tematem jest zjawisko autoplagiatów, czyli wielokrotnego wykorzystywania tych samych treści własnego autorstwa bez odpowiedniego powołania się na pierwotne źródło. Jest to zjawisko naganne, jako że wprowadza czytelników w błąd oraz może naruszać prawa majątkowe pierwotnego wydawcy (nie)cytowanego dzieła, o czym autorzy zapominają albo nie do końca mają tego świadomość (por. R. Markiewicz, *Autoplagiat*, „PAUza Akademicka”, 578, s. 3). Odrębnymi kwestiami związanymi z publikacją wyników badań są rażące błędy metodologiczne (patrz: W. Przetakiewicz, *Zwijam żagle*, Szczecin 2020, s. 11-13), zakłamywanie wyników badań i wyciąganie bezzasadnych wniosków, czego wymownym przykładem mogą być artykuły hołubiące tezy antyszczepionkowców albo kreacjonistów (patrz: <https://retractionwatch.com/>). Wszystkie te zagadnienia są szczegółowo opisane w Kodeksie, więc warto podjąć wysiłek upowszechnienia jego treści w środowisku. Jeśli dzięki temu powstanie nawet kilka nadużyć mniej, to jest to zawsze mały krok ku lepszemu.

Lokalna korozja etyki w nauce

Wzjerowa korozja etyki w nauce to przede wszystkim pojawiające się w ostatnich latach przypadki bezzasadnej, w sensie merytorycznym, przychylności lokalnych środowisk (rad dyscyplin, a wcześniej rad wydziałów i rad naukowych) wobec słabych kandydatów do stopnia naukowego doktora habilitowanego, m.in. wyrażającej się (w okresie funkcjonowania CK) w podejmowaniu uchwał o nadaniu tego stopnia, mimo braku poparcia ze strony komisji habilitacyjnych (KH). To mini akty „solidarnego” sprzeciwu wobec stanowiska członków KH powołanych wówczas przez CK, bo też na ogół w rozważanych sytuacjach „za” byli członkowie „miejscowi”. Zbyt mało jednostek respektuje zalecenia CK/RDN, by „miejscowym” był tylko sekretarz, dzięki czemu minimalizuje się prawdopodobieństwo wystąpienia konfliktu interesów. Z przykrością musimy stwierdzić, że środowisko naukowe nie jest wolne od orędowników poglądu, iż „w nauce nie ma konfliktów interesów” (sic!). Trudno skomentować taki pogląd, tym bardziej że głoszą go „samodzielni pracownicy nauki”, a takie podejście świadczy o całkowitym braku świadomości co do rozległości negatywnego oddziaływania korozji, której oni sami ulegli. Przecież oczywiste jest, że współautor publikacji albo osoba, z którą zachodzą relacje zawodowe, w tym służbowe, nie powinni w żadnym wypadku oceniać dorobku naukowego kandydata w jego procedurze awansowej. A takie sytuacje się zdarzają.

Nie były wyjątkiem również przypadki, gdy dla wzmocnienia „obrony” swojego kandydata w skład KH rada jednostki powoływała jego przełożonego: dyrektora instytutu, dziekana, a nawet rektora. Pozostała dwójka „miejscowych”, przy gło-

waniu w trybie jawnym (ta forma wypowiedzania się jest ewenementem w aktach głosowania w sprawach personalnych), najczęściej nie ma wyjścia i podnosi rękę „za”. Cała ta „procedura” to efektywny sposób na demoralizację środowiska danej jednostki.

W Ustawie 2.0 wprowadzono zmiany, które nieco poprawiły stan rzeczy w tym zakresie (patrz: Ustawa PSW: art. 190 ust. 2, art. 221 ust. 4), ale czy te zmiany są słuszne? Powstaje pytanie, dlaczego recenzentem w postępowaniu habilitacyjnym nie może być pracownik zatrudniony w podmiocie realizującym procedurę (mimo, że nie zachodzi konflikt interesów i potencjalny recenzent jest specjalistą dającym renomę podmiotowi nadającemu stopień naukowy). Z drugiej strony ustawa nic nie wspomina o unikaniu konfliktu interesów pomiędzy recenzentem a kandydatem do stopnia naukowego. Wyjątek stanowi art. 183 ustawy, który daje opiniodawcy możliwość odmowy wykonania recenzji w uzasadnionych okolicznościach. Szkoda, że najważniejsze z tych uzasadnionych przyczyn odmowy nie zostały wskazane explicite.

Jedną z niewielu postępowych zmian wprowadzonych ustawą „Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce” z 20 lipca 2018 r. jest ograniczenie opisanego tu zjawiska m.in. poprzez wymóg odmowy nadania stopnia w przypadku braku poparcia wniosku przez KH. Z kolei opinia KH nie może być pozytywna, jeśli co najmniej dwie recenzje są negatywne.

Skoro wśród materiałów odpornych na korozję wyróżniamy – jako „elitarnie” – stopy przeznaczone na implanty, to ich odpowiednikiem w społeczności naukowców powinny być kolegialne organy nadzorujące, takie jak CK/RDN. Niestety życie pokazuje, że łatwo o błędy w doborze składu chemicznego/osobowego, a te skutkują odpowiednio korozją (głównie wżerową) materiału oraz naruszaniem zasad etyki (szczególnie w podgrupach reprezentantów niektórych dyscyplin).

W przypadku degradującej środowisko naukowe korozji etyki należy gorączkowo poszukiwać odpowiednich inhibitorów ograniczających ten proces. Jest to zadanie zasadnicze, a jego wykonanie jest związane ze zmianą mentalności pracowników naukowych poprzez wdrażanie zasad kodeksu. Mamy oczywiście świadomość, że taki proces ma charakter ewolucyjny, wymaga wielu starań i czasu.

Warto promować etyczne działania

Wspomniany już prof. Galasiński nie jest absolutnym pesymistą odnośnie do rozważanych kwestii, zwłaszcza procesów recenzyjnych. W kolejnym artykule (FA 12/2020) wprawdzie stwierdził, że „w naszym wszechświecie równoległym kolega nie może skrytykować kolegi, krytyka to personalny atak, a recenzja to ciepłe kąpiele, w których grzejemy się przy ogniu koleżeńskości uprzejmości”, niemniej „ludzi się jeszcze, że również nauka polska uzna, że ostra, a nawet agresywna, rzetelna i uczciwa recenzja wynika z troski o to, co robimy. To właśnie taka ocena jest w interesie nas wszystkich”. Trudno o lepszą punktę. Nie można jednak zapominać o innych, również ważnych aspektach etyki w nauce zawartych w kodeksie. Warto o tym mówić i piętnować niewłaściwe działania.

Konkludując, w polskim środowisku naukowym doszło do kuriozalnej czy nawet paradoksalnej sytuacji, w której osoby starające się, choć w pewnym stopniu, postępować zgodnie z Kodeksem etyki pracownika naukowego, na tyle na ile pozwala im na to sytuacja i otoczenie, w którym się znajdują, są uważane za jego „czarne owce”.

Prof. dr hab. inż. Wojciech Przetakiewicz, emerytowany profesor Akademii Morskiej w Szczecinie i Wojskowej Akademii Technicznej

Prof. dr hab. inż. Leszek Chybowski, pracownik Katedry Podstaw Budowy Maszyn i Materiałoznawstwa Akademii Morskiej w Szczecinie

Jan Lichtarski

Powodzenie działalności badawczej

Cz. III

Wieloletnia perspektywa obserwacji, wynikająca z przynależności do środowiska badaczy w naukach o zarządzaniu w Polsce, oraz bezpośrednie uczestnictwo w działalności badawczej w tym obszarze skłaniają mnie do refleksji i zachęcają do podzielenia się jej wynikami w kwestiach dotyczących przesłanek powodzenia bądź niepowodzenia uprawiającego tu i teraz tę dyscyplinę badacza i nauczyciela akademickiego. W ostatniej części artykułu pora na fazę konkretyzacji i realizacji projektu badawczego.

Chodzi tu o odpowiedni dobór, przygotowanie, a następnie zastosowanie w procesie badawczym: metod, narzędzi i organizacji badania, a w ramach tego dokonywanie takich newralgicznych dla powodzenia badania rozstrzygnięć i działań jak: dobór próby badawczej, gromadzenie danych źródłowych, interpretacja i prezentacja wyników badania. Zadania badacza w tej (projektowo-realizacyjnej) fazie powinny być wykonywane zgodnie z najlepszymi praktykami w tym zakresie, wynikającymi z rekomendacji metodologicznych obficie prezentowanych w piśmiennictwie z tego zakresu oraz wcześniej zdobywanych doświadczeń i umiejętności badacza.

Pozostaje kwestią do dyskusji, na ile dość powszechnie artykułowana presja skierowana na jakość tych działań i rozstrzygnięć przynosi oczekiwane rezultaty, na ile postulowany wysoki poziom rygoru metodologicznego i organizacyjnego tej fazy badań stanowi w praktyce badawczej skuteczne zabezpieczenie przed uchybieniami i ich niepożądanymi konsekwencjami. Znowu odwołując się do moich osobistych obserwacji i doświadczeń, skłonny jestem twierdzić, że nader często zabezpieczenie to jest ułomne, z wszelkimi tego konsekwencjami.

Wskażę na kilka krytycznych, moim zdaniem, punktów tej fazy postępowania.

Ułomności doboru próby badawczej

W badaniu naukowym, kiedy przedmiot i problematyka badawcza (o czym była mowa wcześniej) dotyczą (zamykają się w granicach) wyłącznie konkretnego obiektu lub ściśle określonej grupy obiektów, do tego obiektu (lub ich grupy) ogranicza się pole podmiotowe badań. W takich przypadkach oczywiście nie ma problemu doboru próby badawczej, ale w ślad za tym zawęży się też odpowiednio zasięg wnioskowania, które dotyczyć może tychże obiektów.

W badaniu o aspiracjach i celach naukowych powyższa sytuacja może występować stosunkowo rzadko. Z reguły bowiem w tego rodzaju działaniach nasze zamiary badawcze obejmują zagadnienia charakterystyczne dla większych grup podmiotów (ich określonych klas), a w skrajnych przypadkach wszystkich organizacji (podmiotów zorganizowanych). Dla uproszczenia pomijam tu sytuacje, kiedy pojęcie zarządzania odnosimy do innych podmiotów niż organizacje sensu stricto.

Kiedy wszystkie potencjalnie możliwe do objęcia badaniem podmioty (ze względu na jego przedmiotowo-problemowy zakres) z różnych powodów (np. kosztowych, czasowych, organizacyjnych) nie mogą być nim objęte, zachodzi najbardziej typowa w naszej dyscyplinie sytuacja badania reprezentacyjnego, które wymaga odpowiedniego doboru próby badawczej. Formalnym warunkiem reprezentatywności wyniku badania dla całej zdefiniowanej (najlepiej możliwie precyzyjnie) populacji (czyli możliwości odnoszenia go do tej populacji w procesie wnioskowania) jest odpowiednio duża liczebność i losowość próby. Takie bywają intencje wielu badaczy, chcących odnosić wyniki swych badań do względnie licznych populacji, choć nie zawsze są one *expressis verbis* artykułowane. Zadeklarowanie i spełnienie warunku losowości próby byłoby przepustką do szerokiej generalizacji wyników badania, co oczywiście jest kuszące. Tylko czy jest ono możliwe? Śmiem twierdzić, że w znakomitej większości, jeśli nie we wszystkich przypadkach, spełnienie tego warunku jest niemożliwe. Nie znam bowiem przypadku, by wszystkie przedsięwzięcia wylosowane w pierwszej turze do próby badawczej zostały badaniem objęte. Wynika to głównie z braku zgody na udział w takim badaniu ze strony gremiów kierowniczych części przedsiębiorstw, w wielu przypadkach części relatywnie dużej.

Co w takich przypadkach można robić i co się robi? Następuję czasem wielokrotne „dolosowywanie” kolejnych przedsiębiorstw, aż do momentu osiągnięcia wymaganej liczebności próby. Pozornie jest wszystko OK. Ale nie można takiego losowania uznać za dopuszczalne, bowiem rezygnacje z udziału w badaniu (brak zgody na taki udział) nie mają charakteru losowego. Z reguły są intencjonalne. Wynikać mogą np. z przeświadczenia kierownictwa przedsiębiorstwa, że badania o proponowanym zakresie przedmiotowo-problemowym, jeśli będą rzetelnie przeprowadzone, mogą ujawnić zjawiska niekorzystne dla wizerunku i interesów przedsiębiorstwa. Deklaracje badacza, że wyniki zostaną wykorzystane wyłącznie w celach naukowych, będą podlegać anonimowej obróbce itp., nie są w takich okolicznościach dostateczną przesłanką do zmiany decyzji. A jeśli tak, to zbiór przedsiębiorstw „skutecznie” wylosowanych i włączonych do listy objętych badaniem nie spełnia wymogu reprezentatywności.

To, co wyżej napisałem, jest w moim przekonaniu nadzwyczaj oczywiste i istotne. Ze zdziwieniem i niepokojem odnotowuję powszechny, systematyczny brak wrażliwości badaczy na wskazywaną tu ułomność procesu doboru próby badawczej. Nie przypominam sobie choćby jednej sytuacji, kiedy podejmowanie przeze mnie tego wątku w dyskusjach na konferencjach naukowych spotkałoby się z godną tej kwestii reakcją. Myślę, że ukrywanie czy też przemilczanie tych uchybień może być uznane za przejaw nierzetelności badacza i że żadne zabiegi w zakresie stosowania wyrafinowanych narzędzi matematyki statystycznej w obróbce wyników badania niewiele tu pomogą. Powiedzenie: „śmiecisz wrzucisz, śmieci wyjmiesz” jest tu absolutnie na czasie.

Sytuację w opisywanym tu zakresie zdecydowanie poprawia rozwiązanie możliwe do zastosowania i uzasadnione w takich przypadkach, kiedy próba ma (może mieć, powinna mieć) charakter próby celowej, reprezentującej nie dużą, heterogeniczną zbiorowość pod względem pewnej klasy cech, lecz tę część zbiorowości, która wyróżnia się określonym stanem (poziomem) tych cech (np. wysokim lub niskim), dającym się rozpoznać przed rozpoczęciem badania właściwego. Oczywiście konieczne jest w takim przypadku zapewnienie kompatybilności między rodzajem próby a sposobem sformułowania problemu badawczego, celów i pytań badawczych.

Ułomności w pozyskiwaniu danych źródłowych

Z uznaniem odnoszę się do rosnącej w naszej dyscyplinie troski badaczy o prawidłowe przygotowanie narzędzi badawczych (np. zestawów wymaganych danych faktograficznych, kwestionariuszy wywiadu czy ankiety itd.). Natomiast mój niepokój budzi chroniczny brak troski o „jakość” źródeł pozyskiwanych w toku badania informacji, co niewątpliwie w stosownym zakresie musi odbijać się na jakości wyniku badania. Dotyczy to zarówno sytuacji, kiedy są to nieosobowe źródła (np. dokumentacja organizacyjna lub finansowa przedsiębiorstwa), jak i źródła osobowe. Każdy rodzaj źródła generuje, w mniejszym lub większym stopniu, wypaczony obraz badanej rzeczywistości. Oczywiście wszystko, co na podstawie takiego obrazu znajduje odzwierciedlenie w wynikach badania i ich ewentualnym wykorzystaniu w praktyce funkcjonowania organizacji, jest obciążone skutkami owych wypaczeń.

Pozyskiwanie w toku badań materiałów źródłowych ze źródeł nieosobowych (dokumentacja „papierowa” i na nośnikach elektronicznych itd.) wydaje się obarczone relatywnie mniejszym ryzykiem nieprawidłowego odwzorowywania badanej rzeczywistości. Ale także i tu niezbędna jest rzetelna weryfikacja jakości udostępnionych badaczowi materiałów, bowiem byłoby naiwnością sądzić, że każdy taki materiał zasługuje na

pełne zaufanie. Czy możemy z przekonaniem twierdzić, że zadanie to zawsze wykonujemy z należytą starannością?

Stosunkowo większe ryzyko owych wypaczeń w opisie rzeczywistości organizacyjnej i konsekwencjach takiego opisu stwarza – jakże powszechne w badaniach w naszej dyscyplinie – korzystanie z osobowych źródeł pozyskiwanej na potrzeby badania informacji. Warto zauważyć, że skala tego ryzyka może być tu większa niż np. w innych obszarach nauk społecznych (psychologia, socjologia), gdzie z reguły respondent reprezentuje siebie (jest podmiotem badania), wyraża we własnym imieniu swoje doznania, przekonania itp. W naszej dyscyplinie z reguły respondent reprezentuje organizację, która jest podmiotem badania. Jest jej rzecznikiem. Nie trzeba przekonywać, iż wiele okoliczności powoduje, że nawet przy dużym potencjale kompetencji merytorycznych (znajomości rzeczy)



i dobrej woli, wyrażany przez niego obraz rzeczywistości jest skażony subiektywizmem, który w wielu przypadkach może bardzo znacznie oddalać obraz opisywanej rzeczywistości od niej samej (od desygnatu). Mają na to wpływ różne czynniki związane zarówno z obiektem poznania i opisu, jak i z poznającym i opisującym go podmiotem (np. ograniczona obserwowalność i mierzalność cech obiektu poznania, ich złożoność i zmienność, wiedza i doświadczenie obserwatora, jego rola i zajmowana pozycja w ramach stakeholders itd., itp.).

Kierując się swego czasu zbliżonymi do opisanych wyżej obserwacjami i przypuszczeniami, korzystając z odpowiednich sposobności, poczyniłem sprawdzian zgodności postrzegania rzeczywistości organizacyjnej w jednym z przedsiębiorstw przez osoby silnie stanowiskowo związane z przedmiotem badania (znormalizowane systemy zarządzania jakością), ale

zajmujące różne pozycje w strukturze organizacyjnej. Okazało się, zgodnie z przypuszczeniem i wypowiedzianą wyżej tezą, iż różnice w owym postrzeganiu są bardzo duże. Wyniki tego sondażu miałem okazję opublikować i wielokrotnie próbowałem podnosić tę kwestię w dyskusjach na konferencjach naukowych. Nie spotkałem się z żadnym odzewem. Taki brak chęci podejmowania rozmowy na temat doboru respondentów jako ważnej przesłanki rzetelności badania jest dla mnie głęboko niepokojący. Nie mogę bowiem przyjąć do wiadomości, że powszechne milczenie w tej kwestii oznacza jej marginalne dla wyników badania znaczenie albo że w przygotowaniu badań powszechnie dochowuje się należytej staranności w doborze respondentów i pieczy nad prawidłowym przebiegiem realizowanego z ich udziałem sondażu. Coraz bardziej upowszechnia się (bo jest wygodne) angażowanie specjalistycznych firm do przeprowa-



Zdjęcie: studioj.uek.krakow.pl

dzenia tej części procesu badawczego. Z racji wykorzystywania nowoczesnych technik i narzędzi badawczych stwarzać to może pozory poprawności i rzetelności badania. Co kryje się za fasadą tych formalnych znamion poprawności badania, pozostaje poza kontrolą badacza. Każdy, kto samodzielnie zmagął się z realizacją tego etapu badania na większych próbach, powinien przyznać, iż trzeba mieć wyjątkowo dużo dobrej woli, by ufać, że nie dzieje się tam nic złego.

Problemy z interpretacją więzi przyczynowo-skutkowych

Do podstawowych przymiotów kategorii zarządzania należy wywieranie wpływu na składowe wewnętrzne i zewnętrzne środowiska zarządzanego obiektu. Jedną z głównych powinności nauk o zarządzaniu jest zatem badanie (odkrywanie, interpretowanie, kształtowanie) owego wpływu. Chodzi więc zasadniczo (lub chodzić powinno) o badanie więzi przyczynowo-skutkowej, przy czym z reguły nie są to proste, pojedyncze relacje (typu A wpływa na B), a liczne, różnorodne, wieloogniowe łańcuchy relacji przyczynowo-skutkowych, także ze sobą często na różne sposoby powiązane (łącznie się, rozdzielające się). Typowe zadania badacza w tego rodzaju okolicznościach to rozszyfrowanie najważniejszych połączeń (relacji), zbudowanie ich modelu, a w dalszej kolejności szukanie potwierdzenia zgodności modelu z rzeczywistością. Natura i złożoność zadań w tej fazie procesu badawczego wymagają zwykle wykorzystania wielu różnych metod i narzędzi badawczych, zarówno jakościowych, jak i ilościowych, z przewagą tych pierwszych. Przy tym trzeba mieć jednak świadomość, że nawet wysoka kompetencja merytoryczna i metodyczna badacza nie stanowi gwarancji sukcesu. A jeśli mamy do czynienia z tendencją do redukcji warstwy jakościowej w toku postępowania badawczego na rzecz dominacji warstwy ilościowej, ryzyko niepowodzenia badania (w sensie przybliżania się do prawdy) pozostaje nadal wysokie, a niekiedy może wzrastać. Wiązać się to może m.in. z tym, że typowe narzędzia badań ilościowych, wykorzystywane do poszukiwania związków przyczynowo-skutkowych, oparte są na obserwacji i pomiarze związków korelacyjnych między określonymi parametrami, podczas gdy związki te, odzwierciedlając współwystępowanie określonych relacji i tendencji zmian między zmiennymi, ze swej istoty nie dowodzą i nie mierzą więzi przyczynowo-skutkowych. Oczywiście związek korelacyjny może sygnalizować możliwość występowania takiej więzi, ale to wymaga dodatkowego potwierdzenia, którego należy szukać raczej w obszarze metod i narzędzi jakościowych. Tu trzeba z pokorą przyznać, iż arsenał dostępnych, sprawdzonych, godnych zaufania metod i narzędzi w tym zakresie nie jest wystarczająco zasobny. To oczywiście wskazuje, iż pole badawcze jest tu bardzo rozległe, a chętnych do operowania na nim nie widać zbyt wielu.

Niedostatki w zakresie oceny efektywności rozwiązań w sferze organizacji i zarządzania

W odróżnieniu od takich form kierowania sensu largo, jak administrowanie, rządnienie czy dowodzenie, główną sferą zastosowań zarządzania jest działalność gospodarcza, a ta, jak wiadomo, w większym lub mniejszym stopniu zorientowana jest na osiągnięcie korzyści ekonomicznych lub szerzej, społeczno-ekonomicznych. W diagnozowaniu systemów organizacji i zarządzania, a także w poszukiwaniu i wyborze nowych rozwiązań w tym zakresie, zadaniem, od którego nie ma możliwości uciec menedżer, ekspert czy badacz, jest ocena efektywności tych rozwiązań, efektywności rozumianej ogólnie jako relacja między korzyściami (efektami) wynikającymi z zastosowania tych rozwiązań, a ponoszonymi nań nakładami. Efek-

tywność jest w tym ujęciu, w sensie prakseologicznym, jedną z postaci szerszych kategorii, takich jak sprawność czy dobroć, które także mogą i powinny podlegać ocenie.

O ile w skali mikro, np. operacji technologicznej czy stanowiska roboczego, dokonanie pomiaru i oceny wpływu rozwiązania organizacyjnego na przebieg i wyniki procesu, podobnie jak w odniesieniu do rozwiązań (w tym innowacji) techniczno-technologicznych, nie jest wyjątkowo trudne, to dokonywanie takich ocen w szerszej skali całych organizacji (przedsiębiorstw) i w odniesieniu do większych fragmentów systemu organizacyjnego, a także całego tego systemu, staje się zadaniem o wyjątkowej trudności. Niebłahym problemem może być wygenerowanie odpowiedniego zbioru kryteriów oceny, a następnie radzenie sobie z ową wielokryterialnością. Parametry efektywnościowe czy sprawnościowe, które mają stanowić podstawę takiej oceny, zależą bowiem także od bardzo wielu innych, równoległe oddziałujących czynników, często wzajemnie w złożony sposób ze sobą powiązanych. W tych okolicznościach wypracowanie i pomiar wpływu rozwiązań systemowych w zakresie organizacji i zarządzania na przebieg i wyniki procesu funkcjonowania organizacji jest wyjątkowo trudne, jeśli nie niemożliwe. Spotykane często w podobnych okolicznościach próby, oparte na pomiarze zmian w wynikach ekonomicznych (finansowych) w określonym czasie i wiązanie ich z wprowadzonymi w tym czasie zmianami w systemie zarządzania (jako przyczyną), są dalekie od doskonałości, a nawet – śmiem twierdzić – często dalekie od akceptowalności. Tu nie ma miejsca na szerszą i głębszą analizę tych kwestii. Chodziło mi bowiem tylko o to, by zasygnalizować kolejny, niezwykłej doniosłości i złożoności obszar tematyczny-problemowy, który może być źródłem wielu poważnych uchybień w badaniach prowadzonych na różne potrzeby w naszej dyscyplinie. Bo przecież uchybienia w ocenach to uchybienia we wnioskowaniu, a na to badacz nie powinien się narażać, nie powinien się godzić.

Refleksja końcowa

Zmieszczone wyżej wywody dostarczają, jak sądzę, duży ładunek godnych poważnej refleksji i szerokiej dyskusji zagadnień różnej natury (psychologicznej, socjologicznej, organizacyjnej, a nade wszystko metodologicznej), leżących u podstaw racjonalności i efektywności procesów badawczych w naukach o zarządzaniu w ich aktualnych uwarunkowaniach i na obecnym etapie ich rozwoju. Nie zamierzam, bo chyba nie potrafiłbym sensownie, tworzyć katalogu tematów lub pytań, nad którymi warto się pochylić w pierwszej kolejności. Pozostawiam to inwencji Czytelnika. Nie uzurpuję sobie także prawa do nieomylności i trafności moich poglądów (z towarzyszącymi im wątpliwościami) w poruszanych kwestiach. Gdyby jednak udało się zdobyć przekonanie lub uzyskać potwierdzenie co do ich (poglądów) słuszności u przeważającej części przedstawicieli środowiska naukowego naszej dyscypliny, może wielu błędów, a w konsekwencji niepowodzeń w jej dalszym rozwoju, dałoby się uniknąć. Aktualnie dominująca narracja w kwestiach poświadczanych kierunków rozwoju działalności badawczej w naukach o zarządzaniu (o czym wspominałem na wstępie) wydaje się bowiem zbyt jednostronna, nie dość holistyczna, by dobrze służyć długookresowemu rozwojowi tej dyscypliny. Przypuszczam ponadto, że z podobnymi dylematami mierzą się i inne dyscypliny, zwłaszcza w naukach społecznych, ale to już pozostaje poza moim aktualnym zainteresowaniem.

Prof. dr hab. Jan Lichtarski, obecnie profesor emerytowany, wcześniej związany z Katedrą Ekonomiki i Organizacji Przedsiębiorstwa Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu. Przez dwie kadencje członek Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów. Przez wiele kadencji członek Komitetu Nauk Organizacji i Zarządzania PAN.

Zbigniew Drozdowicz

Uczony i nauczyciel

Dzisiaj jest sporo uczelni, które potrafią od profesury wygzekwować zarówno w miarę przyzwoite wykonywanie obowiązków badawczych, jak i dydaktycznych.

Łączenie badań naukowych z kształceniem studentów należy do akademickich obowiązków. Związane z tym trudności niejednokrotnie sprawiały, że jedni uczeni koncentrowali się na badaniach naukowych, traktując przy tym obowiązki dydaktyczne jako pewną uciążliwość, natomiast inni akademicką aktywność lokowali głównie w dydaktyce. Różnie ten problem próbowano rozwiązywać na różnych uczelniach. Stanowi on jednak nadal pewne wyzwanie nie tylko dla uczelnianych władz, ale także dla akademickich uczonych i nauczycieli.

Akademickie tradycje

Przez wiele stuleci łączenie badań naukowych z kształceniem studentów związane było z wyznaniowym charakterem uniwersytetów, oznaczającym – poza wszystkim innym – ich wpisywanie w misyjne zadania religii chrześcijańskiej, jakim było i jest wyzwolenie człowieka od niedoli tego świata i doprowadzenie go do życia w tamtym, lepszym (ponoć) świecie. Istotne znaczenie miała przy tym wiara w to, że „prawda nas wyzwoli”. Rzecz jasna, można jej było szukać nie tylko na uniwersytetach. Jednak ci, którzy zawodowo zajmowali się dochodzeniem do niej na uniwersytetach, u części młodzieży zdawali się budzić większe zaufanie niż niejednokrotnie słabo wykształceni i zajęci wykonywaniem swoich kościelnych obowiązków duchowni. Tak myślącej młodzieży na początku było niewiele. Potwierdzeniem tego jest m.in. stosunkowo nieduża liczba uniwersytetów w pierwszych wiekach ich istnienia. Przez kolejne stulecia jednak ich przybywało. Doszło w końcu do takiej sytuacji, że nawet w krajach, w których większe zaufanie miano do zwyczajnych duchownych niż do akademickich nauczycieli, pojawiło się wiele uczelni, które przynajmniej z nazwy są uniwersytetami. Zarówno na starych, jak i nowych uczelniach kadra nauczająca nazywana była i jest profesorami. To wywodzące się z języka łacińskiego określenie w pierwszych wiekach funkcjonowania uniwersytetów oznaczało każdego akademickiego wykładowcę. Ci, którzy wybijali się ponad przeciętność, nazywani byli magistrami (z łac. mistrzami).

Dzisiaj raczej trudno znaleźć takich magistrów, o których z pełnym przekonaniem można powiedzieć, że są mistrzami w swoim fachu. Takiego przekonania nie można jednak rów-

niez mieć w przypadku wielu nauczycieli akademickich, którzy tytułowani są profesorami, ale wykonywanym przez nich uczelnianym obowiązkom sporo brakuje do mistrzostwa, które sytuowałyby ich na szczytach hierarchii akademickiej. To, że taką przeciętność się akceptuje, a nawet dopasuje się do niej na wielu uczelniach profesorskie stanowiska, ma swoje uzasadnienie w raczej trudnym do zakwestionowania fakcie, że osób o ponadprzeciętnych uzdolnieniach nie było i nie ma tak wiele, aby mogły one stanowić uczelnianą większość. Czymś innym jest jednak akademicka przeciętność, a czymś innym traktowanie akademickich obowiązków tak, jakby były one złem koniecznym, i takie pozorowanie ich wykonywania, że nawet średnio rozgarnięty student zaczyna się orientować, że z jego profesorem jest coś nie tak, jak być powinno. Takie podejście do obowiązków sprawiło, że w XVIII stuleciu niejeden ze znaczących wcześniej uniwersytetów przechodził głęboki kryzys akademickiej tożsamości. Dotyczy to zarówno najstarszego angielskiego uniwersytetu (Oxfordu), jak i najstarszego polskiego uniwersytetu (występującego wówczas pod nazwą Wszechnicy Krakowskiej). Później na wielu z nich zrobiono z tym porządek i dzisiaj jest sporo uczelni, które potrafią od profesury wygzekwować zarówno w miarę przyzwoite wykonywanie obowiązków badawczych, jak i dydaktycznych.

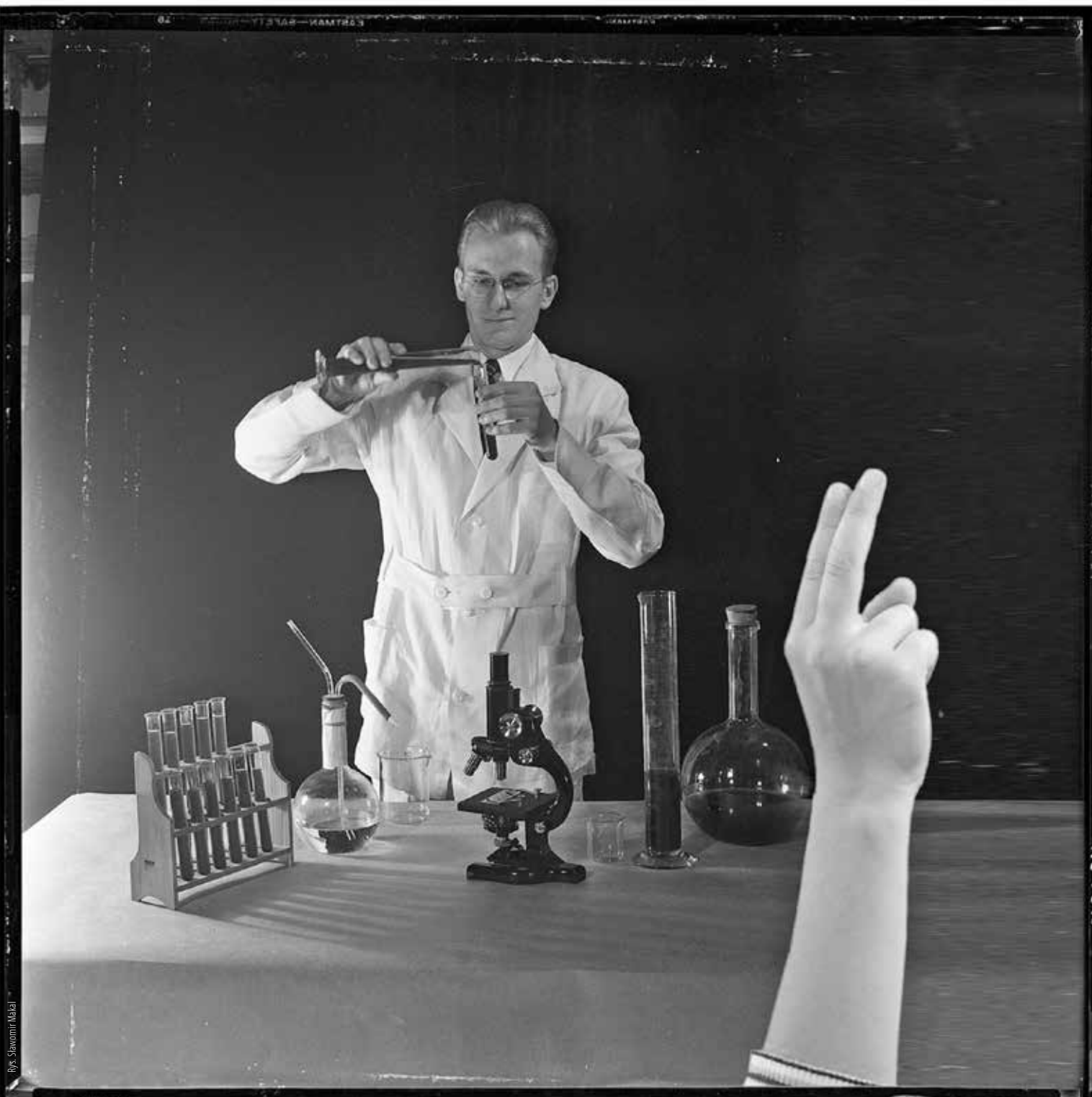
Echem po tych historycznych bataliach o akademicką przyzwoitość może być sformułowany przez Wilhelma von Humbolta na początku XIX stulecia model uniwersytetu, na którym harmonijnie łączy się oba obowiązki. Trzeba jednak dodać, że według niemieckiego uczonego i reformatora szkolnictwa w Prusach, warunkiem powodzenia tego mariażu jest zarówno wzajemne wspieranie się przedstawicieli różnych dyscyplin naukowych, jak i pozostawianie im przez państwo prawa decydowania o tym, co i jak powinni badać, oraz czego i jak powinni nauczać. Natomiast świadectwem kultywowania do dzisiaj przez uniwersytety tradycji, w której badania naukowe łączone są z akademickim kształceniem, jest ogłoszona w 1988 roku (w dziewięćsetną rocznicę powstania uniwersytetu w Bolonii, uznawanego za pierwszą tego typu uczelnię w Europie Zachodniej) *Wielka karta uniwersytetów euro-*

pejskich. W jej pkt 1. stwierdza się, że „przyszłość ludzkości zależy przede wszystkim od rozwoju kulturalnego, naukowego i technicznego, i że kształtuje się on w ośrodkach kultury, wiedzy i badań naukowych, jakimi są prawdziwe uniwersytety”; w pkt 2. stwierdza się, że „zadaniem uniwersytetów jest szerzenie wiedzy wśród młodych pokoleń”, a w pkt 3. dodaje się, że „uniwersytety muszą dać przyszłym pokoleniom wykształcenie i wychowanie, które zapewni szacunek dla wielkiej współzależności pomiędzy środowiskiem naturalnym a naszym życiem”. W dalszej części tego dokumentu sformułowane są cztery *Fundamentalne zasady*. W drugiej z nich stwierdza się, że „działal-

ność naukowa i dydaktyczna w uniwersytetach musi być ze sobą nierozdzielnie związana, jeśli nauczanie ma sprostać zmieniającym się warunkom, potrzebom społeczeństwa oraz postępowi wiedzy”. Wielkie i ważne słowa. Ważne jest jednak również, aby za nimi szły odpowiednie czyny. Z tym rzecz jasna bywało i bywa różnie.

Znaczący uczeni

Przywołam trzy przykłady uczonych, którzy zapisali się w historii znaczącymi osiągnięciami badawczymi. O osiągnięciach dydaktycznych przynajmniej niektórych z nich wpraw-



Rys. Sławomir Kozłowski

dzie się czasami również wspomina, ale wspomnienia te często mają charakter marginalny. Jednym z takich uczonych był włoski astronom i matematyk Galileusz. Do historii przeszła prowadzona przez kilkanaście lat batalia o prawo uczonych do głoszenia kopernikańskiej teorii heliocentrycznej (zakoczyła się ona w 1633 roku upokarzającą porażką). Jego biograf James Reston Jr. dosyć szczegółowo opisuje przebieg tej batalii oraz przyjętą w niej przez Galileusza taktykę i strategię. Wspomina on również, że uczony był wykładowcą matematyki na uniwersytecie w Padwie i dosyć zręcznie pozyskiwał dla swoich poglądów sympatie studentów, jeśli tak można nazwać „najpierw granie na uczuciach słuchaczy, a potem odwoływanie się do wiedzy jako przeciwności zabobonu”. Co więcej, traktował ich nie tylko po partnersku, ale wręcz uznawał za uprawnionych nie tylko do wysłuchania jego wykładu, ale także „dania świadectwa prawdzie o tym cudownym zjawisku”, jakim jest krążenie Ziemi wokół Słońca. Miał nawet im się nieco przypodobać, twierdząc, że „ich wspaniałe pragnienie wiedzy godne jest najtęższych głów”, a jego „znikomy umysł być może nawet nie jest w stanie sprostać ich oczekiwaniom”. Sprytne i być może nawet wystarczające do pozyskania studenckiej przychylności. W tej batalii jednak nie o pozyskanie przychylności głównie chodziło.

Znaczącym uczonym był również Albert Einstein, autor sformułowanej w 1905 r. teorii względności. W tamtym czasie nie był jednak jeszcze akademickim wykładowcą. Co więcej, miał spore kłopoty nie tylko z uzyskaniem takiego zatrudnienia, ale również z uzyskaniem statusu studenta (na Politechnikę w Zurychu dostał się dopiero za drugim podejściem). Roger Highfield i Paul Carter, opisując ten okres w życiu Einsteina, przypominają, że był on wówczas zatrudniony w Urzędzie Patentowym w Bernie, a sam Einstein w korespondencji z 1907 r. napisał, że prowadził wówczas życie „szacownego pierdziostka na państwowej posiadłości, który stara się uprawiać swoje naukowe hobby i grywać na skrzypcach”. Wiele się w jego życiu zmieniło nie tyle nawet po opublikowaniu cyklu artykułów na temat teorii względności, co po zainteresowaniu się nią innych wybitnych fizyków (takich m.in. jak Max Planck). W miarę użytkowania przez Einsteina coraz szerszego uznania w środowisku naukowym pojawiały się oferty zatrudnienia na uniwersytetach. Zaczynał jako privatdozent Uniwersytetu w Bernie, a później był profesorem uniwersytetów w Zurychu, Pradze, Berlinie i w Instytucie Badań Zaawansowanych w Princeton. Na temat jego osiągnięć dydaktycznych przywoływani tutaj biografowie mają niewiele do powiedzenia. Natomiast sam Einstein otwarcie przyznawał, że wykonywanie tych obowiązków go nużyło i szukał od nich wytchnienia w graniu na skrzypcach i w amatorskim uprawianiu żeglarswa.

W polskich realiach akademickich znaczącą postacią był m.in. profesor uniwersytetu we Lwowie Kazimierz Twardowski. Jego osiągnięcia lokowały się nie tylko w dziedzinie filozofii, ale także w skupieniu wokół siebie stosunkowo liczne grono uczniów, którzy stworzyli szkołę lwowsko-warszawską. Można się od nich sporo dowiedzieć o tym, jakim był on akademickim nauczycielem. Raczej zgodnie utrzymywali, że był nauczycielem pod niejednym względem doskonałym. Według Tadeusza Kotarbińskiego, już swoim wyglądem i zachowaniem budził respekt i „miałby się z pyszna, kto by spośród studentów poważił się zagadnąć Profesora znienacka, a bez upoważnienia. (...) Wiało od niego potencjalną grozą. I ten człowiek, władczy i onieśmielający rzeszę dookolną, stawał się po macierzyńsku niemal opiekuńczy, łagodnie i serdecznie bliskim starszym przyjacielem tych, którzy się garnęli do grona ścisłych jego uczniów, którzy się godzili z własnej chęci na jego przewodnictwo”. Inny z jego uczniów – Kazimierz Michałowski – w swoich

Wspomnieniach napisał, że „punktualnie o godz. ósmej rano K. Twardowski przy świetle palników gazowych rozpoczynał swe wykłady z logiki” i „bieda studentowi, choćby nawet nosił mundur kapitana lub majora, gdyby spóźnił się bodaj o minutę na wykład. Profesor wówczas przerywał wykład i lustrował swoim wzrokiem nieszczęśnika, który jak niepyszny wślizgiwał się do ławek lub stawał pod ścianą”. Dodaje on przy tym, że „wykłady K. Twardowskiego były chyba najlepszymi, jakich w życiu słucał. Miał on przedziwny dar przedstawiania najtrudniejszych zagadnień w sposób tak prosty i oczywisty, że każdemu uważnie słuchającemu wydawało się, że słucha rzeczy łatwych”. Jestem przekonany, że takiego zachowania w tzw. wdzięcznej pamięci studentów życzyliby sobie niejedni z profesorów.

Moje wspomnienia

W moim życiu akademickim – najpierw jako studenta historii Uniwersytetu A. Mickiewicza w Poznaniu, a później pracownika naukowo-dydaktycznego tej uczelni – spotykałem na swojej drodze wielu różnych uczonych i akademickich wykładowców. Mam nadzieję, że nie będzie dla nich obrazą stwierdzenie, że żadnemu z nich nie mógłbym wystawiać takiego świadectwa, jakie wystawił K. Twardowskiemu jego uczniowie. Jako student miałem do czynienia m.in. z wykładowcami, którzy nie bez racji uchodzili za znaczących historyków. Jednak niewiele było takich, którzy swoim sposobem wykładania wzbudzili uznanie u studentów i sprawiali, że tłumnie przychodzono na ich wykłady. Było natomiast kilku takich, którzy u studentów budzili grozę. Nie będę wymieniał nazwisk. Powiem jednak, że jednej z pań profesor bali się nawet ci, którzy regularnie brali udział w jej wykładach o starożytnych ludach i obudzeni w środku nocy byłiby w stanie coś powiedzieć o Hetytach. Niektórzy spośród nauczycieli akademickich potrafili przed egzaminami przyprawiać studentów o nieprzespane noce, a na egzaminach o umysłowe zaćmienie. Wprawdzie dzisiaj na spotkaniach koleżeńskich wspominani są z pewnym rozbawieniem, ale wówczas mało komu było do śmiechu.

Pracę w Instytucie Filozofii UAM rozpocząłem w okresie, w którym mówiło się o metodologicznej szkole poznańskiej. Nie utożsamiałem się z tą szkołą. Miałem jednak niejedną okazję wysłuchania akademickich wystąpień jej liderów i ich bezpośrednich uczniów. Ich sposób myślenia i mówienia nie trafiał do mojego przekonania na tyle, abym podjął próbę zgłębienia filozoficznych zawłości tej szkoły. O sobie jako akademickim wykładowcy mogę powiedzieć, że przynajmniej starałem się przekazać możliwie najbardziej rzetelną wiedzę studentom i do pewnego czasu sporo od nich wymagałem na egzaminach. Moja wiara w ich zaangażowanie w studia i w zdolności przyswojenia sobie tej wiedzy z czasem coraz bardziej malała. Spadła ona do zupełnego minimum na tych kierunkach studiów, na które przyjmowano tak wielu studentów, że do ich pomieszczenia na wykładach potrzebne były uniwersyteckie aule, a bywało i tak, że trzeba było ich dzielić na mniejsze grupy. Do pewnego optymizmu skłania mnie to, że stosunkowo wysokie oceny w ankietach studenckich uzyskiwałem na tych kierunkach studiów, na których moje wymagania wobec studentów były wysokie. Mimo wieloletnich doświadczeń akademickich nie potrafię jednak jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie: czego potrzeba, aby udanie łączyć obowiązki badawcze z dydaktycznymi? Bez wątplenia, trzeba tego chcieć. Do tego jednak trzeba również mieć studentów, którzy na serio traktują swoje studia i wykazują autentyczne zainteresowanie problematyką zajęć dydaktycznych. Umasowienie studiów raczej nie sprawiło, że znacząco wzrosła ich liczba. Powiększyła się natomiast liczba tych, którzy studia traktują jako dobry sposób na przedłużenie sobie dzieciństwa.



Piotr Kieraciński

Podhalanka w tarapatach

Fot. Michał Adamowski

Przeciwko R. Włodarczykowi skierowano pozew do prokuratury za antydatowanie dokumentów o zmianie na stanowisku prorektora ds. studenckich. Dotarłem do sformułowanej na piśmie opinii, która to potwierdza.

Gdy 21 grudnia 2021 roku wieczorem dr hab. Robert Włodarczyk, prof. uczelni i rektor Państwowej Podhalańskiej Uczelni Zawodowej, wrócił z wyjazdu służbowego do Krakowa, okazało się, że nie może otworzyć właściwym kluczem drzwi swojego gabinetu rektorskiego. Przypomnił sobie wtedy o zamku elektronicznym. Wyjął kartę, otworzył nią drzwi i wszedł. Stał zaskoczony. W gabinecie znajdowały się zamknięte od wewnątrz dr Maria Zięba, prorektor ds. studenckich z sekretarką. Po pojawieniu się rektora Włodarczyka dr Zięba poinformowała go, że tego dnia został przez Kolegium Elektorów PPUZ, na wniosek podpisany przez trzynastu senatorów uczelni, odwołany ze stanowiska, a ona jako prorektor ds. studenckich, zgodnie z prawem przejęła obowiązki rektora. Na to R. Włodarczyk wyjął z teczek dokument odwołujący panią prorektor z funkcji, datowany na 20 grudnia. Jak mi tłumaczył, próbował jej go wręczyć poprzedniego dnia wieczorem, ale ta go nie podpisała i nie przyjęła. Podobno ma na to świadków. Równocześnie mianował na stanowisko prorektora ds. studenckich dr Biankę Godlewską-Dzioboń, dotychczasową prorektor ds. rozwoju. Aby kogoś uczynić prorektorem ds. studenckich, trzeba mieć pozytywną opinię samorządu studenckiego. Rektor Włodarczyk skierował do samorządu odpowiedni wniosek 9 grudnia, lecz nie otrzymał nań odpowiedzi, co jest uznawane za akceptację propozycji przez studentów. Nikt zatem nie przyjął do wiadomości informacji przekazanych przez drugą stronę. Pojawili się inni pracownicy, ochrona, zaczęły się słowne przepychanki. Wezwana przez kogoś policja odjechała bez interwencji.

Elektroniczne ślady

Nieco inaczej tę sytuację opisuje dr. M. Zięba. Jej zdaniem, widziała się z rektorem Włodarczykiem 20 grudnia na Kolegium Zarządzającym, na którym zresztą zgłaszała – nie po raz pierwszy, jak mówi R. Włodarczyk – krytyczne uwagi pod adresem sposobu zarządzania uczelnią przez rektora. Potem

około godziny 16. weszła na chwilę do gabinetu rektorskiego i pożegnała się z rektorem. O żadnym odwołaniu nie było mowy.

Następnego dnia, gdy rektor pojechał do Krakowa, grupa senatorów skierowała do Kolegium Elektorów wniosek o odwołanie go, a ono natychmiast się zebrało i odwołało rektora. Wyglądało to na dobrze zorganizowane działanie. Dr Zięba przejęła obowiązki rektora, a wieczorem w jego gabinecie podpisywała przelewy, które powinny wyjść z uczelni. Wtedy zjawiał się R. Włodarczyk. M. Zięba nie miała pisma o odwołaniu rektora, zatem poinformowała go ustnie o wydarzeniach w uczelni i odwołaniu. Relacja obu stron na temat dalszego, burzliwego przebiegu wieczoru jest w gruncie rzeczy zbliżona.

Dr Bianka Godlewska-Dzioboń poinformowała mnie, że o swojej nominacji dowiedziała się 22 grudnia, a pismo – zarządzenie, co nie jest bez znaczenia, bo liczy się w nim data wystawienia, a nie poinformowania innych osób o jego skutkach – jest datowane na 20 grudnia. Oczywiście miała świadomość, że taka zmiana jest przygotowywana przez rektora Włodarczyka i wcześniej wyraziła zgodę na objęcie tej funkcji. W tej sytuacji to ona miała objąć funkcję p.o. rektora.

Przez ładnych kilka dni w „Podhalance” trwały przepychanki, próby opanowania gabinetu rektora. Za rektora wciąż uważał się R. Włodarczyk, a za pełniącą jego obowiązki M. Zięba. Dwa tygodnie później, gdy R. Włodarczyk nieco się wycofał z tej rywalizacji, nadal dwie osoby rościły sobie pretensje do funkcji p.o. rektora. Istniało realne zagrożenie dla funkcjonowania uczelni. Przeciwko R. Włodarczykowi skierowano pozew do prokuratury za antydatowanie dokumentów o zmianie na stanowisku prorektora ds. studenckich. Dotarłem do sformułowanej na piśmie opinii, która to potwierdza. Poinformowano mnie też, że wskazują na to ślady elektroniczne w komputerach uczelni. Z tego samego dokumentu wynika, że obowiązki rektora faktycznie pełni M. Zięba. Podobno został on sporządzony dla MEiN.

Dr M. Zięba przekonuje mnie, że przewodniczący samorządu studenckiego, studiujący w instytucie rektora Włodar-

czyka, przyznał później (podczas spotkania ze studentami w styczniu 2022 r.), że pismo w sprawie powołania dr Godlewskiej schował do szuflady i nie pokazał nikomu. Przygotowania do odwołania rektora trwały w tajemnicy przed nim samym, choć mógł się ich domyślić, bo był poinformowany o spotkaniu Kolegium Elektorów. R. Włodarczyk temu zaprzecza. Dr Krzysztof Waśkowski, kolejny odwołany już i zwolniony z uczelni były prorektor PPUZ, przekonywał mnie, że wniosek o odwołanie rektora Włodarczyka, podpisany przez 13 senatorów – wystraszającą większość – był poprawny formalnie. Senat działał w trybie zdalnym, a wniosek podpisano w formie obiegujowej. Na pytanie, jak można było to zrobić, skoro rektor jest przewodniczącym Senatu, otrzymałem odpowiedź, że trzeba tak było postąpić, bo w przeciwnym razie odwołanie nie byłoby możliwe. Rektor znalazłby sposób na powstrzymanie głosowania lub wygranie go.

Kto jest rektorem?

Ministerstwo wkroczyło do gry dopiero 30 grudnia. Wydało wtedy stanowisko, w którym podkreśliło autonomię uczelni w podejmowaniu decyzji o odwołaniu rektora i wskazało na sąd jako kompetentny do rozstrzygnięcia o ważności uchwały Kolegium Elektorów z 21 grudnia 2021 r. odwołującej R. Włodarczyka i wskazującej dr M. Ziębę jako pełniącą obowiązki rektora PPUZ do czasu wyłonienia nowego rektora w wyborach. Warto zauważyć, że 29 grudnia 2021 r. B. Godlewska i R. Włodarczyk spotkali się w MEiN z min. Wojciechem Murdzkiem i dyr. Departamentu Szkolnictwa Wyższego Marcinem Czają.

Uczelniana Komisja Wyborcza pod kierunkiem dr Małgorzaty Wesołowskiej od początku stycznia podjęła działania zmierzające do przeprowadzenia nowych wyborów rektora. Wobec niejasnej sytuacji w uczelni, ministerstwo 12 stycznia przysłało jednoznaczne stanowisko potwierdzające prawa dr B. Godlewskiej-Dzioboń do pełnienia obowiązków rektora. W międzyczasie odbywa się szereg spotkań. Pewnego dnia pani

B. Godlewska napotyka w drodze do gabinetu rektora pikietę pracowników. Próby blokady rektoratu trwają jeszcze jakiś czas. Pewnego razu grupa pracowników nocuje na terenie uczelni.

Tymczasem trwa kampania wyborcza rozpoczęta przez Komisję Wyborczą pod kierunkiem M. Wesołowskiej, zwolnionej z uczelni przez dr Godlewską. Jediną kandydatką jest dr hab. Anna Mlekodaj, prof. uczelni, co ogłasza 18 stycznia Komisja Wyborcza. Po tygodniu od pierwszego pisma z MEiN przychodzi kolejne, stanowczo potwierdzające prawo B. Godlewskiej do pełnienia obowiązków rektora PPUZ. Przekazuje ona tę wiadomość społeczności akademickiej, a także kwestionuje prawomocność dotychczasowej Komisji Wyborczej i wkrótce potem powołuje nową. Tłumaczy mi, że dotychczasowa Komisja nie miała pełnego składu z powodu odejścia z uczelni niektórych jej członków. Innych sama zwolniła, czego ci nie uznają, gdyż za p.o. rektora uznają dr. M. Ziębę.

Na spotkanie z ministrem starają się też umówić M. Zięba i K. Waśkowski. Udaje im się to dopiero 27 stycznia. Z żalem informują o długim oczekiwaniu na korytarzu i niezbyt ciepłym przyjęciu. Tego samego dnia nowa Komisja Wyborcza pod kierownictwem Aleksandry Kiełtyki unieważnia wszelkie czynności wyborcze ogłoszone i prowadzone przez starą Komisję. Następnego dnia do uczelni i jej organów i społeczności dociera kolejne pismo z MEiN, tym razem podpisane przez ministra szkolnictwa wyższego Przemysława Czarnka. Potwierdza on poprzednie stanowisko o pełnieniu obowiązków rektora przez dr Godlewską i spodziewa się, że to ona zorganizuje poprawny proces wyboru nowego rektora i uspokoi sytuację w uczelni. Wyraźnie też pisze, że dr Zięba nie ma uprawnień rektorskich, a wybory organizowane przez starą Komisję nie zostaną uznane.

Mimo to Komisja działa. Wybory w PPUZ odbyły się 1 lutego. Wygrała je jedyna kandydatka. Czy jest rektorem PPUZ? Czy i kiedy nałoży tożę? Minister szkolnictwa wyższego Przemysław Czarnek 3 lutego wystosował do społeczności akade-



Dr Biana Godlewska-Dzioboń napotyka w drodze do gabinetu rektora pikietę pracowników

mickiej PPUZ stanowcze pismo, że nie uznaje ich wyników i czeka na wybory, które organizuje Komisja Wyborcza powołana przez dr Godlewską.

Od początku konfliktu studenci wyrażali swoje obawy o proces dydaktyczny, zaliczenia i egzaminy (niektóre prowadziły osoby zwolnione już przez dr Godlewską). Jeszcze w grudniu przewodniczący samorządu – ten sam, który nie odpowiedział na pismo R. Włodarczyka o powołanie dr Godlewskiej na prorektora ds. studenckich – dwukrotnie wzywał do zachowania jedności i nieuleganie emocjom. Jednak 20 stycznia na zdalnym spotkaniu z B. Godlewską emocje kipiały. Studenci gremialnie opowiedzieli się przeciwko „swojej” prorektor. Na You Tube ukazał się filmik studentów protestujących przeciwko pani Godlewskiej, a w obronie uczelni i wolności akademickiej.

Czekając na uzasadnienie

W całym konflikcie najmniej mówi się o powodach niechęci środowiska PPUZ do rektora Włodarczyka, a zapewne są poważne, skoro zdecydowano się na taki stanowczy i ryzykowny krok. Mówi się o nierealizowaniu programu wyborczego, płaceniu innej uczelni publicznej grubych pieniędzy za jakieś zbędne usługi. Moje wątpliwości dotyczą przede wszystkim początku konfliktu, czyli odwołania rektora Roberta Włodarczyka. Stał on na czele Senatu PPUZ. Czy posiedzenie Senatu, na którym podjęto uchwałę o skierowaniu do Kolegium Elektorów wniosku o jego odwołaniu, jest prawomocne, jeśli on sam nie został o nim zawiadomiony, podobnie jak kilku innych senatorów? W ustawie PSWN to senat, czyli organ uczelni, a nie senatorowie, choćby w niewielkiej liczbie, może wnioskować o odwołanie rektora. Wydarzenia ostatnich dwóch miesięcy pokazują, że ustawa PSWN dając rektorom ogromną władzę, nie dała społeczności akademickiej skutecznych metod nadzoru i odwoływania rektora. Warto tę sprawę przemyśleć.

O uporządkowanie sytuacji w uczelni apelują lokalne władze, odbywają się msze święte w kościołach. „Podhalanka” jest oczkiem w głowie lokalnej społeczności.



Uczelnia ma do rektorów pecha. Poprzedni rektor, ks. dr hab. Stanisław Gulak, został oskarżony o liczne plagiaty, a w związku z tym, po uprawdopodobnieniu tych podejrzeń i wydaniu opinii w tej sprawie przez KRASP i RGNiSW, odwołany przez ministra szkolnictwa wyższego Jarosława Gowina z funkcji rektora. S. Gulak odwołał się do sądu. Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie 5 lutego 2021 roku uchylił decyzję min. Gowina. Nie dlatego jednak, że uznał argumenty S. Gulaka, ale z pozornie błahych błędów proceduralnych. Jednym z nich był nieprawidłowy sposób doręczenia decyzji ministrowi o odwołaniu. Generalnie chodziło jednak o to, że decyzja taka jest decyzją administracyjną. „Reasumując, Minister odwołując skarżącego z funkcji rektora z pominięciem przepisów k.p.a. znajdujących w tej sprawie zastosowanie, naruszył te przepisy procesowe, w szczególności art. 104 § 1, art. 107 § 1 i § 3, art. 106 § 2 k.p.a., a naruszenia te mogły mieć istotny wpływ na wynik sprawy” – czytamy w uzasadnieniu wyroku. Tak czy inaczej, koszty sądowe pokryje MEiN. Prokuratura umorzyła też postępowanie w sprawie zarzutów o plagiaty S. Gulaka „wobec braku danych dostatecznie uzasadniających podejrzenie popełnienia przestępstwa”. Na razie nie znamy pełnego uzasadnienia tej decyzji.



Na You Tube ukazał się filmik studentów protestujących przeciwko pani Godlewskiej, a w obronie uczelni i wolności akademickiej

Joanna Wójcik

O skutecznym nauczaniu zdalnym

Sukces edukacji zdalnej nie byłby możliwy bez istniejącej niemalże na każdej uczelni grupy entuzjastów e-learningu, którzy wiele lat spędzili na propagowaniu tej formy kształcenia, powołując ośrodki e-learningowe, prowadząc szkolenia nauczycieli akademickich oraz studentów, przygotowując przykładowe kursy oraz podnosząc swoje kwalifikacje.

Uczelnie wciąż mierzą się z wyzwaniem, jakim jest organizacja procesu nauczania w warunkach pandemii. Rozpoczęcie od ważnego pozytywnego elementu. W roku akademickim 2021/2022 na większości uczelni zajęcia zaczęły się w trybie mieszanym. Nie mieliśmy więc sytuacji, w której studenci pierwszego roku weszli na kolejny poziom edukacji w trybie w pełni zdalnym, co rok wcześniej okazało się bardzo trudne zarówno dla nich, jak i dla wykładowców. Tym razem mieliśmy komfort poznania własnych studentów, a oni nawiązali kontakty między sobą, co znacznie podniosło komfort późniejszej pracy online.

Pierwsza fala pandemii pokazała, że – niezależnie od wybranej technologii – „wygrały” te uczelnie, w których już wcześniej położono nacisk na metodykę zdalnego nauczania. Wiele uwagi poświęcono wpływowi pandemii COVID-19 i zdalnego nauczania na studentów i uczniów. Równie ważne jest pytanie dotyczące pracowników uczelni. Nauczyciele akademicy musieli bardzo szybko oraz w znaczącym stopniu zmodyfikować swój sposób nauczania, w tym przygotować nowe materiały dydaktyczne dostosowane do warunków nauczania online. Jacek Urbaniec w artykule *Edukacja „pandemiczna”, czyli o kształceniu zdalnym na uczelniach* (FA 5/2020) słusznie zauważył, że o sukcesie nauczania zdalnego zdecydowali nauczyciele akademicy, którzy z pełnym zaangażowaniem podeszli do wyzwania. Uważam jednak, że sukces edukacji zdalnej nie byłby możliwy bez istniejącej niemalże na każdej uczelni grupy entuzjastów e-learningu, którzy wiele lat spędzili na propagowaniu tej formy kształcenia, powołując ośrodki e-learningowe, prowadząc szkolenia nauczycieli akademickich oraz studentów, przygotowując przykładowe kursy oraz podnosząc swoje kwalifikacje.

W wielu przypadkach, tak jak miało to miejsce w Wyższej Szkole Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie, doprowadziliśmy w końcu do tego, że e-learning stał się elementem zorganizowanego procesu nauczania wykorzystywanym przez całą uczelnię, a nie metodą stosowaną wyłącznie przez garstkę entuzjastów. Jestem przekonana, że gdyby w momencie wybuchu pandemii uczelnie nie dysponowały infrastrukturą w postaci sprawnie działającej platformy e-learningowej, narzędzi do komunikacji synchronicznej oraz zdalnych labora-

toriów, wykładowcom trudno byłoby się skupić na efektywnym nauczaniu. Bardzo ważną rolę pełniły też zespoły wsparcia złożone z pracowników sekcji e-learning oraz działów IT. Potwierdzają to badania Pawła Modrzyńskiego, Małgorzaty Zajdel oraz Małgorzaty Michalcewicz-Kaniowskiej, którzy w artykule *Uwarunkowania i potencjał zdalnego nauczania* (FA 9/2020), prezentując wyniki ankiety przeprowadzonej wśród studentów, wskazali „potrzebę ustandaryzowania i ujednolicenia stosowanego i wykorzystywanego oprogramowania w procesie zdalnego nauczania”. Na wielu uczelniach już to zrobiono. Na WSliZ w Rzeszowie obie strony procesu dydaktycznego wskazywały na inne potrzeby, głównie niezwiązane z infrastrukturą uczelnianą przeznaczoną do zdalnego nauczania.

Połączenie kwestii technicznych z warsztatem

Zgadzam się z prof. Alojzym Nowakiem (*Wracamy na uniwersytet*, FA 5/2021), że niektóre efekty uczenia się są trudne do osiągnięcia w trybie zdalnym, a przeprowadzenie sesji egzaminacyjnej online napotyka pewne trudności, jednak w moim przekonaniu warto zachować wypracowane przez uczelnie innowacje dydaktyczne na czas po zakończeniu pandemii. „Przymusowe” poszukiwanie nowych narzędzi ICT wspierających dydaktykę pokazało nauczycielom akademickim tkwiący w nich potencjał. Pozytywnym zaskoczeniem była – w większości przypadków – szybkość adaptacji do zdalnego nauczania ze strony zarówno instytucji, jak i pracowników, a wiele eksperymentów ze zdalnym nauczaniem zakończyło się sukcesem (oczywiście nie wszystkie, ale wynika to z eksperymentowania w niespotykanym wcześniej zakresie).

Niezależnie jednak od tego, czy mówimy o nauczaniu tylko i wyłącznie zdalnym, czy też o nauczaniu w trybie hybrydowym, kluczową sprawą jest połączenie kwestii technicznych z warsztatem. Istotną rolę w procesie kształcenia odgrywają kompetencje kadry, sposób planowania i realizacji procesu dydaktycznego oraz otwarta i aktywna postawa studentów. Warto również podkreślić, że w zasadzie każda uczelnia europejska od wielu lat posiada wdrożone platformy e-learningowe, które mają wiele funkcji wspierających takie elementy zajęć

jak: praca zespołowa, realizacja zajęć interaktywnych, współpraca na linii nauczyciel-student, ciekawe i jakościowe prezentacje, praca własna studentów, budowa wspólnych repozytoriów materiałów dydaktycznych z udziałem studentów itp. Są to rozbudowane narzędzia, których obsługa na zaawansowanym poziomie nie jest łatwa. Dodatkowo niekiedy pojawiają się potrzeby nauczycieli akademickich, które nie mogą być zaspokojone przez standardowe platformy edukacyjne, takie jak Moodle czy Blackboard, oraz przez narzędzia synchroniczne (Zoom, Cisco WEBEX, MS Teams i inne). Warto łączyć narzędzia cyfrowe dostępne on-line z istniejącą uczelnianą infrastrukturą. Tego typu podejście przyczyni się do podniesienia jakości oferowanych zajęć zarówno zdalnych, jak i tradycyjnych, poprzez zwiększenie atrakcyjności prezentowanych treści, skuteczności technik/metod kształcenia, a także zaangażowania studentów.

Nie jestem odosobniona w opinii, że z pandemii wyjdziemy silniejsi (Sławomir Cieślak, FA 6/2020). Należy tylko nie zaprzepaścić szansy na doskonalenie metod i technik kształcenia zdalnego i uwzględnić opinie studentów, nauczycieli akademickich, władz uczelni oraz pracowników administracyjnych. Wiele uczelni w Polsce uruchomiło szeroko zakrojone badania naukowe w celu pogłębienia wiedzy o zdalnym nauczaniu. Również Centrum Zaawansowanych Technologii Dydaktycznych WSiLiZ bardzo szybko udostępniło badania ankietowe, żeby pozwolić się wypowiedzieć nauczycielom akademickim (jak również nauczycielom z uczelnianego Akademickiego Liceum Ogólnokształcącego). Zostały one przeprowadzone w maju 2021 roku i dotyczyły opinii i wniosków płynących z nauczania w trybie zdalnym, przeprowadzono również wywiady pogłębione. Cenną okazała się również wiedza z różnego rodzaju raportów, zestawień i analiz prowadzonych od początku wprowadzenia na szeroką skalę zdalnego nauczania oraz analiza zgłoszeń przekazywanych do uczelnianych centrów e-learningu. Wnioski pochodzące z badań nie odbiegają od tych prezentowanych w innych badaniach w Europie i na świecie. Jednym z najczęstszych problemów wskazywanych przez dydaktyków jest kwestia aktywizacji, zaangażowania i skupienia uwagi studentów. Wśród trudności procesu dydaktycznego w formule zdalnej wskazywano również problem z realizacją praktycznych zadań grupowych.

Poszukiwanie niestandardowych metod

Podczas pandemii nauczyciele często sami eksperymentowali, co znalazło potwierdzenie w przeprowadzonych badaniach. Specyfika zajęć online wymuszała na prowadzących poszukiwanie niestandardowych metod i narzędzi dydaktycznych, które z jednej strony uatrakcyjniały przekazywane treści, z drugiej zaś pozwalały realizować cele danego przedmiotu i osiągać zakładane i oczekiwane efekty kształcenia. Do standardowych elementów prowadzenia zajęć należą: wysyłanie i udostępnianie linków do materiałów online, m.in. do materiałów audio-wideo, ebooków, artykułów naukowych oraz innych dostępnych w Internecie, indywidualne konsultacje online, interaktywne quizy. Następnymi bardzo popularnymi metodami są: dzielenie studentów na grupy/podsesje, pisanie/rysowanie na tablicy, wspólna praca na współdzielonym dysku, np. Google Drive, nagrywanie i udostępnianie studentom autorskich materiałów wideo oraz gamifikacja przedmiotów lub ich poszczególnych elementów. Zdarza się również na zajęciach nagrywanie studentów podczas prezentacji; ćwiczenia typu odgrywanie ról i odtwarzanie nagrań studentom; wspólne oglądanie filmów i prezentacji (udostępnianie widoku monitora); streaming gier wideo, które poddawane są analizie; interaktywne tablice i komunikatory; zarządzanie projektami

z wykorzystaniem aplikacji np. Trello. Wszystkie wspomniane elementy prowadzenia zajęć znajdują wsparcie w ogólnodostępnych narzędziach ICT.

Na podstawie przeprowadzonych badań – zarówno jakościowych, jak i ilościowych – oraz na podstawie wiedzy eksperckiej pracowników Centrum Zaawansowanych Technologii Dydaktycznych stworzyliśmy we WSiLiZ listę narzędzi ICT do nauczania (open source lub na licencji edukacyjnej), które mogą być przydatne w prowadzeniu zajęć. Większość z nich nie zostało nazwanych wprost przez badanych, zostały one dobrane przez autorów na podstawie sformułowanego opisu potrzeb. Wybrano narzędzia, które w jak największym stopniu pozwalają zbliżyć proces kształcenia zdalnego do realizowanego w sali ćwiczeniowej lub uzupełnić zajęcia prowadzone w sposób tradycyjny. Dwadzieścia takich narzędzi opisano w publikacji *Skrzynka narzędziowa e-Wykładowcy WSiLiZ*, która została udostępniona wszystkim nauczycielom akademickim oraz pracownikom administracji (mogą oni skorzystać z wielu wskazanych narzędzi dla podniesienia efektywności swojej pracy). Uczelnia dysponuje rozbudowanymi materiałami szkoleniowymi również w postaci podręczników, materiałów wideo oraz nagrań z webinarium, rozbudowanego forum pomocy wraz z sekcją FAQ. Materiały te były przygotowane na długo przed pandemią. W publikacji zamieszczono narzędzia, które mogą wesprzeć zarówno zajęcia prowadzone za pomocą narzędzi synchronicznych, jak też zajęcia blended-learning oraz tradycyjne. Zostały one pogrupowane według obszaru zastosowań tak, aby każdy użytkownik mógł w łatwy sposób skorzystać z zawartości, dostosowując treści do swoich potrzeb. Opisane narzędzia często posiadają pewne ograniczenia, dotyczące np. liczby użytkowników, długości/liczby pytań, liczby slajdów itp., co zasadniczo nie umniejsza ich wartości.

Upublicznienie materiałów

Odzew ze strony środowiska akademickiego był bardzo pozytywny. Szczególnym zainteresowaniem cieszyły się przykłady zastosowań narzędzi pokazane w publikacji, możliwe do odtworzenia i sugerujące pomysły do zastosowania na własnym przedmiocie. Planowane są kolejne wydania uzupełnione o nowe narzędzia. Wydaje się, że wiele uczelni przygotowywało materiały skierowane do studentów oraz nauczycieli na podstawie przeprowadzonych badań. Upublicznienie tych materiałów byłoby cenną inicjatywą dla środowiska akademickiego, służyłoby również pomocą dla nauczycieli szkół średnich i podstawowych.

Jak pokazała praktyka, problemy techniczne, takie jak np. słabe łącze internetowe, działanie mikrofonów i głośników, braki sprzętowe u studentów (np. brak kamer, mikrofonów) czy też problemy po stronie narzędzi i platform, można stosunkowo łatwo wyeliminować (oczywiście ponosząc pewne koszty). Natomiast usunięcie problemu z aktywizacją, zaangażowaniem i skupieniem uwagi studentów wymaga od strony nauczycieli akademickich wiedzy na temat dostępnych narzędzi ICT, umiejętności korzystania z nich oraz chęci do wprowadzania zmian i rozwijania warsztatu dydaktycznego. Przygotowanie materiałów za pomocą różnorodnych narzędzi ICT jest na początku bardzo czasochłonne w porównaniu do materiałów wykorzystywanych na zajęciach tradycyjnych i może powodować frustrację. Natomiast dobrze przygotowane i przemyślane materiały mogą służyć wiele lat i stanowić wartość dodaną zajęć niezależnie od trybu ich realizacji.

Dr Joanna Wójcik, kierownik Sekcji ds. e-learningu,
ekspert Centrum Zaawansowanych Technologii Dydaktycznych, zastępca kierownika
Katedry Kogniistyki i Modelowania Matematycznego WSiLiZ

Marek Misiak

Język jako przygoda

Gdy oddaję po angielsku tekst o polskiej historii czy rodzimych realiach, mam wrażenie, jakbym mówił o trochę innym narodzie i kraju. Polskie doświadczenie, polski los przynajmniej na moment wydają się bardziej przekazywalne komuś z innej kultury.

Choć skończyłem świadomie wybrane dwadzieścia lat temu studia polonistyczne, z biegiem lat coraz częściej używałem w sferze zawodowej języków obcych (z początku wyłącznie angielskiego, potem doszedł niemiecki). Od kilku lat zaś żyję w rytmie głównie obcej mowy, nie tylko redaguję w przeważającej mierze po angielsku i niemiecku, nie tylko tłumaczę z tych języków i na te języki, ale też to głównie w nich czytam, oglądam filmy i seriale czy słucham audiobooków. Nie zacząłem w żadnym razie gardzić polszczyzną, po prostu języki obce to dla mnie pociągająca przygoda i aż dziwnym jest dla mnie, że odkryłem to tak późno. Czy mam zadatki na cenionego anglistę lub germanistę? Nie sądzę. Ale jestem w stanie operować tymi językami na tyle profesjonalnie i świadomie, że mogę bez przeszczeniania się oferować fachowe usługi, a jednocześnie cieszyć się tym, co robię. Uczę się dwóch kolejnych języków – czeskiego i rosyjskiego. Nie sądzę, bym kiedykolwiek doszedł w nich do poziomu, na jakim znam angielski, nie jestem raczej materiałem na autentycznego poliglotę. Ale samo uczenie się to radość i intelektualna podnieta.

Zdarza się, że gdy mówię o swojej pracy w językach innych niż ojczysty, stykam się ze stereotypami lub zaskakującymi dla mnie skojarzeniami związanymi z różnymi językami. Nie oceniam tego. Po pierwsze dlatego, że niektóre z negatywnych skojarzeń w tej dziedzinie wydają mi się w pełni zrozumiałe. Znam osoby, które z uwagi na rodzinny przekaz pamięci historycznej nie są w stanie usłyszeć np. piękna języka ukraińskiego i osądzenie takiej postawy byłoby z mojej strony przejawem infantylnego poczucia wyższości. Po drugie zaś sam zapewne stereotypowo myślę o różnych kwestiach i mam z nimi banalne skojarzenia, po prostu chodzi o sprawy spoza mojego poletka. Natomiast – choć zabrzmi to pysznie – czuję się od takich stereotypów i skojarzeń wolny. Język obcy to przygoda, wejście w inny sposób myślenia, do metaforycznego domu Innego. Wymaga porzucenia wielu oczywistości. Poniżej moje świadectwo o przygodzie z trzema językami.

Angielski

W dzieciństwie i jako nastolatek uczyłem się British English (BE) i to ta odmiana wydawała mi się zarówno w nieokreślonym sensie „prawdziwsza” (the real thing), jak i przyjemniejsza dla ucha. Ironia losu było więc, że gdy zacząłem redagować i tłumaczyć teksty w tym języku, była to przede wszystkim odmiana amerykańska. Im dłużej jednak zgłębiałem stwo-

rzony w USA wydawnictwa poprawnościowe, tym bardziej zdawałem sobie sprawę, że za American English (AE) także idzie potężne dziedzictwo kulturowe, a wyobrażenia wielu Polaków o niestarannej i prostackiej angielszczyźnie Amerykanów nie mają nic wspólnego z pełnym czasem szlachetnej prostoty, a czasem wytwornym językiem tamtejszej literatury czy nauki. Ponieważ nie jestem anglistą, nigdy nie wymagało ode mnie znajomości jakiegokolwiek bardzo konkretnej odmiany angielskiego w mowie, jedynie konsekwencji w podstawowych różnicach ortograficznych i fleksyjnych między BE i AE. Im głębiej jednak wchodziłem w ten język, tym jaśniejsze było dla mnie, że – być może z uwagi na skażenie filmami i serialami – najbliższy wydaje mi się tzw. General/Standard American English, w którym mówi wielu amerykańskich aktorów, o ile z uwagi na czas, miejsce lub środowisko akcji nie jest konieczna stylizacja sposobu mówienia.

To tłumacząc i redagując po angielsku zacząłem być wrażliwy na subtelności językowe, które dla native speakerów oraz anglistów są oczywiste, choćby dobór słownictwa, aby komunikat nie brzmiał zbyt potocznie czy wręcz slangowo, ale też nie przerażał się w wielosłowie. Moim zdaniem problem z angielskim w oczach Polaków polega na tym, że granica między normą wzorcową a użytkową, która w języku ojczystym jest wciąż dla wielu wykształconych osób wyraźnie wyczuwalna, po angielsku zupełnie się rozmywa. Tak jakby angielski był wyłącznie językiem przerzucających się grepsami postaci z filmów, ewentualnie narzędziem komunikacji biznesowej i towarzyskiej. Wraz z nową drogą zawodową odkryłem zatem bogactwo amerykańskiej literatury, którą mimo studiów filologicznych znałem dość fragmentarycznie. Tu nie chodzi już o samą przyjemność czytania w oryginale, ale poznawanie bogactwa AE w wykonaniu mistrzów tego języka. Mam wrażenie, że kultura USA nie budzi w wielu osobach ukierunkowanego zainteresowania, gdyż wydaje się praktycznie na całym świecie wszechobecna i przez to oczywista. Tak nie jest, nie mamy nawet pełnego obrazu amerykańskiego kina (z serialami jest lepiej, ale jest szereg platform streamingowych dostępnych tylko w USA), a o tamtejszej literaturze pięknej (a szczególnie poezji) wiemy bardzo niewiele. Lojalnie ostrzegam: życia nie starczy, żeby wyczerpać to morze.

Im głębiej wchodziłem w angielski, tym z jednej strony staje się on bliższy (zdarza mi się nawet śnić w tym języku), z drugiej zaś bardziej obcy. Otwiera się jakby nowy poziom w grze – angiel-

ski na tyle zaawansowany, że pojawiają się sformułowania i konstrukcje wyglądające tak obco, że mam wrażenie, że dopiero zaczynam się uczyć tego języka. Pęczniej biblioteczka: poradniki poprawnościowe, stylebooki znanych wydawnictw, podręczniki do specjalistycznych odmian języka. Najtrudniejsze, ale i kluczowe na tym etapie pracy z językiem obcym jest przyjęcie do wiadomości, że nigdy nie opanuje się go w takim samym stopniu, jak profesjonalisci-native speakerzy (np. doświadczeni redaktorzy z amerykańskich wydawnictw). Nie oznacza to jednak, że muszę znaleźć sobie inny zawód, po prostu gdzieś istnieją granice mojej kompetencji. Jak tłumaczył mi kiedyś dawny publicysta „Forum Akademickiego”, a prywatnie mój ojciec, dr Paweł Misiak: na pierwszym roku studiów młody adept danej dziedziny jest przerażony ogromem materiału; na trzecim jest przekonany, że prawie wszystko już rozumie i świat stanął przed nim otworem; na piątym roku nie jest już tego taki pewien; a gdzieś w połowie doktoratu dociera do niego, jak niewiele tak naprawdę wie.

Szczegółne znaczenie ma dla mnie przekładanie polskich tekstów na angielski, mam wówczas świadomość, że niejako otwieram myśl danego autora na świat, nawet jeśli chodzi tylko o abstrakt czy streszczenie dłuższego wywodu. Gdy oddaję po angielsku tekst o polskiej historii czy rodzimych realiach, mam wrażenie, jakbym mówił o trochę innym narodzie i kraju. Polskie doświadczenie, polski los przynajmniej na moment wydają się bardziej przekazywalne komuś z innej kultury. Dlatego staram się poszerzać nieco wyjściowy materiał o objaśnienia czy

bardziej rozbudowane sformułowania wskazujące czytelnikowi, który może słabiej znać kontekst, z czym ma do czynienia. Czasem wystarczy np. dodać w nawiasie, że pierogi ruskie to filled dumplings made by wrapping unleavened dough around a savoury or sweet filling and cooking in boiling water i sytuacja od razu robi się bardziej klarowna.

Niemiecki

Większość Polaków przed pięćdziesiątką jako pierwszego języka obcego uczyła się mało fleksyjnego angielskiego, który trudności zaczyna sprawiać dopiero na wyższych poziomach zaawansowania, gdzie istotne staje się operowanie czasami oraz kwestie stylistyczne. Na jego tle niemiecki, którego uczyłem się jako drugiego języka obcego, irytował rozbudowaną odmianą zaimków, przymiotników i czasowników, a także mało intuicyjnym szykiem zdania. Jednak jego naukę mogę porównać do wspinaczki na strome zbocze, za którym rozciągają się piękne, malownicze hale – nadal nachylone, ale podejście w pięknym otoczeniu jest już czystą przyjemnością. Ten język wymaga nie tylko zdolności, ale też koncentracji, dyscypliny i systematyczności, pracy nie tylko nad nauką języka, ale też nad sobą.

Wspomniany płaskowóz to przyjemność z dekonstruowania złożonych słów i zwrotów frazeologicznych, często operujących zaskakującymi skojarzeniami. My wączymy kwiatki od spodu, po niemiecku można zaś przyglądać się rzodkiewkom od dołu (die Radischen von unten betrachten/ansehen). Litość i łaska są opisywane tym samym słowem – die Gnade.



Fot. Stefan Ciechan

Samobójstwo to nie tylko der Selbstmord (mord na samym sobie), ale też bardziej poetycko wolna śmierć (der Freitod), eutanazja zaś to śmierć z litości/laski (der Gnadetod). A skoro już jesteśmy przy tak mrocznych klimatach: śmierć jest po niemiecku rodzaju męskiego, zatem ikonografia z nią związana także jest męska. W pieśni Schuberta *Śmierć i dziewczyna* (*Der Tod und das Mädchen*) dialog śmierci z dziewczyną ma w sobie dużo z uwodzenia, gdyż umierająca jest kobietą, a śmierć mężczyzną.

Redagowanie tekstów po niemiecku rozpocząłem od materiałów na temat turystyki w Polsce lub ogólniej – promujących jakieś warte odwiedzenia miejsce w naszym kraju. Często chodzi o tereny, które do 1945 roku należały do Niemiec i przynajmniej wiąże się nie tylko z samym językiem, ale także z zanurzeniem się w inne realia historyczne i kulturowe mimo przebywania (w wyobraźni) w tym samym miejscu. Trzeba zatem z jednej strony nie zacięć polskości danego obszaru, z drugiej zaś uszanować niemieckiego czytelnika i jego oczekiwania, dlatego np. jestem zwolennikiem konsekwentnego stosowania podwójnego nazewnictwa. Często można w ten sposób podkreślić ciągłość, gdy polska nazwa jest tłumaczeniem niemieckiej (Hirschberg – Jelenia Góra) albo jej fonetycznym oddaniem (Neurode – Nowa Ruda). Niemiecka nazwa może też podsuwać nowe, inspirujące skojarzenia (Riesengebirge, dosł. Góry Olbrzymie – Karkonosze).

Nie wiem, na ile silna jest wśród Polaków niechęć do tego języka wynikająca bezpośrednio ze skojarzeń historycznych,

ja sam nigdy nie spotkałem się z takim podejściem, nawet wśród najstarszego pokolenia, pamiętającego II wojnę światową. Często jest natomiast, nawet wśród osób młodszych ode mnie, powtarzanie, że „trzeba znać język wroga”. Nie obruszam się wówczas, zdaję sobie sprawę, że to żart, tyle że w moich uszach tak już zwierzały, że kompletnie niemiły. Potrafię natomiast zaskoczyć znajomych i nieznajomych zaprzeczeniem, że jest to język twardy i nieprzyjemny dla ucha. Faktycznie może tak brzmieć, gdy ktoś słyszał jedynie wykrzykiwane w nim komendy w filmach wojennych albo zetknął się tylko z tymi jego odmianami (spotykanymi częściej w północnych Niemczech), które istotnie mają twardsze brzmienie niż wzorcowy język niemiecki (Standardhochdeutsch). Natomiast literacki język niemiecki i większość odmian regionalnych ma delikatniejsze brzmienie. Najlepszym tego dowodem jest dla mnie samego fakt, że wada wymowy, na którą cierpię, popularnie zwana „francuskim R”, pomaga mi w prawidłowej wymowie, gdyż we wzorcowym niemieckim twarde R pojawia się rzadko – język ten pełen jest miękkich, szumiących i szleszczących głosek.

Czeski

Tego języka dopiero się uczę, ale zdarza się, że pracuję na krótszych tekstach lub fragmentach w nim napisanych, zazwyczaj podczas weryfikacji tłumaczeń. Tu przygoda polega na przesunięciu: to także język zachodniosłowiański, a zatem jest podobnie jak po polsku, ale jednak nie tak samo, a różnice stają się głębsze, im lepiej chce się rozumieć. Czeski to obcy język jak każdy inny i wymaga nauki jak każdy inny. Może Polakom idzie ona trochę szybciej, ale niekoniecznie, gdyż łatwiej ulec iluzji dobrego rozumienia i mylić elementy podobnie brzmiące, ale oznaczające coś zupełnie innego. Dlatego staram się zachować wzmogłą czujność – czeszczyzna wymaga szacunku. W języku tym urzeka mnie wynikająca z walki o jego czystość, przede wszystkim w II połowie XIX wieku i w okresie międzywojennym, radykalna słowiańskość, objawiająca się także w znanych wielu Polakom wyrazach (hudba, divadlo), ale także odmienne niż w polszczyźnie krzyżowanie się wpływów wschodniosłowiańskich, grecko-lacińskich czy niemieckich. Nie wiem dlaczego, ale czeski nigdy mnie nie śmieszył. Może zbyt dużo czytałem i słyszałem w nim treści, które bynajmniej nie były zabawne? Tak naprawdę żaden język mnie nie odrzuca. Włoski wydaje mi się równie poważny jak niemiecki, rosyjski kojarzy się z kinem Tarkowskiego i poezją Achmatowej, a nie z przymusem czy komunizmem, a języki skandynawskie potrafią brzmieć i dostojnie, i romantycznie. I tylko czasu na naukę już brak.

Moim stricte prywatnym doświadczeniem jest pisanie wierszy – próba wyrażania intymnych aspektów mnie samego – w obcych językach. Obca mowa ma nie być wyłącznie narzędziem racjonalnej komunikacji, ma umożliwić nazwanie czegoś we mnie: spostrzeżenia, doznania, stanu ducha, lęku. Czasem nieoczekiwanie okazuje się, że uchwycenie czegoś – może niekoniecznie ujęcie istoty, ale przynajmniej dotknięcie – jest łatwiejsze w obcym języku niż w ojczystym. Język wypowiedzi staje się z jednej strony sposobem na skontaktowanie się z samym sobą, z drugiej swego rodzaju tarczą, dzięki której pewne prawdy nie brzmią tak boleśnie. To, co jestem w stanie wyrazić w danym języku, może być niezgodne z powszechnymi skojarzeniami z daną mową: po angielsku piszę o harmonii, po niemiecku o bliskości, ale i lęku przed śmiercią, po czesku o melancholii i samotności, po włosku i rosyjsku o chwilach zatrzymanych w czasie. Język obcy może być przygodą, także w samopoznaniu.



Istotna rola do odegrania

W zakresie pojęcia szkolnictwo wyższe mieści się coś więcej niż tylko zapewnienie odpowiedniej jakości kształcenia czy dopasowanie posiadanej oferty edukacyjnej do aktualnych potrzeb rynku pracy, przekonuje czasopismo Uniwersytetu Gdańskiego „Gazeta Uniwersytecka” (nr 8/2021). W opublikowanym tekście dotyczącym zagadnienia społecznej odpowiedzialności uczelni zarysowany został obraz szkoły wyższej jako organizacji, która służyć ma szeroko pojętemu otoczeniu, nie zamyka się w swoich murach, a także popularyzuje wiedzę oraz dba o wyrównywanie szans edukacyjnych.

Jak w praktyce może wyglądać realizowanie tego rodzaju zadań? Przekonujemy się śledząc przykłady działań Komisji ds.



Spółecznej Odpowiedzialności Uniwersytetu Gdańskiego. Organ skupiony na wykreowaniu z akademickiej społeczności, wspólnoty, która bazować ma na naukowej kulturze równości, działa w oparciu o zasady bliskie 17 Celom Zrównoważonego Rozwoju ONZ, koncentrując się na pięciu obszarach obejmujących kolejno: ludzi, dobrobyt, planetę, pokój oraz partnerstwo. Przygląda-

jąc się liście realizowanych na UG projektów, Starbios2, Resbios, MINDtheGEPs gender equality in research, ACTonGender, Towards Gender Harmony i Science Clubs, których specyfika została w artykule szczegółowo omówiona, można wysnuć wniosek, że na Uniwersytecie Gdańskim po pierwsze zdają sobie sprawę z wagi społecznej odpowiedzialności nauki, po drugie robią wiele, by wzmacniać rolę kapitału społecznego, jakże ważnego z perspektywy rozwoju naszego kraju.

W doradztwie siła

Rada Uczelni jest organem, który stosunkowo niedawno pojawił się w przestrzeni związanej ze szkolnictwem wyższym. O tym, jakie ma zadania do wypełnienia i jaką rolę odgrywa w życiu pojedynczej uczelni, opowiada kwartalnikowi Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu „Fakty UMP” (nr 2/2021) dr Janusz Popaszkiwicz, przewodniczący tamtejszej Rady Uczelni. Rozmówca przyznaje, że stane



nie na czele tak zacnego gremium jest dla niego osobiście wyróżnieniem, a także ogromną nobilitacją. Jako pragmatyk, na co dzień zajmujący się aktywnością związaną z branżą medyczną, ma przeświadczenie, że do sprawnego funkcjonowania rady przyda się jego wieloletnie praktyczne doświadczenie. Nie do przecenienia jest także wsparcie, którym służy w zakresie nowoczesnej

edukacji mającej na celu podniesienie jakości leczenia chorych oraz pomoc przy organizowaniu wspólnych konferencji naukowych. Interlokutor, wywodzący się, jak sam mówi o sobie, ze środowiska akademickiego, deklaruje chęć czynnego udziału w pracach obejmujących m.in. opiniowanie projektów strategii uczelni oraz jej statutu, jest także chętny, by wspomagać różne procesy zarządcze.

Dr Popaszkiwicz podkreśla, że jednym z priorytetowych zadań, jakie stoją przed poznańskim uniwersytetem, jest budowa Centralnego Zintegrowanego Szpitala Klinicznego i związanego z tym połączenia dwóch największych szpitali klinicznych UMP. Jak się dowiadujemy, Rada Uczelni pozytywnie zaopiniowała tę inwestycję i w najbliższym czasie zajmie się monitorowaniem złożonego procesu fuzji podmiotów.

Przyszłościowy obszar kształcenia

Morska energetyka wiatrowa to dziedzina o ogromnym potencjale rozwojowym. Kto szybko i sprawnie ją zagospodaruje, ten zbierze w najbliższych latach obfite plony. Już teraz przemyślaną strategią w tym zakresie dysponuje Uniwersytet Morski w Gdyni, którego Centrum Morskiej Energetyki Wiatrowej oferuje pierwsze w Polsce i jedne z pierwszych w Europie studia Executive Offshore Wind MBA. Ich program adresowany jest zarówno do osób pracujących w branży energetyki morskiej, jak i do tych, którzy dopiero rozpoczynają swoją aktywność w tymże obszarze. Celem studiów jest wyszkolenie specjalistów, menedżerów i liderów branży offshore wind. Dzięki przygotowanej dynamicznej formule zajęć jego uczestnicy otrzymują możliwość praktycznego zastosowania wyuczonych kompetencji. Oprócz tego dostają także dostęp do uczestnictwa w specjalistycznych konsultacjach i warsztatach, w czasie których mogą nauczyć się rozwijania umiejętności kierowniczych.



Program realizowany jest wspólnie z polskimi i europejskimi partnerami akademickimi oraz biznesowymi, których obecność ma gwarantować nowoczesność, praktyczność i nade wszystko aktualność, a samo centrum w założeniu stać się ma istotnym elementem „polskiego ekosystemu wiedzy, kompetencji, personelu i innowacji w sektorze MEW”, donosi „Uni-

wersytecki Kurier Morski” (nr 71/2021). Uczelnia z Gdyni jest także jednym z sygnatariuszy „Porozumienia sektorowego na rzecz rozwoju morskiej energetyki wiatrowej w Polsce”, do którego przystąpiło 138 podmiotów, każdy reprezentujący inny sektor gospodarki. Tego rodzaju działanie pozwoliło zainicjować intensywną współpracę między wszystkimi zainteresowanymi stronami, w tym organami administracji rządowej, samorządu terytorialnego, inwestorami oraz operatorami morskich farm wiatrowych w Polsce. Podstawowym celem całego przedsięwzięcia jest wsparcie rozwoju sektora morskiej energetyki wiatrowej oraz maksymalizacja tzw. local content.

Aneta Zawadzka



Paweł Fortuna

Idea cyberpsychologii pozytywnej

czyli testujemy przyjazną sztuczną inteligencję

Fot. Stefan Cechan

Cyberpsychologię pozytywną symbolicznie postrzegam jako agorę, na której schodzą się drogi specjalistów zajmujących się psychologią, sztuczną inteligencją i transhumanizmem. Żywy dialog dotyczący kondycji człowieka oraz korzystnych dla niego interakcji ze sztucznymi systemami powinien być istotnym elementem „najważniejszej rozmowy naszych czasów”.

W 1957 roku na ekrany kin wszedł film *Dwunastu gniewnych ludzi*, zapierający dech w piersiach reżyserski debiut Sidneya Lumeta, syna warszawianina. Film otrzymał trzy nominacje do Oscara, został wciągnięty przez Bibliotekę Kongresu na listę amerykańskiego dziedzictwa filmowego, a jego treść jest do dzisiaj żywo dyskutowana nie tylko w kręgach koneserów kina. Każdy mógłby sobie życzyć tak spektakularnego początku kariery, choć to i tak nic w porównaniu z innym debiutem, który miał miejsce dokładnie rok wcześniej. Wtedy to w Hanover (USA) odbyły się tygodniowe letnie warsztaty Dartmouth Summer Research Project on Artificial Intelligence. Współorganizator tej osobliwej burzy mózgow, matematyk John McCarthy, pierwszy raz użył terminu „sztuczna inteligencja” (SI). Oczywiście jest to raczej symboliczny moment, ale znaczący i od nas zależy, czy w przyszłości będziemy go celebrować, czy też przeklinać (oby nie!). Póki co faktem jest popularność samego terminu. W czasie, w którym piszę ten tekst, Google dało 3430 mln. wyników wyszukiwania hasła „artificial intelligence”, co jest lepszym wynikiem niż „psychology” (3190 mln.) czy... „Rolling Stones” (1310 mln.).

Najważniejsza rozmowa naszych czasów

Mimo upływu lat nie ma na świecie osoby, która podałaby precyzyjną i niewzbudzającą kontrowersji definicję SI. Jest to zrozumiałe chociażby ze względu na brak zgody co do pojmowania samej inteligencji (w czasie moich studiów diagnostyka inteligencji była przedmiotem wykładanym dwa semestry, a twórca każdego z testów dorzucał swój kamyczek do seman-

tycznego ogródka). Zadania nie ułatwia też społeczny rezonans, jaki wzbudza SI, a może raczej popkulturowe narracje na jej temat. Jak to dosadnie sformułował Jerry Kaplan (*Sztuczna inteligencja. Co każdy powinien wiedzieć*), wciąż otwarte jest pytanie „czy sztuczna inteligencja jest odrębną dyscypliną, czy po prostu Lady Gagą nauk komputerowych – która wykonuje numery przebrana w antropomorficzne kostiumy, przechwytyjąc wyobraźnię ogółu i lwią część finansowego wsparcia jarmarcznym widowiskiem popadającym od czasu do czasu w agresywną reklamę i pychę, co skłania nas do zastanawiania się, czy jest prawdziwą, czy też tandetną sztuczką”. Z badań sondażowych prowadzonych przez Dominikę Maison (*Sztuczna inteligencja w życiu Polaków. Raport z badań 2019*) wynika, że dla przeciętnego Polaka SI jest zjawiskiem odległym od codziennego życia, choć aż 81% uważa, że wie, czym ona jest (sic!). Jak ustalono, niemal każdy z badanych w swoim codziennym życiu korzysta średnio z trzech narzędzi wspieranych przez SI (przeładowarki internetowe – 52%, aplikacje z nawigacją – 45%, możliwość rozpoznawania fotografowanych obiektów przez aparat w smartfonie – 30%), jednak tylko 17% z nich uważa, że SI jest stosowana w innowacyjnych smartfonach (a jest).

Wróćmy do wspomnianego na wstępie filmu. Jak wiadomo, opowiada on historię dwunastu przysięgłych, którzy mają orzec o winie oskarżonego o morderstwo nastolatka. Uczestniczyli w rozprawie, znają materiał dowodowy, wysłuchali zeznań świadków i mów prawników, a teraz mają uzgodnić wspólne stanowisko. Obowiązuje zasada konsensusu, więc gdy przysięgły numer 8, jako jedyny, wyraża odmienne zdanie od pozostałych,

rozpoczyna się gorąca debata, mieszanka wybuchowa faktów, emocji i osobistych urazów. Film Lumeta analizuję od lat ze studentami. Za każdym razem zauważam coś nowego, ale dostrzeżony tym razem detal poraził mnie swoją metaforyczną nośnością. Chodzi mi o jedną z początkowych scen, w której zgromadzeni w sali przysięgli słyszą szcęk klucza zamykającego od zewnątrz drzwi pomieszczenia, w którym się znajdują. Wykorzystałem ten pomysł w trakcie zajęć. Powiedziałem: „Wyobraźcie sobie, że również jesteście zamknięci na klucz” i gdy wziąłem go do ręki, by urzeczywistnić pomysł, uzmysłowiłem sobie, że my, przedstawiciele gatunku homo sapiens, tworzący razem byt, który dumnie określamy mianem „ludzkość”, w pewnym sensie także jesteśmy więźniami swojego położenia. I nieważne czy przestrzeń, którą zajmujemy, zamykamy w pojęciu Ziemia czy Wszechświat albo skorzystamy z możliwości „dogadania się” w najistotniejszych dla nas kwestiach albo uznamy wizję wspólnej debaty za nieistotną, bezsensowną lub, z takich czy innych względów, niemożliwą do realizacji...

O czym powinniśmy rozmawiać? Max Tegmark, fizyk z MIT, w ostatniej książce *Życie 3.0* (2019) nawołuje do podjęcia dialogu, który określa mianem „najważniejszej rozmowy naszych czasów”. Ma do niej mobilizować możliwość stworzenia nadludzkiej SI, która będzie dążyć do osiągnięcia celów niekoniernie zgodnych z naszymi. Zdaniem Tegmarka taki scenariusz nie musi się ziścić, ale ignorowanie go nie jest oznaką roztropności. Fizyk uderza w najbardziej czuły punkt debaty na temat statusu SI, a więc wizję przejścia przez nią władzy nad ludźmi. W świetle reflektora ustawia mogące się rozwinąć już w tym stuleciu życie 3.0, które, podobnie jak my (*życie 2.0*), jest zdolne projektować swoje oprogramowanie, ale w odróżnieniu od nas również organy (substrat będący nośnikiem pamięci i umożliwiający dokonywanie obliczeń). Perspektywa spontanicznie aktywowanego procesu biogenezy 3.0 działa na wyobraźnię i w sposób uzasadniony może naruszać komfort psychiczny, ale źródła zaniepokojenia są widoczne już w bliższym horyzoncie czasowym (np. perspektywa utraty pracy).

Według Tegmarka wspólną podstawą dyskutowanych tematów powinna być następująca kwestia: jeśli chcemy, by zaawansowane systemy wspierały ludzkość w realizacji jej celów, to jakie są najważniejsze dążenia człowieka? Motywację do poszukiwania odpowiedzi wyjaśnia on następująco: „jeśli nie wiemy, czego chcemy, to mniej prawdopodobne jest, że coś osiągniemy, a jeśli oddamy kontrolę maszynom, które nie podzielają naszych celów, prawdopodobnie uzyskamy to, czego nie chcemy”. Tylko czego my właściwie chcemy? To pytanie fizyk pozostawia bez jednoznacznej odpowiedzi, co było impulsem do opracowania idei cyberpsychologii pozytywnej.

Pozytywne skrzydło cyberpsychologii

Badanie funkcjonowania człowieka w kontekście technologii cyfrowych nie jest dla przedstawicieli „nauki o duszy” czymś nowym. Od lat 90. poprzedniego stulecia dynamicznie rozwija się cyberpsychologia. Ta stosunkowo młoda subdomena wyrosła z psychologii stosowanej, dlatego precyzyjne określenie jej statusu nie jest jeszcze możliwe. Z całą pewnością można jednak stwierdzić, że w obszarze jej zainteresowań leży badanie umysłu człowieka w kontekście interakcji z nowymi technologiami, a więc tego, jak takie innowacje wpływają na ludzkie zachowania i jak od nich zależą. Patrząc na człowieka przez pryzmat aktualnego stanu cyberpsychologii, możemy powiedzieć, że nasza droga do doskonałości wiedzy pod stromą górą „technoinwazji” lub „technotoksyczności”. Zajmujemy się raczej radzeniem sobie z psychologicznymi zgłiszczkami, jakie zostawia po sobie nieumiejętny kontakt z innowacjami, niż wspomaganiem przez nie rozwojem naj-

lepszycy potencjałów człowieka. Najczęściej podejmowanymi problemami są: cyfrowe uzależnienie, technostres, cyberprzemoc, cyberpornografia, sexting, zemsta z wykorzystaniem pornografii, oszustwa (np. phishing), hejt, agresja polegająca na podważaniu reputacji czy cyberchondria. Badania interakcji człowieka ze sztucznymi systemami, bazujące na psychologii klinicznej, psychopatologii życia społecznego czy psychoterapii, są potrzebne i mam nadzieję, że będą nadal z powodzeniem rozwijane. Istotne jest jednak, by „mapowanie” problematycznego korzystania z technologii nie zamknęło oczu na pozytywny wymiar funkcjonowania w interakcji z innowacjami technologicznymi. Cyberpsychologia jest na takim etapie, że można aktywnie wpływać nie tylko na rozwijane w jej ramach subdomeny, ale również na jej generalną orientację poprzez wzmocnienie pozytywnego skrzydła tej dyscypliny. Jest to możliwe dzięki powiązaniu cyberpsychologii z psychologią pozytywną, określaną również jako „nauka o szczęściu”. W ten sposób wyłania się cyberpsychologia pozytywna – obszar analiz kontaktów człowieka i nowoczesnych technologii, który koncentruje się na interakcjach człowieka ze sztucznymi systemami, sprzyjających jego dobrostanowi.

Myśląc o dobrostanie, mamy na uwadze życie szczęśliwe, dobrej jakości, optymalne funkcjonowanie lub rozkwitanie/prosperowanie (*flourishing*). Psychologia pozytywna rozpatruje dobrostan w ramach dwóch perspektyw zakorzenionych w myśli starożytnych filozofów, a więc hedonizmu i eudajmonizmu. Hedoniści zastanawiają się nad tym, co sprawia, że życie człowieka jest przyjemne. Akcentują zmysłowość, emocje i doznania składające się ostatecznie na poczucie satysfakcji, której poziom jest określany na podstawie emocjonalnej lub poznawczej oceny sytuacji. Z kolei eudajmoniści koncentrują się na celach, wartościach, przekonaniach i zasadach, które sprawiają, że człowiek może żyć w zgodzie ze swoim prawdziwym Ja (tzw. *daimonionem* lub głosem sumienia). Ich zdaniem dobre życie powinno być przede wszystkim wartościowe i sensowne, a zbliżyć do niego ma rozwijanie cnót, nawet za cenę doświadczania osobistych cierpień i udręk. Perspektywa hedonistyczna i eudajmonistyczna nie wykluczają się – z badań wynika, że czynniki te są niezależne, ale skorelowane i z tego powodu lepiej stosować szersze pojęcie na określenie dobrostanu, jakim jest optymalne funkcjonowanie. Mając to na uwadze, można składować, że cyberpsychologia pozytywna jawi się jako obszar badań prowadzonych na styku cyberpsychologii i psychologii pozytywnej, ukierunkowanych na określenie podmiotowych (np. przekonania antropocentryczne), przedmiotowych (np. algorytmy, roboty humanoidalne) oraz kontekstowych (np. zespół pracowniczy, system szkolny) uwarunkowań optymalnego funkcjonowania człowieka, wchodzącego w interakcje ze sztucznymi jednostkami.

Kierunki badań

Cyberpsychologię pozytywną należy przede wszystkim traktować jako obszar integrujący rezultaty przeprowadzonych już dotąd badań, w których ujawniono korzystny dla człowieka związek z jego „technologicznym naskórkim”. Jednak największe nadzieje można wiązać z realizacją zupełnie nowych projektów, które wyłaniają się z łączenia cyberpsychologii i psychologii pozytywnej. Chodzi zarówno o badania, które rozszerzają zakres do tej pory prowadzonych prac na styku tych dyscyplin, jak i analizy prowadzone w zupełnie nowych kierunkach. Istotne jest poszukiwanie odpowiedzi na następujące pytania: Jakie innowacje powinny być włączane do systemu ułatwiającego człowiekowi osiągnięcie dobrostanu? Jakie przekonania człowieka mają kluczowe znaczenie dla kształtowania jego interakcji z technologią? Jak je uwarunkowania modyfikacji inte-



rakcji człowieka z innowacjami technologicznymi, by minimalizować ich niekorzystne skutki i maksymalizować korzyści?

Sformułowane pytania można potraktować jako fundament szerokiego programu badawczego. Taka lub podobna systematyzacja problemów powinna znacząco ułatwić określenie aktualnego stanu wiedzy, a poprzez ujawnienie białych plam inspirować do kolejnych poszukiwań. Jednocześnie „kooperacja” między cyberpsychologią a psychologią pozytywną powinna przebiegać bardzo płynnie. Pod uwagę powinny być brane wszystkie innowacje, które mogą pełnić rolę „pozytywnej technologii”, a więc narzędzi hedonicznych, eudajmonicznych i sprzyjających interakcjom społecznym: różnego typu systemy oparte na SI, roboty, programy komputerowe, Internet, urządzenia mobilne wraz z dużym zbiorem aplikacji, gry komputerowe oraz bioniczne protezy i implanty.

Psychologia pozytywna nakreśla z kolei zbiór zmiennych, które rzadko brano pod uwagę w dociekaniach cyberpsychologów. Interesująca jest przy tym równoległa analiza czynników wpływających na poziom satysfakcji z życia (aspekt hedonistyczny) oraz na rozwój mocnych stron człowieka (aspekt eudajmonistyczny). Wzrastająca liczba osób zaangażowanych w doskonalenie SI otwiera perspektywy analiz sił ściśle psychicznych związanych z innowacyjnością, a więc twórczości, ciekawości, otwartości umysłu i zdobywania wiedzy. Natomiast kontakt człowieka z humanoidalnymi istotami prowokuje głębsze pytania, dotyczące ludzkiego traktowania innych jednostek, a nawet pojmowania człowieczeństwa. Ciekawe jest przy tym określenie, czy obecność coraz doskonalszych artefaktów i postępująca cyborgizacja wzmacniają wiarę w ludzkość jako gatunek, który jest w stanie przekraczać własne ograniczenia, czy wręcz przeciwnie – osłabiają to przekonanie w wyniku odsłonięcia możliwości imitowania wielu ludzkich funkcji? Analiza wyników badań ukierunkowanych na poszukiwanie odpowiedzi na podobne pytania pozwoli zdemaskować wiele antropomorficznych projekcji

obecnych w sugestywnych popkulturowych narracjach na temat sztucznej inteligencji.

Wymiar praktyczny

Cyberpsychologię pozytywną symbolicznie postrzegam jako agorę, na której schodzą się drogi specjalistów zajmujących się psychologią, sztuczną inteligencją i transhumanizmem. Żywy dialog dotyczący kondycji człowieka oraz korzystnych dla niego interakcji ze sztucznymi systemami powinien być istotnym elementem „najważniejszej rozmowy naszych czasów”. Z czasem może pojawić się również nowa specjalizacja, określam ją roboczo mianem cyberporadnictwa pozytywnego. Obecnie wspieraniem korzystania z innowacji technologicznych zajmują się głównie specjaliści IT, którzy pełnią rolę domowego lub firmowego help desku. Jednak nawet najwyższej jakości opieka serwisowa nie zmniejszy poczucia osamotnienia większości ludzi w zakresie doboru innowacji i ich adaptacji. A gdyby tak w społeczeństwie pojawili się specjaliści potrafiący projektować i modyfikować systemy hybrydowe na rzecz optymalnego funkcjonowania użytkowników? Mogliby dobrać rozwiązania dostosowane do ich rozwojowych celów, doradzać rodzicom, dzieciom i nauczycielom. Nowa profesja powinna być jednak oparta na dowodach, a nie jedynie subiektywnych przeświadczeniach. Zbyt dużo mamy gorzkich doświadczeń z samozwańcami „ekspertami”, których głównym atutem są fluencja słowna i popularność.

Przyszłość

ONZ prognozuje, że liczba ludności przekroczy 8 miliardów w 2023 roku. W „Cisco Annual Internet Report” czytamy, że do tego czasu ponad 70% globalnej populacji (5,7 miliarda ludzi) będzie miało dostęp do połączeń mobilnych, a użytkownicy Internetu będą stanowili 66% globalnej populacji (5,3 miliarda ludzi). W świecie będzie niemal 628 milionów publicznych hotspotów wi-fi, a średnia szybkość połączeń 5G, osiągając 575 Mb/s, będzie 13 razy większa od przeciętnych połączeń mobilnych. Idea internetu rzeczy, a nawet wszechrzeczy, może być urzeczywistniana z dużym rozmachem. Ale przy okazji stworzone zostaną wyśmienite warunki do wymiany informacji i prowadzenia najważniejszej rozmowy naszych czasów.

Czy uzyskamy porozumienie, tak jak to się udało bohaterom filmu *Dwunastu gniewnych ludzi*? Mam nadzieję, że tak, ale najpierw musi się pojawić zrozumienie problemu i motywacja do dołączenia do dialogu. Życzylbym sobie, by pozytywna orientacja w badaniu interakcji człowieka i sztucznych systemów skutkowałą wzrostem wrażliwości innowatorów i użytkowników na fundamentalne znaczenie dobroczynnego efektu włączania danego artefaktu do życia domowego, środowiska pracy i wypoczynku. Przyjazna SI sama z siebie się nie narodzi. Y.N. Harari słusznie przestrzega, że jeżeli „za dużo wysiłku będziemy wkładać w rozwijanie sztucznej inteligencji, a za mało w rozwijanie ludzkiej świadomości, to wówczas niezwykle zaawansowana sztuczna inteligencja komputerów mogłaby służyć tylko wzmocnieniu naturalnej głupoty ludzi” (*21 lekcji na XXI wiek*, 2018). Aby tego uniknąć, trzeba umożliwić pozytywne spotkanie ludzkiej mądrości z cyfrową technologią. Pierwszym i podstawowym krokiem jest lepsze poznanie sztucznych jednostek, które już są obecne na deskach teatru życia codziennego, a kolejnym – krytyczne spojrzenie na możliwość kształtowania wartościowych interakcji z nimi.

Tekst nawiązuje do książki *Optimum. Idea pozytywnej cyberpsychologii* opublikowanej w Wydawnictwie Naukowym PWN w 2021 roku.

Dr Paweł Fortuna, Katedra Psychologii Eksperymentalnej KUL

Głucha wiedza

Inna historia telefonu

Niesłyszący majsterkowicze aktywiści wzięli na siebie ciężar pozyskiwania dalekopisów zalegających w amerykańskich biurach, naprawiania wysłużonych maszyn i dostarczania ich do głuchych rodzin, które wcześniej przekonać trzeba było do zainwestowania w telefoniczny abonament. Ten wielki oddolny wysiłek przyniósł znakomity społeczny i komunikacyjny sukces.

Kulturowa historia relacji między niesłyszeniem a techniką (a także między niepełnosprawnością a techniką) zazwyczaj jest opowiadana wedle wielokrotnie powtarzanych i utartych scenariuszy, w których klarownie rozpisywane są role wynalazców, producentów i konsumentów. W opowieściach tych osoby niesłyszące czy z niepełnosprawnościami nieodmiennie zajmują pozycję odbiorców rozwiązań proponowanych przez innych. A jednak, jeśli uwolnić się od założenia, że głuchota jest kondycją niepożądaną, patologiczną i ograniczającą, i dostrzec w niej szansę na doświadczanie kultury, komunikacji czy przedmiotów w odmienny sposób, możliwe stanie się spojrzenie na technikę i jej historię z niecodziennej perspektywy. Doświadczenie niepełnosprawności pozwala dostrzegać w codziennych obiektach afordancje inne od zwyczajowo uznanych, a ukierunkowana na nie innowacyjność osób głuchych i niepełnosprawnych przynosi niejednokrotnie korzyść także dla słyszących i sprawnych użytkowników.

Historia techniki opowiadana z głuchej perspektywy umiejscawia głuchą sprawność w miejscach, w których zazwyczaj się jej nie dostrzega. Bodaj najpopularniejszym przykładem takiego „odzyskiwania” wielkiej historii techniki jest eksponowanie udziału głuchoty w wynalezieniu telefonu. Jeśli bowiem spojrzeć na telefonię bez kulturowych, społecznych i historycznych naleciałości, będzie jawiła się jako narzędzie radykalnie i bezprecedensowo wzmacniające ludzką mowę. Rozważając telefon z tej perspektywy, można by uznać go za potężny, elektryczny wzmacniacz – pierwszy elektryczny aparat słuchowy. Interpretację taką wzmacnia biografia Aleksandra Grahama Bella, który z zawodu był terapeutą wymowy w szkołach dla niesłyszących, a i w życiu osobistym otoczony był osobami niesłyszącymi – poślubił byłą, głuchą uczennicę.

Koncepcja telefonicznej „archeologii” aparatów słuchowych, a przez to głuchego wkładu w historię jednego z najważniejszych wynalazków współczesności, brzmi atrakcyjnie w czasach, gdy historia społeczna, polityczna, gospodarcza czy techniki opowiadane są na nowo z niehegemonistycznych perspektyw: kobiet, mniejszości etnicznych czy osób z niepełnosprawnościami. Jednak prace Aleksandra Grahama Bella

(gorączkowe i owocujące zarzutami o plagiat), jak i nadzieje jego inwestora (a jednocześnie przyszłego teścia), wiązały się przede wszystkim z udoskonaleniem telegrafii, najpotężniejszej sieci informacyjnej drugiej połowy XIX wieku, zaś telefonia okazała się systemem telekomunikacyjnym wykluczającym głuchych użytkowników.

Dostępność telefonii dla niesłyszących

Wykluczenie to było szczególnie dojmujące w krajach, w których telefonia upowszechniała się dynamicznie, stając się istotnym elementem zawodowego, towarzyskiego i społecznego funkcjonowania obywateli. W 1933 roku raport brytyjskiego National Institute for the Deaf alarmował: „Telefonia i radiofonia zrewolucjonizowały życie codzienne. Obydwie niezbędne są w biznesie, a także szczęśliwym życiu społecznym. W zaledwie moment pozwalają pokonać największą nawet odległość, łącząc kontynenty i przyjaciół rozdzielonych oceanem. Nieszczęście głuchych jest dziś większe niż kiedykolwiek dotąd”. Starania o telekomunikacyjną dostępność stały się walką o pełne uczestnictwo w życiu społecznym. Po pierwszej oraz drugiej wojnie światowej, po których do domów wracali ogłuchli weterani, firmy telekomunikacyjne zaczęły być obligowane, także prawnie, do zadbania o dostępność swoich usług. Jak jednak udostępnić osobom, które nie słyszą (lub słyszą bardzo słabo) i często przez to nie mówią wyraźnie, usługę, która opiera się na wyraźnej mowie i dobrym słuchu? Imperatyw mowy i słyszenia wpisany w użytkowanie aparatu telefonicznego ukierunkował wysiłki (słyszących) projektantów na wzmocnienie donośności dźwięku w telefonicznej słuchawce. Nie poprawiało to jednak dostępności ani dla osób głuchych, ani nawet dla słabosłyszących. Brytyjski Telecom w 1956 roku testował wprawdzie wzmacniające słuchawki z wbudowaną regulacją głośności na niesłyszących użytkownikach, jednak dział inżynierski nie przykładał do wyników tych badań zbyt wielkiej wagi, jak zapowiadano: „jakkolwiek komentarze od użytkowników będą dla nas interesujące, nie spodziewamy się, by miały jakąkolwiek techniczną wartość, dlatego przewidujemy, że konkluzje oprzemy na raportach własnych pracowników”. Pozorna kon-

sultacja z głuchymi użytkownikami sprawiała, że ostatecznie inżynierowie nie musieli się konfrontować z potencjalnie krytycznymi opiniami ani zmieniać paradygmatu swoich poszukiwań. Pozostali zamknięci w przewidzianych dotychczasowym trybem użytkowania afordancjach telefonu: maszyny do słuchania i mówienia. Nie dziwiła przez to uparte próby uczy-nienia go po prostu głośniejszym. Strategia ta przyniosła bardzo korzystne skutki, choć nie dla niesłyszących użytkowników. W 1960 roku dział handlowy British Telecom planował, że wzmacniającymi aparatami można byłoby zainteresować „prze-ciętnych abonentów”, w tym jednak celu „trzeba będzie usunąć wszelkie wzmianki, że jest to sprzęt przeznaczony dla słabosłyszących. Hałaśliwe otoczenie i dbałość o własny wizerunek zachęca ludzi do nabywania [wzmacniającej] słuchawki”. I faktycznie telefonem o regulowanej głośności udało się zainteresować klientów biznesowych, zamieniając nieudane prace nad specjalną słuchawką dla niesłyszących w sukces specjalistycznej słuchawki do pracy w hałaśliwym biurze.

Także w Stanach Zjednoczonych prace prowadzone przez inżynierów AT&T ukierunkowane na dostępność telefonii dla niesłyszących nie przynosiły oczekiwanych efektów, choć trzeba przyznać, że pojawiły się tu propozycje wyjścia poza wzmocnienie dźwięków w słuchawce. Takim rozwiązaniem było na przykład podłączane do telefonu urządzenie Code-Com, które przekładało sygnały elektryczne na mruganie lampki oraz wibracje panelu dotykowego. By się nim posługiwać, potrzebna była znajomość kodu. Producenci proponowali prosty kod, w którym rozmówca na zadawane przez głuchą osobę pytania mógł odpowiedzieć „nie”, „tak, tak” oraz „proszę to powtórzyć”, co przekładało się na serie impulsów o różnicowanej liczbie, a dalej dwa lub trzy rozbłyski lampki lub drgnięcia panelu. Zapewniało to komunikację jednokierunkową, nastawioną nie tyle na rozmowę co zdobywanie przez głuchych rozmówców prostych, jednoznacznych odpowiedzi. Bardziej złożona komunikacja wymagałaby bardziej rozbudowanego kodu, w tym zakresie producent oferował ten zaproponowany sto lat wcześniej przez Samuela Morse’a na potrzeby telegrafii. Code-Com był testowany na głuchych klientach. Jak wspomina jeden z uczest-

ników owych testów: „To nie była odpowiedź na nasze potrzeby. Urządzenie nie wzbudzało entuzjazmu, było wręcz trudne do zaakceptowania (...). Jakże byłem zaskoczony, gdy po porażce w testach użytkowników zobaczyłem jego reklamę w „Newsweeku”. Kosztowała pewnie tysiące dolarów, a jestem przekonany, że Code-Com nie spodobą się głuchym. (...) Lepiej by było, gdyby AT&T, Western Electric i Bell Labs konsultowały się z członkami głuchej społeczności, zanim wydadzą fortunę na wątpliwe urządzenia”.

Działający system głuchej telefonii

W rezultacie wykluczania głuchych z etapu projektowania (Robert Imrie określa taką sytuację design apartheidem, segregacją, która sprawia, że osoby głuche czy z niepełnosprawnościami mają bardzo utrudniony dostęp do prestiżowych zawodów związanych z projektowaniem, architekturą czy inżynierią) lub lekceważenia ich opinii jako testerów, pomysły słyszących inżynierów okazywały się nietrafione, mało skuteczne albo ostatecznie trafiły do innego kręgu odbiorców. Dopiero sami niesłyszący majsterkowicze i wynalazcy, wolni od paradygmatu telefonu jako urządzenia opartego na mowie, stworzyli w latach 60. i 70. działający system głuchej telefonii. Doświadczenie życia z niesłyszeniem sprawiło, że głusi innowatorzy dostrzegli w sieci telefonicznej możliwość... pisania i czytania, a kluczem do wykorzystania tej możliwości okazał się dalekopis.

Instrument ten w powojennej Ameryce stał się istotnym elementem biurowej technosfery, a jednocześnie symbolem synchronicznej, niezawodnej, nowoczesnej i profesjonalnej komunikacji. Zsieciowane dalekopisy były maszynami do pisania i drukarkami jednocześnie. Komunikat wystukiwany na klawiaturze nadawcy (a raczej nadawczynie – maszyny te obsługiwane były zasadniczo przez pracujące w biurach kobiety) drukowany był na dalekopisie odbiorcy. Dalekopisy były początkowo osobnymi stacjami do pracy wielkości niewielkiego biurka, a ze względu na ciężar były praktycznie unieruchomione na miejscu, w którym postawili je serwisanci. W latach 60. nieforemne modele zastępowane zaczęły być coraz mniejszymi, wykonanymi z plastiku, a więc lżejszymi instrumen-

tami, które postawić można było na biurku obok maszyny do pisania czy telefonu. Stare kolosy z symbolu wydajności, nowoczesności i szybkości stały się złomem i to bardzo kłopotliwym. Ich transport nastęrczał niemałych trudności, nie wiedziano też, jak i gdzie je utylizować. Zainteresowali się nimi radioamatorzy, widząc w dalekopisach przedmiot hobbystycznych przeróbek. Jeden z nich, Robert Weitbrecht, dostrzegł jednak w usieciowionych maszynach do pisania rozwiązanie problemu telekomunikacyjnego wykluczenia społeczności głuchych, do której sam należał. Wymyślił i opatentował modem, dzięki któremu niegdysiejsze biurowe dalekopisy można było skutecznie podłączyć do komercyjnej sieci telefonicznej.

Niesłyszący majsterkowicze aktywiści wzięli na siebie ciężar (organizacyjny oraz dosłowny) pozyskiwania dalekopisów zalegających w amerykańskich biurach, naprawiania wysłużonych maszyn i dostarcza-



Źródło: prywatne

nia ich do głuchych rodzin, które wcześniej przekonać trzeba było do zainwestowania w telefoniczny abonament. Ten wielki oddolny wysiłek przyniósł znakomity społeczny i komunikacyjny sukces. Wieść o dostępnej telefonii rodziła coraz większy popyt na dalekopisy oraz rosnące zapotrzebowanie na serwisantów, gdyż największym wyzwaniem stało się podtrzymywanie wiekowych dalekopisów w stanie używalności. Użytkownicy, którzy najczęściej nie mieli wcześniej do czynienia ze sprzętem biurowym, nie potrafili sprostać nawet najprostszym naprawom. Równoległe do rosnącej sieci abonentów zaczęła się rozrastać sieć głuchych serwisantów, która wytworzyła mechanizmy wymiany wiedzy oraz kompetencji związanych z konserwacją i naprawą dalekopisów. W niezależnym od oficjalnej kultury technicznej obiegu wydawano podręczniki dla serwisantów oraz organizowano dla nich warsztaty i szkolenia.

Dzięki temu oddolnemu, opartemu na poczuciu misji i dobrej woli wysiłkowi amerykańska głucha wspólnota w latach 70. dysponowała dobrze rozwiniętą i utrzymywaną na zasadach wolontariatu siecią telekomunikacyjną, „wpiętą” w oficjalną sieć telefoniczną. W owym czasie typowym telefonicznym doświadczeniem głuchych konsumentów było... pisanie wiadomości przez telefon, a więc praktyka, która wśród słyszących użytkowników spopularyzowała się dopiero trzydzieści lat później, wraz z nastaniem telefonów komórkowych i popularyzacją SMS-a.

Sprawczość i innowacyjność głuchych

Gdy rynkowi dostawcy sprzętu i usług telekomunikacyjnych dostrzegli skuteczność wymyślonej i wcielonej w życie przez głuchych strategii pisanie przez telefon w miejsce mówienia i słuchania, przejęli ją i włączyli we własne ekonomie produkcji i innowacji. Dalekopis powrócił do oferty telekomunikacyjnych gigantów, którzy ponownie wprowadzili go na rynek, tym razem już jako małe, lekkie i przyjazne, a z czasem także mobilne urządzenie. Przejęli oni nie tylko pomysł na pisanie przez telefon, ale także gotową sieć głuchych użytkowników, potencjalnych nabywców nowych urządzeń oraz ich rozbudzone apetyty na usługi telekomunikacyjne. Konkurencja między producentami wymuszała opracowanie urządzeń jak najatrakcyjniejszych: ładnych, coraz mniejszych i podążających za najnowszymi trendami w technice. Jednostkę drukującą zastąpił wyświetlacz, z czasem pojawiła się także automatyczna sekretarka, pamięć wewnętrzna do tworzenia i przechowywania komunikatów czy lampka poziomu naładowania baterii.

Jednoczesna polityczna i legislacyjna walka o pełnię telekomunikacyjnych praw sprawiła, że dalekopisy pojawiły się w amerykańskich przestrzeniach publicznych, w budkach telefonicznych obok regularnych telefonów na lotniskach czy w szpitalach, stając się stałym elementem technologicznego pejzażu Stanów Zjednoczonych. W 2002 roku polska delegacja głuchych nauczycieli z niedowierzaniem opisywała swoje amerykańskie dalekopisowe doświadczenie na Uniwersytecie Gallaudeta: „[za]pytaliśmy Boba, naszego sympatycznego głuchego kierownika, czy gdzieś poza terenem [uniwersytetu] można dostać pizzę, na co on zaproponował, że z wielką przyjemnością ją nam zamówi (...). Zaprowadził nas do budki telefonicznej

ze słuchawką. Taka sytuacja wydawała się nam tak absurdalna, że zastanawialiśmy się, jak może on dogadać się telefonicznie, skoro jest głuchy. Z niedowierzaniem przypatrując się temu, co robił przy budce, zauważyliśmy, że coś się wysunęło z automatu – był to tekstofon z klawiaturą. Bob, stukając w klawisze, połączył się z firmą, do której wysłał pisemne zamówienie na pizzę. (...) PIZZA WILL BE CARRIED HERE. Z początku nie wiedzieliśmy, czy uwierzyć w jego słowa”.

Historia prób udostępnienia telefonii głuchym użytkownikom pokazuje, jakie konsekwencje ma dla innowacyjności ekspercka wiedza osób niesłyszących (i z niepełnosprawnościami) w projektowaniu rozwiązań, które ich dotyczą. W studiach nad głuchotą pojawiła się koncepcja głuchego pożytku (deaf gain) zaproponowana przez H-D.L. Baamana oraz J.J. Murraya. Badacze ci postawili tezę, że niesłyszenie może być wartością, przynosić korzyść i to nie tylko osobom głuchym. Może także wyprzedzać i antycypować przyszłe rozwiązania techniczne. Mara Mills, historyczka techniki, opisując rolę aparatów słuchowych w postępie miniaturyzacji sprzętu elektronicznego i elektroakustycznego, pisze: „Ludzie głusi i słabosłyszący odgrywali definiujące dla niektórych

technologii role wczesnych naśladowców, nabywców i rzemieślniczych wytwórców (...) – pomimo że w dyskursie reklamowym prezentowani byli jako głusi pacjenci, świnki doświadczalne, beneficjenci pomocy społecznej czy nieszczęśni konsumenci”.

Historia techniki niejednokrotnie osadzona jest w praktykach hakowania dostępnych technologii przez osoby z niepełnosprawnościami, a także chałupniczym tworzeniu nowych rozwiązań, gdy te dostępne na rynku nie realizują ich potrzeb. Potrzeby te nazywane bywają „specjalnymi”, czego rezultatem jest przyzwolenie na to, by nie były brane pod uwagę przez producentów czy dostawców usług. Rzeczono „specjalny” charakter podstawowych przeciętnych potrzeb, jak przemieszczenie się w przestrzeni publicznej, dostęp do informacji czy edukacji, bywa łatwą wymówką, aby nie inwestować w nowe rozwiązania. Wysiłek ten przerzucany jest na osoby z niepełnosprawnościami. Bywa, że ich innowacje i hakerskie tricki antycypują praktyki kulturowe i społeczne w czasie charakterystyczne dla głównego nurtu techniki, jak pisanie wiadomości tekstowych na telefonie czy oglądanie filmów bez dźwięku, lecz z napisami. Także ten, dziś powszechny, sposób konsumpcji treści w internecie poprzedziły lata samodzielnego poszukiwania przez niesłyszących rozwiązania dla niedostępności kina i telewizji oraz prawne kampanie zmuszające nadawców do uzupełniania treści o napisy. Mimo to wielu słyszących użytkowników nie wie, że napisy oglądanych bez dźwięku filmów na YouTube, Netflixie czy Facebooku zawdzięczają właśnie niesłyszącym aktywistom. Dlatego też historie sprawczości i innowacyjności głuchych oraz niepełnosprawnych w domenie techniki (ale też kultury czy prawodawstwa) należy opowiadać wciąż na nowo.

Tekst jest popularnym streszczeniem problematyki rozdziału *Odzyskiwanie telefonu* z książki Magdaleny Zdrodowskiej *Telefon, kino i cyborgi. Wzajemne relacje niesłyszenia i techniki*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, 2021.

Dr Magdalena Zdrodowska, Instytut Sztuk Audiowizualnych, Wydział Zarządzania i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Jagiellońskiego

Mariusz Karwowski

Zmierzą dokładnie i w szerokim zakresie

Są niepozorne – wielkością przypominają domowy ekspres do kawy, ważą nieco ponad 10 kilogramów – ale bez ich pomocy niejedno urządzenie, z którego na co dzień korzystamy, mogłoby funkcjonować jedynie na papierze.

Koszmarem każdego innowatora jest rozwiązanie, choćby najbardziej rewolucyjne, które po wdrożeniu nie działa tak, jak powinno. Wystarczy nieodpowiedni materiał użyty do produkcji, by telefony komórkowe, czujniki, skanery, radary i wiele innych urządzeń wykorzystujących fale elektromagnetyczne przestało spełniać oczekiwania użytkowników. Na skutek tak prostego błędu nawet najlepsza technologia zaprojektowana do przesyłania danych w określonych częstotliwościach może nie nadawać się do użytku. Oczywiście, da się wprowadzić poprawki, które wyeliminują zauważone defekty, tyle że wymaga to czasu i dodatkowych nakładów. Jak więc tego uniknąć?

Rezonatorowa potęga

Elektromagnetyczne właściwości materiałów mierzy się zaawansowanymi metodami, które można podzielić na dwie grupy. Każda ma swoje wady i zalety. Za pomocą metod transmisyjnych określa się parametry w szerszym zakresie częstotliwości. Badanie tak szerokiego spektrum obarczone jest jednak niedoskonałą precyzją. Dlatego można sięgnąć po drugą kategorię: metody rezonansowe. Te są od kilku do kilkunastu razy dokładniejsze, ale w zamian umożliwiają charakterystykę materiału tylko dla jednej wybranej częstotliwości. Dla przykładu, w początkach funkcjonowania telefonii komórkowej operatorzy korzystali z częstotliwości megahercowych. W podobnych działają nadajniki radiowe. Ale już w kuchenkach mikrofalowych, podobnie jak w WiFi, używa się częstotliwości gigahercowych. Urządzenia radiolokacyjne, skanery lotniskowe czy komunikacja satelitarna pracują z kolei najczęściej w zakresie do 100 GHz. Na Politechnice Warszawskiej postanowiono połączyć obie metody.

– Pomysł, który zaproponowałem w swoim doktoracie, a teraz rozwijam w ramach programu LIDER, nie tylko zwiększa dokładność, ale pozwala też pokryć szerokie pasmo częstotliwości. Bazuje więc na metodzie rezonansowej posiadającej wszak cechy metod transmisyjnych – wyjawia dr inż. Tomasz Karpisz z Instytutu Radioelektroniki i Techniki Multimedialnych PW.

Dodaje, że ideę podsunął mu prof. Jerzy Krupka. To chodząca legenda Wydziału Elektroniki i Techniki Informatycznych.

Dzięki niemu Polska, choć mało kto o tym wie, jest światową potęgą w dostarczaniu rezonatorów i oprogramowania służącego do wykonywania pomiarów. Stanowi ono najważniejszy, a przy tym najtrudniejszy do skopiowania element powstającej aparatury. Jest niepowtarzalny, dzięki czemu urządzenia różnią się od siebie, a dwóch takich samych próżno szukać.

Pracę nad metodami pomiaru właściwości materiałów elektronicznych prof. Krupka zaczął jeszcze w latach siedemdziesiątych.



Rezonator Fabry Perot

siątych ubiegłego wieku. Przełomem okazała się współpraca z National Institute of Standards and Technology (NIST), amerykańskim odpowiednikiem Głównego Urzędu Miar. Tam trafiły pierwsze egzemplarze polskich modeli, a autorska metoda dzielonego rezonatora dielektrycznego (split post dielectric resonator, SPDR) została uznana za międzynarodowy standard pomiarowy w przemyśle, medycynie, meteorologii, radiolokacji, satelitach, bezprzewodowych sieciach komputerowych czy telefonii komórkowej.

O wartości polskiej myśli inżynierskiej dobitnie świadczy fakt, że od lat o urządzenia konstruowane na PW toczą boje najpotężniejsze światowe koncerny i czołowe instytucje naukowe z Europy, ale także Japonii, Indii, Korei Południowej, Chin, Australii czy Stanów Zjednoczonych. Wykorzystują je jako narzędzia niezbędne w procesie kontroli produkcji, które pozwalają na uzyskanie wyrobów o określonej jakości właściwości elektromagnetycznych. Od 2001 roku firma QWED, będąca dystrybutorem rezonatorów i softwaru do nich, sprzedała już ponad tysiąc egzemplarzy do 300 przedsiębiorstw i ośrodków naukowych. Za granicę trafiły m.in. rezonatory do badań dielektryków niskostratnych w zakresie temperatur od ciekłego helu do około 400 K, do pomiaru zespolonej przenikalności elektrycznej ferrytów mikrofalowych oraz metamateriałów planarnych, do bezkontaktowego pomiaru rezystywności półprzewodników, a także konduktywności cienkich warstw przewodzących naniesionych na podłoże dielektryczne. Były

również modele służące do badania azotku galu, stanowiącego podstawę niebieskich laserów, a także grafenu.

– Podobnie jak w przypadku nadprzewodników wysokotemperaturowych, podstawowym problemem było stwierdzenie, jakie są właściwości azotku galu i grafenu oraz czy mieszczą się one w zakresie pomiarowym rezonatora – wspomina prof. Krupka.

Jak widać, to on przecierał szlaki dla młodych inżynierów. Śmiało można rzec, że bez niego, jego doświadczenia i wycucia na ten temat, wielu rozwiązań, takich jak choćby najnowszy otwarty rezonator Fabry Perot, po prostu by nie było.

Jak gra gitara?

Ten aparat, choć bazuje – jak wcześniejsze – na metodach rezonansowych, radykalnie różni się od poprzedników. Głównie jeśli chodzi o możliwości. Technologia 5G, satelity, samochody autonomiczne, przemysł kosmiczny... – zdaje się, że olimpijska dewiza „szybciej, wyżej, mocniej” przyświeca dziś także inżynierom. W tym przypadku chodzi o szybsze, tańsze i dokładniejsze pomiary dla wielu branż nowych technologii. Pod tym względem rozwiązanie dr. inż. Tomasza Karpisza nie ma sobie równych. Pierwszych kilka miesięcy pracy nad nim było wyjątkowo frustrujące. Wiedział, że musi stworzyć urządzenie lepsze od już obecnych na rynku, ale kolejne próby nie dawały pożądanych efektów. Zaczął się zastanawiać, czy zadanie, jakie sobie postawił, jest w ogóle możliwe do zrealizowania. Przekonania nabrał, gdy tworzył oprogramowanie, które miało zautomatyzować proces pomiaru – to był najbardziej żmudny, ale i owoalny etap. Rezultat w pełni wynagrodził ten wysiłek. Sprzedało się już ponad 20 sztuk tego rezonatora.

Jest wielkości niedużego ekspresu do kawy, waży nieco ponad 10 kg. To otwarta struktura składająca się z dwóch wklęsłych luster, które odbijają fale elektromagnetyczne. Gdyby go obudować, przypominałby do złudzenia kuchenkę mikrofalową, w której fala odbija się od metalowych ścian. Tutaj promieniowanie utrzymywane jest w środku przez dwa pokryte srebrem talerze. Jak działa? Najpierw charakteryzuje się rezonator „na pusto”, później dokonywany jest ponowny pomiar już z umieszczoną w maksimum pola magnetycznego próbką. Na podstawie różnicy własności rezonansu, czyli zachowania się rezonatora, można określić właściwości badanego materiału.

– Kiedy do pudła rezonansowego gitary włożymy jakiś przedmiot, wówczas instrument zmieni barwę dźwięku. Przy czym różne „wkładki” wpłyną inaczej na ten dźwięk. Na podobnej zasadzie badamy materiały do urządzeń elektronicznych – obrazuje mój rozmówca, wyliczając przykładowe: plastik, szkło, krzem, szafir, jednym słowem wszystko, co ma postać stałą, poza laboratoryjnie tworzonymi ceramikami. Choć i to niebawem może się zmienić. Inżynierowie z PW wraz z kolegami z Southern University of Science and Technology w Chinach już pracują nad rozszerzeniem możliwości pomiarowych urządzenia.

Jak zauważa naukowiec, w materiałoznawstwie elektronicznym uczyniono w ostatnich latach ogromny postęp. To umożliwiło jednocześnie wejście na wyższe częstotliwości. Tradycyjne metody rezonansowe (jak np. SPDR prof. Krupki) działają w zakresie do 15 GHz. Tymczasem znakomita większość nowych technologii operuje znacznie powyżej tego zakresu. Wraz z rozwojem elektroniki bariera coraz bardziej się przesuwala. A dzięki miniaturyzacji, która umożliwiła sięganie po mało dotąd wykorzystywane częstotliwości, zaczęto ochoczo zagospodarowywać również wyższe zakresy. Pojawily się nowe wyzwania i możliwości. I choć trudniej taką elektronikę w wersji mini projektować, to z drugiej strony szersze pasmo pozwa-



Prof. Jerzy Krupka

lają na przesyłanie większej ilości danych. Nic zatem dziwnego, że producenci stawiają na rozwiązania, które usprawnią proces produkcji.

Konkurencja się nie umywa

Wyjątkowość rezonatora Fabry-Perot tkwi nie tylko w tym, że można nim mierzyć na kilku częstotliwościach, w zakresie do 110 GHz. Istotna jest także dokładność pomiaru własności próbki – udało się osiągnąć poziom 0,5%, podczas gdy w podobnym produkcie dostępnym na rynku wynosi on 1–2%. Do tego urządzenie jest w pełni automatyczne, więc do jego obsługi można skierować nawet kogoś niezaznajomionego z elektroniką, zostanie poprowadzony niemalże za rękę. Wreszcie, last but not least, sam pomiar trwa od kilkunastu minut do pół godziny. To znacznie mniej niż jeden dzień u konkurencji.

Dr inż. Tomasz Karpisz na tym nie poprzestaje. Chce jeszcze zwiększyć maksymalną grubość mierzalnej próbki. Obecnie to przedział od pół do jednego milimetra. Celem jest przesunię-

cie górnej granicy do kilku milimetrów – w świecie elektroniki to bardzo duża wartość. Ponadto zamierza zamknąć rezonator w szczelnej obudowie, która ograniczy wahania wilgotności, temperatury. Urządzenie jest bowiem na tyle czułe, że wychwytuje wszystko, co dzieje się w jego otoczeniu, np. rozmowę stojących przy nim ludzi. Planowane usprawnienia zwiększą możliwość jego zastosowania np. w zakresie różnych temperatur. Przyda się to z kolei do ulepszenia elektroniki, którą w samolocie, na dużej wysokości, zachowuje się zupełnie inaczej niż używana w domu.

– To, że rezultat moich badań w postaci tego urządzenia można nie tylko opisać w publikacjach naukowych, ale zyskać w świecie sprzedać jako produkt rynkowy, wydaje mi się źródłem ogromnej satysfakcji dla naukowca – kończy naszą rozmowę już zza oceanu, gdzie jako postdok zaczął właśnie pracę na University of Colorado oraz – jak swego czasu jego mentor – w NIST. Po pół wieku historia rezonatorów z Politechniki Warszawskiej zatoczyła więc koło.

Dr inż. Tomasz Karpisz



Czołowa uczelnia techniczna

Rola Politechniki Warszawskiej w rozwoju nauki i gospodarki polskiej na przestrzeni dziejów

Politechnika Warszawska jako uczelnia techniczna od samego początku spełniała niezwykle ważną rolę w obszarze kształcenia, była również ośrodkiem stymulującym rozwój społeczno-gospodarczy.

Szkolnictwo techniczne w Europie sięga korzeniami do wieku XVIII, choć dopiero osiągnięcia wieków XIX i XX całkowicie odmieniły oblicze naszej cywilizacji. Rewolucja przemysłowa przyczyniła się do wzrostu znaczenia górnictwa, hutnictwa i metalurgii, a co za tym idzie większego zapotrzebowania na specjalistów w tych dziedzinach. W wolnych państwach Europy proces tworzenia nowych placówek oświatowych, kształcących w naukach technicznych, przebiegał bez większych zakłóceń. Na ziemiach polskich, poddanych rozbirom i obcym wpływom, taki rozwój był znacznie utrudniony. Niemniej postęp cywilizacyjny, który nieuchronnie obejmował stary kontynent, sprawił, że 20 lutego 1816 r. władze Królestwa Polskiego podjęły decyzję o powołaniu w Kielcach Głównej Dyrekcji Górniczej oraz Szkoły Akademicko-Górnictwa, siódmej w Europie i pierwszej w Polsce wyższej uczelni technicznej. Za datę powstania szkolnictwa technicznego w Warszawie uznaje się rok 1826.

Kwestie organizacyjne oraz przygotowanie programu nauczania Szkoły Przygotowawczej do studiów technicznych powierzono Stanisławowi Staszicowi, członkowi Komisji Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Niestety restrykcje po powstaniu listopadowym sprawiły, że już w 1831 roku Szkoła została zamknięta. Przez ponad kolejne pół wieku uzdolniona technicznie młodzież mogła kształcić się wyłącznie na zagranicznych uczelniach. Intensywnie rozwijający się w tym czasie przemysł korzystał z usług cudzoziemców bądź inżynierów wojskowych. Koniec wieku XIX, wraz ze wzrostem świadomości technicznej i coraz większymi potrzebami modernizacji istniejącej bazy przemysłowej, otworzył szanse kształcenia kadr na ziemiach polskich. W tym czasie gorącym orędownikiem modernizacji Rosji był minister finansów hr. Sergiej Witte, który przyczynił się do powstania trzech ogólnotechnicznych uczelni: w Petersburgu, w Warszawie i w Kijowie.

Jego inicjatywa spotkała się z aprobatą warszawskich środowisk przedsiębiorczości, rzemiosła oraz inteligencji, a reprezentantem ich postulatów był Kazimierz Obrębowski. W efekcie tych działań jesienią 1898 roku za zgodą cara Mikołaja II otwarto w Warszawie Instytut Politechniczny. Zajęcia w języku rosyjskim odbywały się wówczas na trzech wydziałach: mechanicznym, chemicznym i inżynierjino-budowlanym. W roku 1903 rozpoczęto kształcenie na Wydziale Górniczym. Rok 1915 wraz z wybuchem I wojny światowej przyniósł możliwość realizacji postulatu nauczania w języku polskim, szerzej otwierając drzwi dla uzdolnionej młodzieży. Studia prowadzono wówczas na czterech wydziałach: architektury, budowy maszyn i elektrotechniki, chemicznym oraz inżynierji budowlanej i rolnej. Pierwszym rektorem został inżynier Zygmunt Straszewicz. Od tej chwili rozpoczął się okres nieprzerwanej działalności Politechniki Warszawskiej, naznaczony piętnem wydarzeń I i II wojny światowej oraz reform ustrojowych drugiej połowy XX wieku.

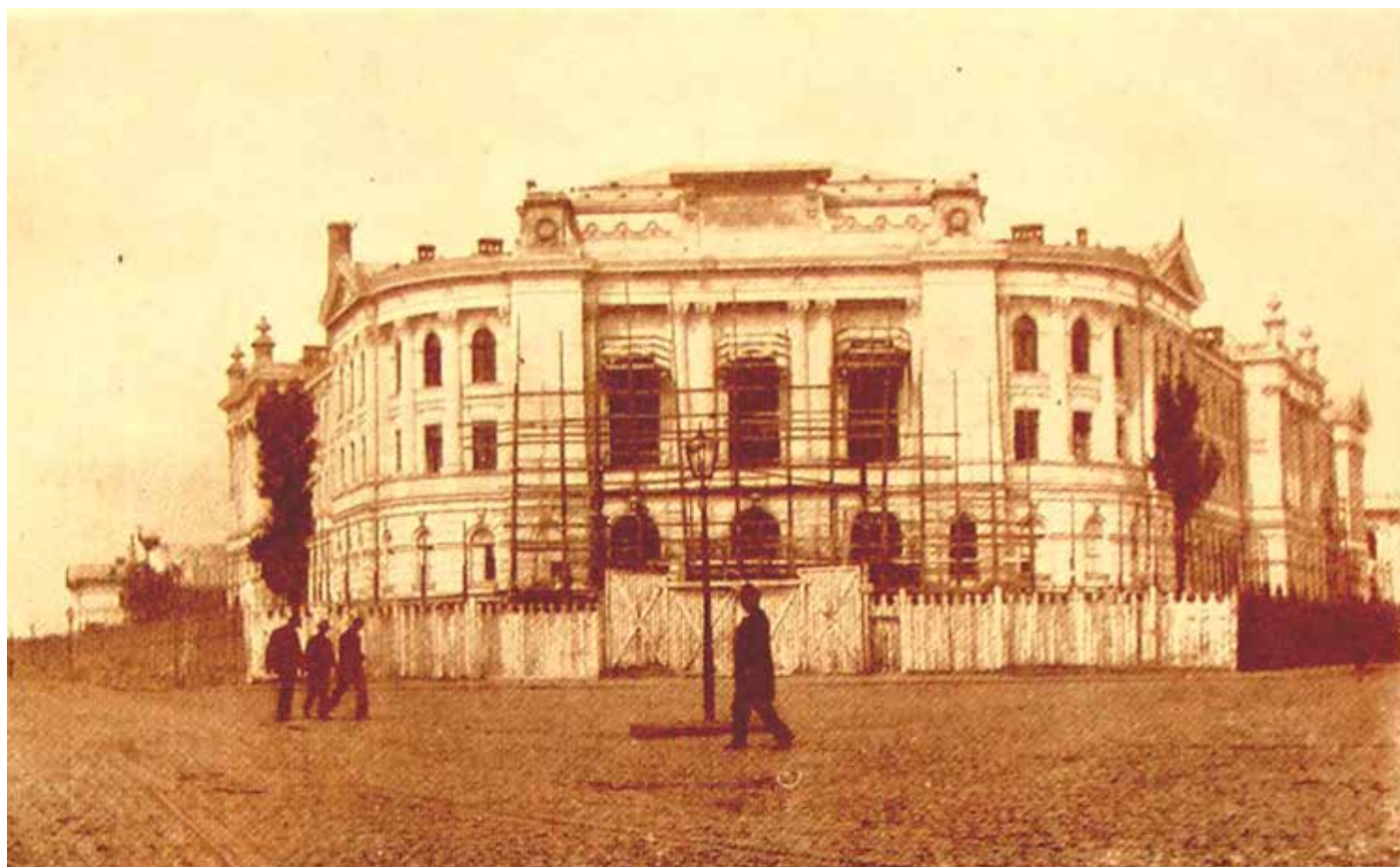
Jedna z największych uczelni technicznych w Europie

Politechnika Warszawska jako uczelnia techniczna od samego początku spełniała niezwykle ważną rolę w obszarze kształcenia, była również ośrodkiem stymulującym rozwój społeczno-gospodarczy. Dostarczając wysoko wykwalifikowanych kadr i nowoczesnych rozwiązań, przyczyniała się do umacniania polskiej państwowości, z biegiem lat uniezależniając kraj od obcych wpływów. Wśród pilnych zadań związanych z industrializacją II Rzeczypospolitej znalazła się m.in. elektryfikacja kraju z towarzyszącą jej rozbudowę trakcji kolejowych. Olbrzymie zasługi w tym zakresie położył profesor Roman Podoski, twórca pierwszego zrealizowanego projektu elektryfikacji kolei, generującego większą mobilność polskiego społeczeństwa oraz znaczną dynamikę

transportu. Jednym z prekursorów elektryki na Politechnice Warszawskiej był także profesor Konstanty Żórawski. Jego prace pomogły usprawnić funkcjonowanie zakładów przemysłowych poprzez innowacyjne rozwiązania wdrażane do konstrukcji maszyn elektrycznych. Wprowadzanie usprawnień do urządzeń stało się również możliwe dzięki innemu wybitnemu specjalście okresu międzywojennego w zakresie elektrotechniki i radiotechniki, profesorowi Januszowi Groszkowskiemu, twórcy podstaw elektroniki, polskiemu kandydatowi do Nagrody Nobla. W tym czasie na gruncie nauk fizycznych profesor Mieczysław Wolfke odkrył metodę zestalenia helu oraz dwóch odmian ciekłego helu, dając się jednocześnie poznać jako prekursor telewizji i holografii. W zakresie inżynierii budowlanej niekwestionowanym autorytetem był profesor Stefan Bryła, który dzięki odkryciu metody spawania konstrukcji stalowych przyczynił się do zmiany podstaw technologicznych w budowie mostów i obiektów o charakterze użytkowym, takich jak m.in. hale czy wieżowce. Natomiast jeden z pierwszych przyznanych doktoratów honoris causa przypadł w udziale Ignacemu Mościckiemu, prezydentowi Rzeczypospolitej Polskiej (1926-1939), profesorowi Politechniki Warszawskiej, budowniczemu polskiego przemysłu chemicznego. Wśród postaci okresu międzywojennego związanych z uczelnią obowiązkowo należy także wymienić profesora Jana Czochralskiego, który zasłynął jako twórca metody otrzymywania monokryształów krzemu. Osiągnięcie to zostało wpisane do Panteonu Wynalazców i Odkrywców Polskich, a on sam uznawany jest obecnie za „ojca światowej elektroniki”.

Wśród jego patentów i wynalazków był także metal B, nowy stop o właściwościach ślizgowych, który podobnie jak inne osiągnięcia w dziedzinie metaloznawstwa, cieszył się dużym zainteresowaniem zagranicznych korporacji.

Niemniej profesorowie Politechniki Warszawskiej byli szeroko doceniani nie tylko z powodu osiągnięć naukowych. Ich wiedza na poziomie zarządzania i organizacji zyskiwała uznanie w kręgach ówczesnych władz Rzeczypospolitej, prowadząc do obejmowania najwyższych funkcji w państwie. Rektor Politechniki Warszawskiej Antoni Ponikowski (1921; 1923-1924) we wrześniu 1921 roku objął urząd prezesa Rady Ministrów, dzierżąc jednocześnie tekę ministra wyznań religijnych i oświecenia, a później resortu kultury i sztuki. W 1935 roku również rektorowi Wojciechowi Świętosławskiemu (1928-1929) powierzono Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego oraz miejsce w Senacie RP. Rektorzy uczelni byli także członkami wielu towarzystw naukowych, np. Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, Polskiej Akademii Umiejętności czy Akademii Nauk Technicznych, której założycielem był Wiesław Chrzanowski, rektor Politechniki Warszawskiej w latach 1932-33. Dzięki szerokiemu zaangażowaniu władz uczelni zarówno w kwestie naukowe, jak i społeczno-gospodarcze, w roku akademickim 1938/1939 politechnika miała już pięć wydziałów (inżynierii, mechaniczny, elektryczny, chemiczny, architektury) oraz blisko pięć tysięcy studentów, stając się tym samym jedną z największych uczelni technicznych w Europie.



Fot. W. Kossowski.

Gmach główny Politechniki Warszawskiej w budowie. Fotografia z książki *Wspomnienia byłych studentów Politechniki Warszawskiej z pierwszych lat jej istnienia (1898-1905)*, Warszawa: wydane staraniem Koła Inżynierów Wychowawców Politechniki Warszawskiej przy Stowarzyszeniu Techników Polskich, 1933.

Okupacja i powojenna odbudowa kraju

Druga wojna światowa przyniosła uczelni ogromne straty ludzkie i materialne. Na skutek przymusu zawieszenia działalności Politechniki Warszawskiej przez okupanta oraz utworzenia przez Niemców Państwowej Wyższej Szkoły Technicznej, Uczelnia rozpoczęła działalność konspiracyjną w ramach tajnego nauczania. Badania naukowe realizowano z uwzględnieniem potrzeb Polskiego Państwa Podziemnego. Choć polityka władz niemieckich ukierunkowana była na zmniejszenie stanu liczbowego dyplomowanych kadr, w okresie okupacji wypromowano ok. 200 inżynierów oraz przeprowadzono 20 przewodów doktorskich i 14 habilitacji. Łącznie uczestnikami zając podziemnej politechniki było ok. trzy tysiące studentów. Zachowanie ciągłości kształcenia mimo niesprzyjających warunków okazało się niezwykle ważne w aspekcie powojennej odbudowy, która wymagała nie tylko rąk do pracy, ale również wiedzy w praktycznym aspekcie jej wdrażania. Wśród zasłużonych na tej niwie wyróżnia się postać wspomnianego wcześniej profesora Janusza Groszkowskiego, twórcy analizy drgań elektrycznych nieliniowych, mającego wielki wkład w opracowanie zasad działania i konstrukcji radaru. Podczas wojny jego nieoceniona wiedza przyczyniła się do rozszyfrowania systemów sterujących pocisków V-1 i V-2. Po jej zakończeniu publiczna i naukowa działalność profesora została doceniona przez rozmaite gremia, przekładając się m.in. na objęcie funkcji prezesa Polskiej Akademii Nauk.

Politechnika Warszawska już przed wojną była ważnym ośrodkiem intelektualnym. W okresie przynależności do bloku państw socjalistycznych zachowanie autonomii uczelni w kształtowaniu sylwetek absolwentów stało się zadaniem wymagającym zarówno dużej odwagi, jak również zachowania odpowiedniego balansu między narzuconym światopoglądem a tradycyjnymi wartościami akademickimi. Niepokoje student-

kie, wyrażające się w październikowych protestach 1957 roku, marca 1968 czy też stanu wojennego roku 1981, choć dramatyczne w wymowie, umacniały wizerunek uczelni jako niezależnego ośrodka myśli i wymiany poglądów. 18 kwietnia 1967 roku utworzono Filię Politechniki Warszawskiej w Płocku, pierwszą akademicką placówkę na Mazowszu. Rozbudowa bazy materialnej, coraz lepsze wyposażanie laboratoriów i ogromny potencjał naukowo-badawczy sprawiły, że Politechnika Warszawska jeszcze przed wprowadzeniem zmian ustrojowych będących konsekwencją wolnych wyborów 1989 roku, była filarem rozwoju wielu gałęzi przemysłu i zapleczem najlepszych kadr. Z ich wiedzy i doświadczenia korzystał m.in. przemysł samochodowy i Fabryka Samochodów Osobowych, z którą w 1975 roku Politechnika Warszawska podpisała porozumienie o współpracy naukowo-technicznej.

Wiek XXI

W okres transformacji ustrojowej uczelnię wprowadzał profesor Marek Dietrich, rektor Politechniki Warszawskiej (1990-1996), założyciel i pierwszy prezes (1992-1998) Polskiego Forum Akademicko-Gospodarczego. Jego imieniem nazwano także powstały w 1996 r. Instytut Problemów Współczesnej Cywilizacji, będący jednostką międzyuczelnianą, w skład której wchodzi Politechnika Warszawska, Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego, Szkoła Główna Handlowa, Uniwersytet Warszawski i Warszawski Uniwersytet Medyczny. Instytut prowadzi studia nad społecznym zrozumieniem problemów współczesnej cywilizacji, prognozuje wpływ rozwoju nauki i techniki na przyszły kształt społeczeństwa, jak również podejmuje działania na rzecz integracji społeczności akademickiej. Pięć lat wcześniej, w roku 1991, przy Politechnice Warszawskiej utworzono Szkołę Biznesu jako wspólne przedsięwzięcie trzech europejskich uczelni o międzynarodowej renomie: London Busi-

Centrum Zarządzania Innowacjami i Transferem Technologii Politechniki Warszawskiej



ness School, HEC Paris oraz Norwegian School of Economics. Zapewniając menedżerom zestaw praktycznych umiejętności niezbędnych do efektywnego zarządzania firmą, szkoła uruchomiła doceniane w rankingach programy studiów MBA i podyplomowych, mających na celu zaspokojenie potrzeb rozwijającej się polskiej gospodarki. Absolwenci Szkoły Biznesu zyskali dzięki temu szansę rozwijania kariery zawodowej w takich dziedzinach jak zarządzanie, finanse, nowe technologie, psychologia biznesu czy farmacja.

Wchodząc w wiek XXI Politechnika Warszawska, zgodnie z duchem czasów poszerzyła swoją ofertę zarówno w obszarze kształcenia, jak również w ramach projektów naukowo-badawczych, których odbiorcami stały się polska gospodarka oraz międzynarodowe koncerny. Tym samym uczelnia przyczyniła się do wzrostu konkurencyjności krajowych rozwiązań na rynkach światowych. W 2000 roku wraz z pierwszą ofertą wykładów na poziomie zaawansowanym pojawił się zamiysł utworzenia Centrum Studiów Zaawansowanych, które od 2008 roku prowadzi działalność badawczą, jak również seminaria i konferencje oraz Dysputy Pitagorejskie, realizowane w formie rozmów, interakcji i spotkań. Za działania związane z szeroko pojętą współpracą uczelni z zagranicą, a także wspierającą inne jednostki w ich międzynarodowej działalności dydaktycznej i badawczej, inicjującą oraz realizującą projekty wymiany międzynarodowej odpowiada Centrum Współpracy Międzynarodowej Politechniki Warszawskiej. Reprezentując uczelnię poza naszymi granicami, czuwa nad procesami związanymi z kształceniem, tak aby oferta Politechniki Warszawskiej odpowiadała światowym trendom i wzmacniała wizerunek polskiej nauki.

Wsparciem krajowych przedsięwzięć są również działające przy Politechnice Warszawskiej Uczelniane Centra Badawcze, które prowadzą interdyscyplinarną działalność w takich dziedzinach jak m.in. materiały funkcjonalne, lotnictwo i kosmo-

nautyka, obronność i bezpieczeństwo. Innowacyjne rozwiązania dla przemysłu realizuje także Ośrodek Badań dla Biznesu na Wydziale Matematyki i Nauk Informatycznych czy Instytut Badań Stosowanych. Na przestrzeni ostatnich lat powstały również takie inwestycje jak działające w obszarze tzw. wysokich technologii Centrum Zaawansowanych Materiałów i Technologii CEZAMAT, Centrum Zarządzania Innowacjami i Transferem Technologii PW – stymulujące m.in. powstawanie innowacyjnych przedsiębiorstw, jak również Centrum Naukowych Analiz Geoprzestrzennych i Obliczeń Satelitarnych CENAGiS, na które składa się pierwsza w Polsce i unikalna na skalę europejską chmura obliczeniowa przeznaczona do przetwarzania geoinformacji, będących dziś podstawą niezwykle ważnych dla gospodarki i bezpieczeństwa systemów.

Politechnika Warszawska, choć jej nazwa nawiązuje bezpośrednio do stolicy, tworzonymi w niej projektami obejmuje zarówno region, jak i całą Polskę. Pod Przasnyszem na Mazowszu powstał Ośrodek Badań Lotniczych PW, a przy Filii PW w Płocku Centralne Laboratorium Mechaniki i Budownictwa – regionalne zaplecze badawcze w obszarze konstrukcji, materiałów budowlanych oraz systemów mechanicznych i maszyn. Politechnika Warszawska wchodzi również w skład konsorcjum Centrum Badań Przedklinicznych i Technologii (CePT) prowadzącego interdyscyplinarne badania podstawowe oraz badania dotyczące nowych metod diagnostycznych i terapeutycznych w odniesieniu do najczęściej występujących chorób cywilizacyjnych. Jego beneficjentami są zarówno naukowcy, jak i sektor gospodarczy korzystający z możliwości współpracy i komercjalizacji badań, a także placówki służby zdrowia i pacjenci zyskujący dostęp do najnowocześniejszych metod badawczych i diagnostycznych. W uznaniu dotychczasowych osiągnięć oraz potencjału na przyszłość w roku 2019 Politechnika Warszawska, jako wiodąca w Polsce uczelnia techniczna, znalazła się w gronie laureatów konkursu „Inicjatywa doskonałości – uczelnia badawcza” Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, otrzymując status uczelni badawczej. W roku 2020 dołączyła do grona Uniwersytetów Europejskich w ramach konsorcjum ENHANCE (European Universities of Technology Alliance).

Dynamika interakcji Politechniki Warszawskiej, świata nauki, badań i kształcenia z otoczeniem społeczno-gospodarczym na przestrzeni wieków niewątpliwie zależała od umiejętnie prowadzonego dialogu, który miał za zadanie ukazanie korzyści wynikających z rozwoju. Od momentu powstania uczelni w jej mury wstępowałi ludzie gotowi przesuwać technologiczne granice, a zarazem będący przykładem podejmowania świadomych wyborów obywatelskich. Obecnie, w czasach dynamicznej transformacji cyfrowej, rola Politechniki Warszawskiej w nauce i gospodarce jest tym bardziej nie do przecenienia, a transfer wiedzy i technologii do gospodarki jest kluczowym elementem rozwoju państwa polskiego.

W Politechnice Warszawskiej na 19 wydziałach i w jednym kolegium kształcą się aktualnie ponad 25 tys. studentów i doktorantów, którzy rozwijają swoje pasje w ok. 160 kołach naukowych i organizacjach studenckich. Uczelnia od lat zajmuje pierwszą lokatę wśród uczelni o profilu technicznym w Rankingu Szkół Wyższych „Perspektyw” oraz trzecią wśród wszystkich uczelni akademickich w kraju. Realizowane przez studentki i studentów projekty badawcze pozwalają na połączenie wiedzy zdobytej w toku studiów z umiejętnościami praktycznymi. 72,8% zatrudnionych absolwentów zadeklarowało, że ich obecna praca jest zgodna z kierunkiem studiów na Politechnice Warszawskiej (Monitoring Karier Zawodowych Absolwentów Politechniki Warszawskiej, edycja IX, 2020 r.).



Izabela Koptoń-Ryńiec, Muzeum Politechniki Warszawskiej

Ku monografiom

W monografiach szczególną wagę miała struktura tekstu. Monograficzna analiza była zawsze porządkiem chaotycznej rzeczywistości, była też wybiórczą analizą jej istoty po odrzuceniu przypadkowych detali.

W antyku i średniowieczu ludzie uczeni byli powołani do pisania obszernych ksiąg rękopiśmiennych, zawierających treści filozoficzne, historyczne, a z czasem prawne. Wiązało się to z przekonaniem, że możliwy jest wzór polihistora – osoby wszechwiedzącej, znającej się na wszystkim. Dawne uniwersytety upowszechniły wzór pomniejszy, zwany rozprawą (dissertatio). Służyły one do zdobycia uznania ze strony otoczenia w postaci nadanego stopnia naukowego w obranej dyscyplinie nauki. Oczekiwanie od rozpraw charakteru autorskiego, miały być efektem głębokich przemyśleń, a z czasem badań nad przedmiotem rozprawy. Powinny wnosić coś nowego do zasobu danej dyscypliny. Krąg adresatów rozprawy był wąski, nawet w XIX wieku rozprawy doktorskie powielano w nakładzie 100 egzemplarzy, rozprowadzanych po bibliotekach uniwersyteckich i wśród znawców przedmiotu. Od czasu wynalezienia druku i – w konsekwencji – pojawienia się nauki akademickiej obok rozpraw publikowano efekty badań w postaci studiów i materiałów będących fundamentem do dalszych badań. Szczególną wagę wśród nich miały wydawnictwa źródłowe (fontes). W uniwersyteckich i klasztornych bibliotekach dominowały nadal księgi. Narodziło się przekonanie, że uczonego ma być erudyta. Miał czytać wszystkie publikacje, stosownie do rozległości podejmowanego tematu, co odzwierciedlała bibliografia.

W XIX wieku uformował się kanon akademickich publikacji – książek i periodyków. Miały już autorski charakter, ukazywały się z imieniem i nazwiskiem autora. Wiązało się to z poczuciem odpowiedzialności za własne czy cytowane myśli – ta dystynkcja stała się normą uwzględnianą poprzez znaki cytowań in extenso i przypisy. Jednym z epigonów dawnych metod publikacji był ks. Stanisław Staszic. Pisma polityczne przedstawiał anonimowo, a dzieło Georgesa-Louisa Leclerca de Buffona *Histoire naturelle, générale et particulière, avec la description du Cabinet du Roi* (1749-1804), opublikował jako *Epoki natury przez pana Buffona wydane w języku francuzkim przez X. Stasicę wytłumaczone na język polski, z dodaniem myśli i niektórych uwag* (1786). Staszic posługiwał się metodą swobodnego doboru streszczanych z cudzego tekstu fragmentów.

Zakreślenie obszaru kompetencji

Dawne filozoficzne księgi „o wszystkim” zastąpione zostały w nauce akademickiej monografiemi. Było to następstwo zmian w strukturze i treści wykładów. Pojawiła się specjalizacja, a od połowy XIX wieku wykłady monograficzne. Były one wynikiem zakreślenia obszaru kompetencji profesora. Mówił o tym, co sam zbadał, ukazując własny warsztat. Jednym z ostatnich,

który łączył dawną erudycję i wieloletnie badania, był Theodor Mommsen, autor dzieła *Römische Geschichte* (tomy I-III 1854-1856, tom IV nie ukazał się, tom V 1885). Monografie były z zasady jednotomowe, stanowiły efekt kilkuletnich badań. Upadła więc koncepcja „dzieła życia” – jednej, pełnej prezentacji dorobku uczonego. Co więcej, pojawiło się przekonanie, że kolejne pokolenia badaczy mogą opublikować nowe ustalenia monograficzne. Tym samym upadła też zasada „zajętego tematu”. Uczonemu wypadało opublikować kilka monografii określanych jako „na kolejny stopień”. Pojawili się również zwolennicy metod „rzemieślniczych”, zajmujący się często marginaliami („przyczynkami”).

Gdy wprowadzono wśród historyków pojęcie monografii, jego zakres był niejednoznaczny. Według Charlesa-Victora Langloisa i Charlesa Seignobosa (*Introduction aux études historiques* 1897, tłum. z jęz. francuskiego Wanda Górkowa 1912): „Monografię pisze się wtedy, gdy ma się zamiar rozjaśnić jakiś specjalny punkt, fakt lub ograniczony zbiór faktów”. Należało przy tym umieszczać „wskazówki o źródłach”, do tego „postępować w porządku chronologicznym”, a „tytuł monografii powinien dawać jasne pojęcie o przedmiocie”. Mógł być to zwykły opis wybranego przedmiotu badań, ale też głęboka analiza wybranego problemu. W tytułach pojawiał się więc przedmiot – temat bądź odpowiednio dobrany problem. Jeżeli autor optował za ujęciem problemowym, często wprowadzał do tytułu metaforę. Pozostawiał też temat, stąd zamiast lakonicznych tytułów pojawiały się rozwinięte „barokowe” formuły. Problem mógł być połączony w jedność z tematem albo figurował w formie dopełniającego wyjaśnienia. Jeśli autor wprowadzał ujęcie problemowe, nie musiał już pisać „o wszystkim, co dotyczy danego tematu”. Praca problemowa była przeciwstawieniem zwykłej narracji czy opisu. Koncentrowała się nie na faktach, lecz na zdarzeniach, czyli zespołach jednorodnych faktów. Konieczna była zawsze lokalizacja czasoprzestrzenna badanego obiektu czy zjawiska. Często wprowadzano ją do tytułu monografii, choć ograniczenie czasoprzestrzenne sprzeczne było z koncepcją ujęcia monograficznego. W przypadku biografii do tradycji należało uwzględnianie curriculum vitae od narodzin do śmierci. Zdarzenia rozciągnięte w czasie (przykładem wojna stuletnia) ujmowano wedle dat granicznych. Monografie miejscowości ujmowano ab urbe condita do czasu przeprowadzania badań monograficznych.

Wzorcowe monografie terytorialne wykonywał Franciszek Bujak. W autobiografii (F.B. *Drogi mojego rozwoju umysłowego*, „Nauka Polska – Jej Potrzeby, Organizacja i Rozwój” tom VI,

1927) wskazał: „Ważnym zdarzeniem w rozwoju mojej myśli było napisanie monografii wsi rodzinnej”. Okazało się, że wybór tematu ma być powiązany z głęboką wiedzą monograficzną, łącznie z motywacjami emocjonalnymi. Była to wiedza pozyskana empirycznie, miała charakter interdyscyplinarny (historia, przyroda, geografia, ekonomia, statystyka, administracja). Materiały dokumentalne obejmowały źródła zastane i wytworzone, także drogą ankiety i zapisów rozmów. Według Jana Rutkowskiego (*Z zagadnień dydaktycznych wyższego szkolnictwa w: „Kultura i nauka” 1937*): „Za lokalno regionalnym typem monografii przemawia wszechstronność poruszanych w nim zagadnień oraz łatwość stosunkowo daleko posuniętego wyczerpania materiału źródłowego. Przeciwno temu typowi przemawia trudność należytego opanowania tak licznych i różnorodnych zagadnień”. Opracowaną metodę monograficzną Bujak wielokrotnie stosował w badaniach kolejnych miejscowości, przygotował nawet „plan systematycznych monografii typowych wsi Galicji Zachodniej”. Opracował też wzór metodologiczny monografii rodziny, uwzględniającej także analizę budżetów rodziny i gospodarstwa. Według Bujaka: „Prace monograficzne, w których ogromną ilość spostrzeżeń i danych trzeba było możliwie związać a dokładnie i jasno wyrazić, wywarły silny wpływ

na mój styl. Potrzeba ścisłości i rzeczowości usuwa prawie obrazowość i uniemożliwia kwiecistość stylu, pozostaje tylko miejsce na poprawność wyrażenia”. Bujak sumował: „Jestem więc z natury syntetykiem, choć analiza i krytyka nie jest najsłabszą moją stroną” – bez tych zdolności monografie utonęłyby zapewne w szczegółach.

Autorska odpowiedzialność badacza

Zakres tematu wyznaczano poprzez wskazanie jego granic (ram). Musiał być ustalany na początku badania, ponieważ według tych granic gromadzono materiał źródłowy. Monografia nie mogła jednak ignorować kontekstu historycznego epoki ani kontekstu geograficznego – szerszej przestrzeni od tej, na której rozgrywały się zdarzenia czy umiejscowione były obiekty. Przy ujęciu tła należało zastosować wymiar teoretyczny, uogólniający; nie było to proste przekroczenie ram tematu. Cechy epoki czy cechy środowiska definiowały i determinowały wybrane obiekty i zdarzenia. Pojawiała się możliwość poszukiwania analogii, a nawet prowadzenia badań porównawczych. Monografia dosłowna była spotykana w naukach przyrodniczych, zwłaszcza w naukach ścisłych, chociaż właściwy jej ahistoryzm obalał metodologiczne wymogi. Problemem



Fot. Stefan Ciechan

w takich ujęciach była też obiektywizacja, ignorująca „współczynnik humanistyczny” (w ujęciu Floriana Znanieckiego) oraz zasadę nieoznaczoności (w ujęciu Wernera Heisenberga). W obu przypadkach problem polegał na konieczności metodologicznej weryfikacji wpływu autora badań na wynik tego badania, a także konieczności odpowiedniego „odczytania” źródeł.

Monografia z istoty miała charakter całościowy, nie był to fragmentaryczny opis obiektu czy zdarzenia. Nawet przy zwykłym opisie konkretnych faktów konieczne było sięganie po uogólnienia problemowe. Całościowy opis, a tym bardziej analiza wymagały z zasady jednego oka czy pióra, co wiązało się z autorską odpowiedzialnością badacza przed krytykami. Choć z historii nauki wynikało, że kolejne monografie tego samego przedmiotu badań będą różne, że dobranie innego problemu do tego samego tematu przyniesie inny rezultat, należało zawsze myśleć i badać holistycznie. Oczywiście konieczne było sięganie po literaturę przedmiotu zawierającą ustalenia poprzedników. Należało podać, do jakich wniosków doszedł poprzednik i na czym polegają nowe ustalenia. Powtarzalność badań musiała być ujęta w rygorach metodologicznych, winny one zapowiadać nowe rezultaty. Bliskie tematycznie monografie dawały podstawę do sporządzania syntez, były one jednak wolne od spekulatywnego charakteru dawnych ksiąg, od subiektywizmu autorów, miały – choć często pośrednio – umocowanie źródłowe. Syntezy prowadziły z kolei do zarysu całokształtu danej dyscypliny, ten ujawniał się w akademickich wykładach, w encyklopedycznych wprowadzeniach danej dyscypliny, w słownikach pojęć czy w historii poszczególnych dyscyplin.

W monografiach szczególną wagę miała struktura tekstu. Monograficzna analiza była zawsze porządkowaniem chaotycznej rzeczywistości, była też wybiórczą analizą jej istoty po odrzuceniu przypadkowych detali. Szczególną rolę w ujawnianiu struktury tekstu pełniły „spisy treści”. Umieszczano je zgodnie z logiką przed tekstem zasadniczym. Spisy te miały mieć rozwiniętą, przejrzystą formę enumeratywnych wyliczeń podtematów, ujętych w podziale na części, rozdziały i podrozdziały zasadniczego tekstu. Miały dawać pełną orientację o treści monografii nawet tym, którzy nie podejmowali trudu jej przeczytania i przemyślenia. Spisy treści czytano w pierwszym kontakcie jako zastępczą formę streszczenia monografii, zastępującą informację biblioteczną. Podczas lektury spisy te spełniały rolę przewodnika po tekście zasadniczym, ułatwiając jego całościowy odbiór. Płaskie „wstępy” należało zastępować problemowymi „wprowadzeniami” (introduction). Winny zawierać nie tylko przedstawienie tytułu i kompetencje autora, analizy problemu, charakterystyki struktury tekstu, ale i definicje podstawowych pojęć zastosowanych w monografii. Analogicznie, ostatnią częścią pracy winno być nie płaskie „podsumowanie” (résumé), lecz syntetyczne „wnioski problemowe”. Powinny odpowiadać przedstawionym we wprowadzeniu hipotezom i zawierać konieczne uogólnienia teoretyczne. Środkowe części pracy miały mieć charakter rzeczowy (ad rem), ujęte były w układzie chronologicznym, według sekwencji zdarzeń bądź w układzie analitycznym, według logicznego toku rozważań. Wykroczenie poza tok rozważań konieczne było w przypadku zamieszczenia ikonografii, tabel, wykresów, zestawień. Nad tymi wykroczeniami umieszczano informację rodzajową z kolejnym numerem oraz tytuł świadczący o zawartości. Pod wykroczeniami podawano „Źródło:” zawierające zapis bibliograficzny. Komentarz interpretacyjny do wykroczeń tekstowych powinien być włączony do tekstu zasadniczego monografii z zacytowaniem numeru rodzajowego i tytułu danego wykroczenia. Nie powinien ten komentarz ograniczać się do prostego powtórzenia tabelarycznych danych.

Mimo podziału monografii na części, rozdziały, akapity potrzebny był ciągły, logiczny tok wywodu. W logice wywodu należało przechodzić od początkowych uogólnień teoretycznych, poprzez analityczne zgłębianie zagadnień, do końcowych uogólnień znów teoretycznej natury. Autor monografii powinien „panować nad tekstem”, nie może „bujać w obłokach” teorii ani poruszać się z „nosem przy ziemi”. Teoria nie mogła być abstraktem historiozoficznym czy kosmologicznym, potrzebne były „teorie średniego zasięgu” (w ujęciu Roberta Mertona). Ten rodzaj teorii stanowił górną warstwę metodologii warsztatowej, poniżej której mieściła się „metodologia właściwa”, a u podstawy – metodyka prowadzonych badań. Monografia powinna w sposób czytelny ujawniać przyjętą i zastosowaną metodologię, warsztat badacza. Nie mogła ta kwestia zdominować tekstu zasadniczego, ten musiał mieć charakter merytoryczny.

Emocjonalne obcowanie ze źródłem

Szczególną wartość miały monografie źródłowe, ujawniające in extenso fragmenty źródeł pozwalające na ich samodzielną analizę przez krytycznego czytelnika. Tak ujęte monografie zachowywały na długo żywotność, nie ulegały upływowi czasu. Wypełniać mogły wtedy domową bibliotekę badacza. Kontakt autora monografii ze źródłem powinien być wielokrotny, a nawet ciągły. Zapewniały to wypisy z oryginału, a nie „fiszka” sporządzona przed laty do innego tematu. Ze źródłem należało obcować, także emocjonalnie. Pasja poznawcza przynosiła nie tylko satysfakcję z dokonań, ale i motywację do poszukiwań typu kolekcjonerskiego. Badacz porządkował analitycznie rzeczywistość, używając nie tylko narzędzi badawczych, lecz także rozumu. Emocje nie mogły jednak prowadzić do utraty dystansu poznawczego. Konieczne było porządkowanie naturalnego chaosu zdarzeń czy rozbieżnych opinii. Pisanie monografii to never ending story, pojawiało się częstokroć już podczas gromadzenia źródeł i prowadzonych badań, wyrażało się w notowaniu pomysłów interpretacyjnych czy odbiorze życzliwych sugestii płynących z otoczenia. Należało sięgać po metodę falsyfikacji przedstawianych twierdzeń i ocen (według Karla Poppera). Odbiór rzeczywistości, ale i własnych analiz, winien być krytyczny, w miarę obiektywny. Fakty, nazywane w środowisku historyków podstawowym budulcem historii, nie powinny być zestawiane w proste „przyczynki”. Metoda strukturalizmu ukazała, że istotniejsze przy analizie rzeczywistości są powiązania między faktami, ich struktura. To ona konstytuuje zjawiska, monografia mieści się powyżej poziomu faktów.

Pod tekstem zasadniczym umieszczano przypisy: bibliograficzne, biograficzne, definicyjne, źródłowe. Musiały być lakoniczne, zgodne ze standardami metodologicznymi. Można było umieścić w nich uwagi poboczne, interpretacyjne, które w tekście zasadniczym zburzyłyby ciągłość rozważań. Przypisy nie mogły dominować nad tekstem zasadniczym, nie mogły też być przewodnikiem dla plagiatorów. Dopełnieniem do tekstu zasadniczego była bibliografia. Powinna składać się z dwóch części: A. Źródła, B. Opracowania. Źródła mogły być podzielone na: wspomnienia, autobiografie, dokumenty życia społecznego, wypowiedzi prasowe, dane statystyczne, akty prawne. Opracowania z zasady porządkowano alfabetycznie według autorów. Po bibliografii umieszczano czasami aneksy źródłowe, szczególnie dogodne w przypadku publikacji dokumentów (przykładowo: statutu istotnego w monografii instytucjonalnej).

Zanim wydawca otrzymał tekst monografii, przeprowadzone były korekty autorskie. Pierwsza – językowa, dotyczyła stylistyki i ortografii. Druga – konieczna, wynikała z logiki języka. Tu należało ujawnić zbędne fragmenty, luki w tekście, konieczność dodatkowego komentarza, a nawet zmian kompozycyjnych tekstu. Należało własną pracą czytać „obcym okiem”.

Marcelina Smużewska

Badacze nieba

Nie ma chyba nauki bardziej pobudzającej wyobraźnię niż astronomia. Już w czasach prehistorycznych powstawały budowle, które najprawdopodobniej służyły do obserwacji nieba (piramidy, Stonehenge). Zainteresowanie kosmosem było i jest podzielane pod każdą szerokością geograficzną.

Początki astronomii w Polsce – jak w innych krajach – były amatorskie. Pierwsza katedra astronomii pojawiła się na Akademii Krakowskiej w 1405 roku. Co ciekawe, na tej uczelni wykładano także astrologię, która za naukę obecnie uznawana nie jest. Do średniowiecznych astronomów zaliczamy: Marcina Króla z Żurawicy (ok. 1422-1460), Marcina Bylicę z Olkusza (1433-1493), Jana z Głogowa (1445-1507) i Wojciecha z Brudzewa (1445-1495). Stan ówczesnej wiedzy astronomicznej sięgnął do Krakowa także Mikołaja Kopernika (1473-1543), który napisał później przełomowe dzieło *O obrotach sfer niebieskich* (*De revolutionibus orbium coelestium*).

W XVI i XVII wieku polska astronomia straciła na znaczeniu, a to dlatego, że praca Kopernika znalazła się na indeksie ksiąg zakazanych i nie można było wykładać teorii heliocentrycznej. Stąd w Akademii Krakowskiej trzymano się niezgodnych z obserwacjami tez. W 1609 roku włoski uczone Galileusz zbudował lunetę, która umożliwiała obserwacje księżyca, planet, a nawet słońca. Wynalazek swój udoskonalał, ponieważ widział dla niego szerokie zastosowanie, np. w żeglarskiej czy wojskowej. Jedną z pierwszych lunet wysłał m.in. polskiemu królowi Zygmuntowi III Wazie, więc urządzenie to było także znane u nas i mogło być stosowane w astronomii. Po Koperniku długo nie było jednak na ziemiach polskich wnikliwego badacza nieba, aż do czasu Jana Heweliusza (1611-1687). Obserwował on powierzchnię księżyca, opisywał i rysował komety oraz przygotował atlas i katalog gwiazd (*Prodrromus astronomiae*), a obserwatorium astronomiczne umieścił na dachu swojego domostwa w Gdańsku.

Kolejnym przełomem było otwieranie obserwatoriów astronomicznych, gdzie dokonywano bardziej systematycznych obserwacji. Pierwsze z nich powstało w Wilnie w 1753 roku. Mimo że po powstaniu listopadowym zamknięto Uniwersytet Wileński, samo obserwatorium działało jeszcze do 1876 roku. Krakowski odpowiednik uruchomiono w 1792 roku, a jego pierwszym dyrektorem był Jan Śniadecki (1756-1830), znany polihistor. W latach 60. i 70. XVIII wieku funkcjonowało także obserwatorium przy Kolegium Jezuickim w Poznaniu założone przez ks. Józefa Rogalińskiego (1728-1802). Pierwsze obserwatorium w Warszawie założył w 1825 roku Franciszek Armiński (1789-1848), który do końca życia był jego dyrektorem. Obserwatorium znajdowało się w Alejach Ujazdowskich. W czasach zabórów nieprzerwanie działały tylko ośrodki w Krakowie i Warszawie (choć w latach 1869-1915 pod kierownictwem

rosyjskim). Z tego czasu warto wspomnieć Maurycego Piusa Rudzkiego (1862-1916), który w obserwatorium w Krakowie zajmował się budową gwiazd. Napisał też dwa podręczniki akademickie – *Fizyka Ziemi* (1909) i *Astronomia teoretyczna* (1914). W Warszawie zasłynął Jan Baranowski (1800-1879), który przetłumaczył z łaciny pracę Kopernika. Uczniem Baranowskiego był Adam Prażmowski (1821-1885), który badał koronę słoneczną słońca i jest uznawany za ojca polskiej astrofizyki.

Okres międzywojenny

Po 1918 roku nastąpiło ożywienie we wszystkich ośrodkach astronomicznych. W Krakowie działał Tadeusz Banachiewicz (1882-1954) twórca rachunku krakowianowego – specjalnego typu macierzy stosowanego w geodezji i mechanice nieba. Wymyślił chronokinematograf, który ułatwiał obserwację zaćmień słońca. Był także autorem ponad dwustu publikacji, a dla środowiska krakowskiego zasłużył się utworzeniem obserwatorium Lubomir na wzniesieniu o wysokości 912 m n.p.m. Stacja istniała do 1944 roku, zniszczono ją podczas wojny. Osiągnięciem stacji było odkrycie kilku nieznanymi wcześniej komet. Banachiewicz zainicjował też powstanie czasopisma „Acta Astronomica”, gdzie mogli publikować wyniki swoich obserwacji astronomowie z całej Polski i nie tylko.

Obserwatorium warszawskim w międzywojniu kierował Michał Kamiński (1879-1973), który zajmował się ruchem komet, a wykształcenie i pierwsze zawodowe doświadczenia zdobywał w Petersburgu i w obserwatorium w Pułkowie (Rosja). W 1923 roku został profesorem Uniwersytetu Warszawskiego. Dzięki Kamińskiemu zorganizowano obserwatorium astronomiczne na szczycie góry Pop Iwan w Czarnohorze (obecnie teren Ukrainy). Stacja ta jednak została opuszczona wraz z wybuchem II wojny światowej. Kamiński przeżył wojnę i po jej zakończeniu kontynuował obliczenia związane z ruchem komet.

Obserwatorium w Wilnie wznowiło działalność w 1918 roku. Jego pracami przez pewien czas kierował Władysław Dziewulski (1878-1962), który zajmował się astronomią gwiazd. Wykorzystywał techniki fotograficzne do ich badania oraz zajmował się właściwościami fizycznymi. Opracował własną metodę wyznaczania ruchów gwiazd w przestrzeni. W tym samym obserwatorium pracowała także Wilhelmina Iwanowska (1905-1999), która dokonała pierwszych w Polsce obserwacji spektroskopowych (czyli obserwacji widm, uzyskanych przez promieniowanie obiektów).

We Lwowie badania astronomiczne prowadził Eugeniusz Rybka (1898-1988). Zajmował się fotometrią fotograficzną gwiazd. Pracował za pomocą astrokamer Zeissa o średnicy 10 i 14 cm. Starał się też o zakup teleskopu dla Uniwersytetu Jana Kazimierza, ale zabiegi te przerwała II wojna światowa. Oprócz wspomnianych ośrodków, mniejsze obserwatoria astronomiczne znajdowały się także w Poznaniu oraz przy Politechnikach Lwowskiej i Warszawskiej.

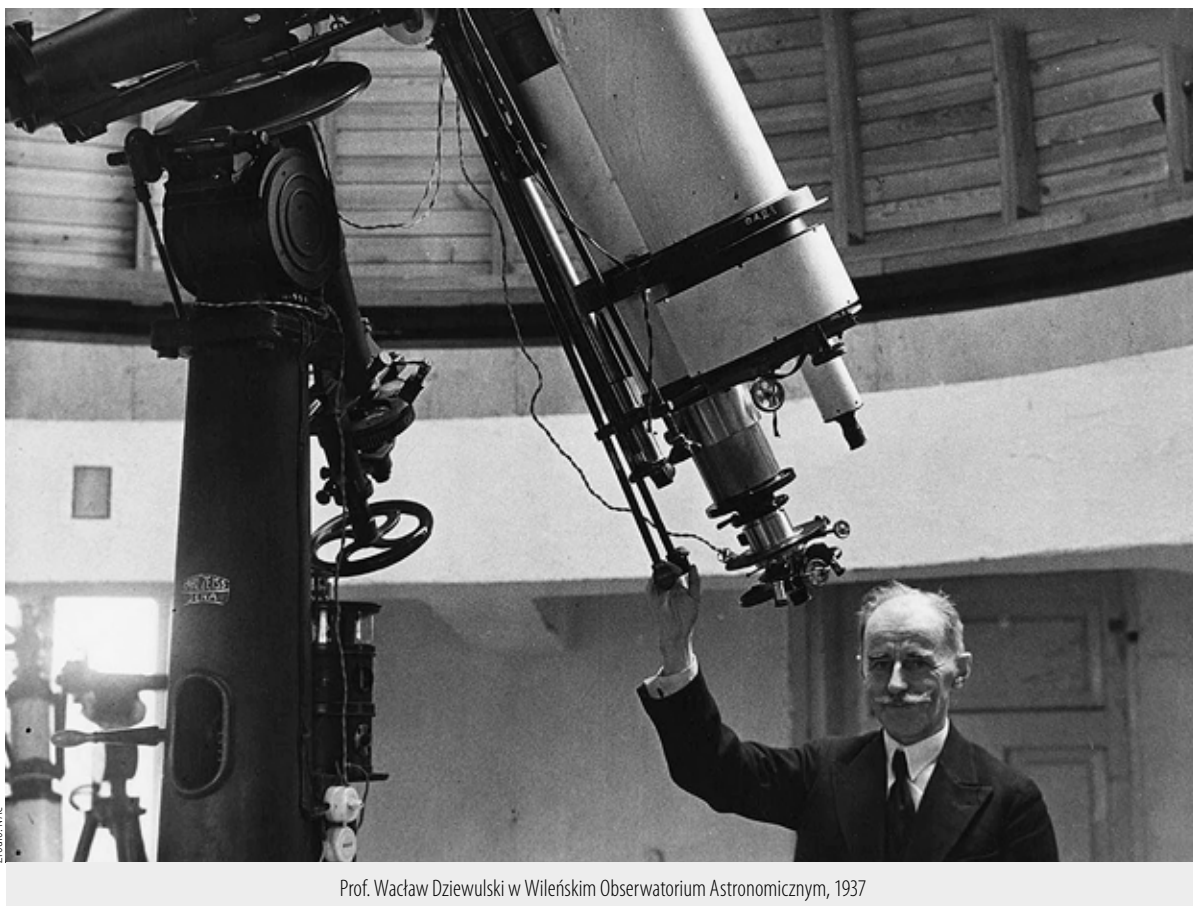
Druga wojna światowa była trudnym czasem dla polskich astronomów. Zniszczono obserwatorium w Warszawie przy Alejach Ujazdowskich i placówkę na Lubomirze. Utracono jednostki w Wilnie, Lwowie oraz na Popie Iwanie w Drohobyczu. Wstrzymano prace badawcze. Okupanci zniszczyli cenne instrumenty badawcze, część zbiorów bibliotecznych i archiwów. Niektórzy profesorowie byli więzieni, inni zaangażowali się w tajne nauczanie.

Po wojnie

Po 1945 roku pracę wznowiły obserwatoria w Krakowie, Poznaniu i Warszawie. Do Wrocławia trafili astronomowie ze Lwowa, gdzie utworzyli nową placówkę na bazie poniemieckiego obserwatorium. Do Torunia zaś trafili astronomowie z Wilna, gdzie tworzył się nowy uniwersytet. Zarówno Władysław Dziewulski, jak i Wilhelmina Iwanowska byli w grupie założycielskiej UMK. W 1949 roku ich staraniem w Piwnicach pod Toruniem otworzono nowe obserwatorium w XIX-wiecznym dworze. Zdecydowano się na to miejsce, ponieważ między Piwnicami a Toruniem znajdują się rozległe tereny leśne, które ograniczają wpływ miasta na prowadzone obserwacje. Urządzenia do obserwacji umieszczano w oddzielnym budynku z rozsuaną kopułą. Iwanowska wystarała się o wypożyczenie na sto lat teleskopu Henry'ego Drapera z Uniwersytetu w Harvardzie, którego średnica soczewki wynosiła 20 cm. Kilka lat póź-

niej uzyskała od Amerykanów fundusze na zakup największego polskiego radioteleskopu. Kolejne pawilony kryjące teleskopy optyczne zbudowano w latach 50. i 60. XX wieku. Największy i charakterystyczny radioteleskop RT-4 Kopernik o średnicy czaszy 32 m zainstalowano w 1994 roku. W Piwnicach znajduje się też największy teleskop o średnicy lustra 90 cm (teleskop Schmidta-Cassegraina).

Obserwatorium Uniwersytetu Warszawskiego rozpoczęło po wojnie tymczasową działalność w Krakowie. Powrót astronomów do stolicy nastąpił dopiero na początku lat 50., co wiązało się z otwarciem stacji w Ostrowiku w 1952 roku. Jednostka ta znajduje się 40 km na południowy wschód od Warszawy, w Gminie Celestynów. Teren obserwatorium jest zalesiony, co zapewnia ciemność, spokój i ciszę. Początkowo zainstalowano tam refraktor (teleskop soczewkowy) o średnicy 25 cm. Obecnie służy głównie do celów dydaktycznych. Bada się tam obiekty niespodziewanie zmieniające jasność. Jest to powiązane z międzynarodowym projektem Gaia. Prowadzone są także całonocne obserwacje ruchu meteorów. W stolicy w 1976 roku oddano do użytku gmach Centrum Astronomicznego im. Mikołaja Kopernika Polskiej Akademii Nauk zlokalizowany przy ul. Bartyczej. Pośrednio wiązało się to z postacią Stefana Piotrowskiego (1910-1985), który skupił wokół siebie zespół badawczy. Dzięki niemu w 1955 roku powstał Zakład Astronomii PAN. Od 1953 roku wydawano kwartalnik „Postępy Astronomii”. Piotrowski inspirował też badania astronomiczne na światowym poziomie. Jego wychowankiem był m.in. Bohdan Paczyński (1940-2007), który razem z Józefem Smakiem i Robertem O'Dellem (University of Chicago) zaproponowali utworzenie wspomnianego centrum, które zajmowałoby się astronomią teoretyczną. Stefan Piotrowski zajmował się gwiazdami, m.in. wyznaczaniem ich orbit czy promieniowaniem w ich atmosferze. Był pionierem w badaniach nad zderzeniami asteroid. Jego uczeń Bohdan



Prof. Wacław Dziewulski w Wileńskim Obserwatorium Astronomicznym, 1937



Obserwatorium Astronomiczne w Warszawie

Paczyński opracował metodę mikrosoczewkowania grawitacyjnego, która pozwalała na obserwację obiektów świecących słabo lub nieświecących wcale. Badał też pochodzenie rozbłysków gamma. Był zwolennikiem hipotezy, że pochodzą one z bardziej odległych zakamarków kosmosu, w czym początkowo był odosobniony w środowisku naukowym. Większość czasu spędził na uczelniach w Stanach Zjednoczonych.

Obecnie w Obserwatorium Astronomicznym UW pracuje około dwudziestu osób. Wspomaga je kilku doktorantów. Organizowane są studia na kierunku astronomia. Badania są prowadzone na międzynarodowym poziomie, o czym świadczą liczne nagrody i wyróżnienia. Obserwacje warszawskiego zespołu prowadzone są także na półkuli południowej, w Obserwatorium Las Campanas w Chile. Zainstalowano tam teleskop o średnicy zwierciadła 130 cm. Miejsce to jest uznawane za jedną z lepszych lokalizacji do prowadzenia obserwacji nieba, ponieważ położone jest 2400 m n.p.m. na pustyni Atakama, a odległość od najbliższego miasta wynosi ponad 100 km.

Po wojnie do Poznania wrócił szczęśliwie cały personel obserwatorium, który został z niego zwolniony na czas wojny. Kierownikiem był od 1929 roku Józef Witkowski (1892-1976), który pełnił tę funkcję aż do 1962 roku. Przed wojną obserwatorium realizowało zadania głównie astrometryczne, po wojnie wprowadzono tematykę komet, gwiazd zaćmieniowych i zakryć gwiazd. Uruchomiono Astronomiczne Obserwatorium Szerekościowe, przemianowane na Astrogodynamiczne Obserwatorium PAN w Borowcu pod Kórnikiem. Ta stacja prowadziła pomiary razem z obserwatorium w Irkucku, stąd jej równoległa lokalizacja. Kolejnymi dyrektorami byli Fryderyk Koebeke (1909-1969), specjalista od mechaniki nieba i dynamiki komet, oraz Hieronim Hurnik (1919-2016), który zmodernizował sprzęt obserwatorium. W latach 80. pojawił się w obserwatorium nowy nurt badań, związany z fizyką planetoid i osobą Tadeusza Michałowskiego (ur. 1954). W latach 90. dyrektorem została pierwsza kobieta, Krystyna Kurzyńska, która zdobyła sporo nowoczesnych urządzeń. Obecnie w jednostce pracuje niemal czterdzieści osób, a na jego czele stoi Agnieszka Kryszczyńska (ur. 1965), która zajmuje się planetoidami.

W powojennym Krakowie grupie ocalałych astronomów przewodniczył przedwojenny dyrektor Tadeusz Banachiewicz. Uzyskał on od władz obiekt o nazwie Fort Skała, który zaczęto wykorzystywać jako miejsce prowadzenia badań. W 1954 roku Banachiewicz zmarł, a stery przejął Karol Kozieł (1910-1996) specjalizujący się w obserwacjach księżyca. W 1964 roku – w 600-lecie Uniwersytetu Jagiellońskiego – uzyskano zgodę i środki na remont i budowę nowych budynków w Forcie. Wyposażono obiekt w nowe teleskopy o średnicy 35 cm (1965) i 50 cm (1970) oraz radioteleskopy o średnicy 7 i 15 metrów. Późniejszymi dyrektorami obserwatorium byli: Eugeniusz Rybka (1898-1988) z Wrocławia, Konrad Rudnicki (1926-2013), Józef Masłowski (1931-2020) i Michał Ostrowski. Szczególnie barwną postacią był Konrad Rudnicki, który podczas wojny wraz z matką ukrywał Żydów, a potem był powstańcem Gwardii Ludowej o pseudonimie „Zemsta”. Po wojnie odkrył nową kometę jako pierwszy ze wszystkich astronomów na świecie. Interesował się astronomią gwiazdową i pozagalaktyczną (badał m.in. supernowe). Zajmował się także kosmologią i metodologią badań, a od 1959 roku był kapłanem Kościoła Starokatolickiego Mariawitów, a więc zajmował się także teologią. Od 1976 roku krakowscy astronomowie dysponują stacją w Bieszczadach, w okolicach Cisnej. W swoich badaniach koncentrują się wokół radioobserwacji słońca i komet oraz teoretycznych studiów nad budową galaktyk.

Astronomia wydaje się fascynującą dyscypliną badań, indywidualistyczną (choć jednocześnie bardzo międzynarodową) i intelektualnie trudno dostępną dla większości. Dotyczy tematyki, która może przesądzić o przyszłości ludzkości, a jednocześnie wydaje się oderwana od rzeczywistości. Interesujące są sploty okoliczności, w jakich młodzi ludzie dokonują takiego właśnie (nieoczywistego) wyboru ścieżki kształcenia. Później, jako dorośli badacze, zazwyczaj okazują się świetnymi organizatorami, co wydaje się stać w sprzeczności ze wspomnianym indywidualizmem i ekskluzywizmem dyscypliny. Być może ten, kto przez większość czasu obserwuje bezmiar kosmosu, jest później mniej przejęty skalą biurokracji na uczelni. To jednak tylko hipoteza wymagająca weryfikacji.

Rozmowa z prof. Jerzym Zajadło, prawnikiem i filozofem prawa z Uniwersytetu Gdańskiego, laureatem Nagrody im. Profesora Tadeusza Kotarbińskiego w 2021 roku za książkę *Minima iuridica. Refleksje o pewnych (nie)oczywistościach prawniczych*

Prawnicze kody językowe

Nasza cywilizacja opiera się na trzech wzgórzach: greckim Akropolu, rzymskim Kapitolu i żydowskiej Golgocie. Akropol jest synonimem filozofii, Kapitol – prawa, a Golgota – etyki judeochrześcijańskiej. Choć to uproszczenie, to jednak niezwykle treściwe i trafne.

Dlaczego na określenie przysłów łacińskich prawnicy używają greckiego słowa „paremia”?

To prawda. Powinniśmy mówić o sentencjach, czasami używamy też tego słowa, ale to greckie się utarło.

W pana książce, nie tyle w treści, co w przypisach, zaskakuje mnie żywotność tematyki. Mianowicie odnosi się pan do bardzo bogatej literatury dotyczącej nie tylko samych paremii, ale w ogóle prawa rzymskiego, i to nie jakichś pradawnych prac, ale mnóstwa publikacji z ostatnich lat.

Prawo rzymskie jest faktycznie źródłem podstawowych zasad prawnych, które uznajemy do dzisiaj, i to jest oczywiste. W tej chwili zszedłem o poziom niżej i zacząłem szukać źródeł naszego poglądu prawniczego w starożytnej Grecji. Mamy eksplozję literatury, zwłaszcza anglosaskiej, na temat źródeł, inspiracji światopoglądu prawniczego w starożytnej Grecji. Jest taki bon mot ukuty przez romanistów, że Grecy znali pojęcie prawa, ale o prawie nie mieli pojęcia. To stwierdzenie jest głębo nieprawdziwe. W Wielkiej Brytanii jest ośrodek na Uniwersytecie w Edynburgu, a w Stanach Zjednoczonych na Uniwersytecie w Teksasie – oba zajmują się greckimi źródłami prawa. Rozumiem jednak wątpliwości romanistów. Otóż w Grecji nie było zawodowych prawników, tymczasem w Rzymie to profesjonaliści prawnicy tworzyli jurysprudencję, właściwie tworzyli prawo rzymskie. Po drugie, Grecy nie mieli czegoś podobnego do kodyfikacji justyniańskiej. Po trzecie, było tyle greckich praw, ile było polis, każda miała swoje własne prawa. Okazuje się jednak, że jest jakieś wspólne jądro tego greckiego prawa, zwłaszcza w prawie publicznym. Napisałem artykuł *Czego we współczesnych sporach konstytucyjnych możemy się nauczyć od starożytnych Greków* – np. sposobu rozumienia demokracji i powiązania jej z rządami prawa. Wbrew pozorom, demokracja grecka nie była większością, lecz deliberatywna i partycypacyjna. Wprawdzie niewolnicy i kobiety nie brali w tym udziału, meto

też nie, ale w zarządzaniu państwem w różny sposób uczestniczyli wszyscy wolni obywatele.

Użył pan określenia „światopogląd prawniczy”. W swojej książce określa zaś owe minima iuridica mianem paradygmatów prawoznawstwa.

Właściwie są one paradygmatami nie tyle prawa czy nawet prawoznawstwa i właściwie nie tyle mądrości, co raczej roztropności prawniczej, czyli jurysprudencji. Bo przecież w łacinie mądrość to sapientia, a prudentia to roztropność, umiarkowanie. Porównałem nasz tekst przysięgi, którą składają sędziowie, z przysięgą, którą składali sędziowie greccy, czyli obywatele wybrani do pełnienia przez rok obowiązków, bo nawet nie urzędu, sędziego. Te teksty są, co do sensu, a nie słów, takie same. Nie znamy dokładnej treści przysięgi greckiej, ale jesteśmy w stanie zrekonstruować ją na podstawie mów sądowych Demostenesa. Okazuje się, że istota wymiaru sprawiedliwości dwa tysiące lat temu była taka sama jak dzisiaj. Może warto powiedzieć o systemie sądów w starożytnych Atenach. Nie było tam zawodowych sędziów. Co roku wybierano sześć tysięcy obywateli, którzy zasiadali w organach nazywanych dikasterionami. W każdym było od dwustu do pięciuset sędziów/jurorów, czyli obywateli, którzy sądzili, rozstrzygając spory o charakterze zarówno prywatnym, jak i publicznym.



W książce kilkakrotnie pisze pan, że nie same słowa, ale ich sens jest ważny, np. w komentarzach Ulpiana czy mowach obrończych Cyncerona słowa często znaczą co innego niż dzisiaj. Jak dogłębnej znajomości łaciny wymagają studia nad tymi utworami? A przy okazji: skoro to takie ważne, to dlaczego wyrzuciście łacinę ze studiów prawniczych?

Moja znajomość łaciny nie jest aż tak dogłębna, nie jestem filologiem klasycznym, ale na tyle dobra, żeby się z taką materiałą zmierzyć. Nawet gdy łacina była na studiach prawniczych jeszcze kilkanaście lat temu, to ten lektorat, trwający jeden rok, był

niezwykle ułomny. Nie sposób poznać języka na tyle, by czytać ze zrozumieniem dzieła Cycerona. To była proteza. W pewnym momencie wyrugowaliśmy samą łacinę, zastępując ją przedmiotem o nazwie „łacińska terminologia prawnicza”. Wykładamy go nadal na pierwszym roku studiów w ramach wstępu do prawniczości.

Czy paremie funkcjonują w praktyce prawniczej?

Może to dziwne, ale tak. Przystudiowałem to w orzecznictwie Sądu Najwyższego. Najczęściej używanym zwrotem jest *ratio legis*. Teoretycznie sędziowie mogliby używać sformułowania polskiego „racja ustawy” czy „sens przepisu”, ale wolą stosować łacińską paremię. Kiedy mówią o sprzeczności z prawem, to używają zwrotu *contra legem*, a nie „sprzeczne z prawem”. To są takie prawnicze kody językowe. Mamy taki zwrot *superficies solo cedit*. Gdybym chciał wytłumaczyć po polsku istotę tej sentencji, musiałbym poświęcić na to sporo czasu. Chodzi o to, że to, co stoi na gruncie, należy do właściciela terenu. To nie jest takie proste, ale Rzymianie to wymyślili. Nie piszę o tym wprost, ale podśmiewam się z prawników, że traktują łacinę trochę instrumentalnie. Adwokat przyjmuje klienta, który jest ofiarą wypadku samochodowego. Może powiedzieć mu: będziemy dochodzić szkody rzeczywistej na samochodzie, ale także utraconych korzyści, bo np. samochód służył mu do wykonywania zawodu. Ale może się popisać elokwencją prawniczą i powiedzieć: będziemy dochodzić nie tylko *damnum emergens*, ale i *lucrum cessans*. Używamy łaciny głównie do prawa cywilnego, ale przecież także w prawie karnym jest zwrot *nullum crimen sine lege*, który nie powstał co prawda w okresie rzymskim, lecz w końcu XVIII wieku. A jednak używamy tej sentencji po łacinie. Łacińskimi sentencjami posługujemy się także w logice prawniczej i retoryce prawniczej. Na zajęciach z logiki nie tłumaczymy np. „argumentu z przeciwieństwa”, lecz *argumentum a contrario*. W retoryce mówimy np. o *argumentum ad baculum*, czyli argument z przemocy (dosłownie „do kija”).

Czym są dla prawa te sentencje?

Paradygmaty prawniczości są szkieletem, twarde jądrem myślenia prawniczego. Bez względu na to, czy prawnik pochodzi z kultury anglosaskiej, czy kontynentalnej, czy jest z Brukseli, czy z Polski, to ma w głowie pewien szkielet myślenia o prawie, który pozwala na zrozumienie się i porozumienie. Jeśli chodzi o wykładnię prawa, to rozumiemy, że musimy to robić w określonej kolejności. Najpierw czytaj tekst – to wykładnia językowa; gdy to nie wystarczy, zobacz jakie ma on miejsce w systemie – to wykładnia systemowa; jak to nie pomoże, sięgnij do celu prawa. Ta kolejność jest paradygmatyczna. To podstawa powszechnie przyjmowana. Rzeczywistość czasami wywraca te paradygmaty do góry nogami, ale to inna sprawa.

Przeczytał pan w książce paremię mówiącą, że najpierw prawo, a potem republika. Bardzo ryzykowne.

Jest taka sentencja, że prawo powinno być ponad polityką (*politia legibus, non leges politiae adaptandae* – polityka powinna dopasowywać się do ustaw, a nie ustawy do polityki).

W demokracji politycy tworzą prawo.

Zgoda, ale ta sentencja nie taki ma sens. Prawo ustanawia odpowiednia władza. Jednak, gdy to prawo jest ustanowione, musi być przestrzegane, także – a może przede wszystkim – przez tę władzę. Prawo ma oczywiście zdecydowanie wymiar polityczny, ponieważ jest instrumentem uprawiania polityki. Jednak musi mieć walor pewności, powtarzalności i przewidywalności.

Ileż i po co można studiować to prawo rzymskie?

Jest taka przenośnia, że nasza cywilizacja opiera się na trzech wzgórzach: greckim Akropolu, rzymskim Kapitolu i żydowskiej Golgocie. Akropol jest synonimem filozofii, Kapitol – prawa, a Golgota – etyki judeochrześcijańskiej. Choć to uproszczenie, to jednak niezwykle treściwe i trafne. Rzymianie rzeczywiście mieli bardzo ambiwalentny stosunek do filozofii, zwłaszcza rzymscy prawnicy, ale do pewnego momentu. Mianowicie do pojawienia się filozofii stoickiej. I Ciceron, i Ulpian byli pod jej niewątpliwym wpływem. Nie lubili budowania definicji, gdyż każda definicja jest w prawie cywilnym niebezpieczna, bo każdą można podważyć, znaleźć wyjątek. Oni skupiali się na konkretnych przypadkach, ale na ich podstawie stworzyli konstrukcje, które powodowały, że pewne instytucje prawne są powiązane z naturą rzeczy, jak np. umowa kupna – sprzedaży. Dotyczyły one prawa cywilnego. Rzymskie prawo karne było całkiem różne od naszego. Nasze prawo karne, z humanizmem, zasadami, powstało dopiero w wieku oświecenia. Rzymianie pewne zasady czerpali na przykład z literatury. Zasada „niech będzie wysłuchana i druga strona” (*audiatur et altera pars*) pochodziła z *Medei* Seneki Młodszego. Dziś uznajemy ją za powszechnie obowiązującą. Rzymianie stworzyli więc takie konstrukcje myślowe, które nam, prawnikom, bardzo odpowiadają, bo są syntetyczne i precyzyjne.

Czy ta precyzja wynika z zasad gramatyki łacińskiej, z konstrukcji języka?

Faktycznie ona jest precyzyjna i syntetyczna. Te zwroty są związane. Gdybym chciał dokonać ich deskrypcji, często musiałbym wygłosić przemowę. To kody językowe, które funkcjonują pomiędzy kulturami prawnymi. Choć system *common law*, charakterystyczny dla kultury anglosaskiej, wyrósł z innego pnia, to prawo rzymskie odegrało tam jednak pewną rolę w zakresie podstaw prawniczego myślenia.

Prawo rzymskie jest bliższe systemowi prawnemu wysp czy kontynentu?

Z jednej strony system rzymski chyba jest bliższy naszemu, bo opiera się na prawie stanowionym, na *leges*. Ale z drugiej, to nie jest do końca prawda, bo być może sposób rozumowania rzymskiego sędziego, rozpatrującego konkretny przypadek, bardziej przypomina swobodę sędziego angielskiego niż naszego, z pozoru sztywno związanego przepisami. Kultura rzymska w jakiś sposób łączy różne systemy prawa: kontynentalny i *common law*.

Po co ten element klasyczny we współczesnych studiach prawniczych?

Ius est ars boni et aequi – to piękna definicja prawa przytoczona przez Ulpiana. Pokazuje, że prawo jest powiązane nie tylko z profesją, socjotechniką, ale zawiera pewien pierwiastek humanistyczny. U nas nauki prawne zakwalifikowano do nauk społecznych. Dlaczego ten element humanistyczny powinien się zawierać w studiach prawniczych? Mamy taką wyswiechtaną sentencję *dura lex, sed lex* – twarde (surowe) prawo, ale jednak prawo. Walor obowiązywania pochodzi z mocy autorytetu państwa. Do wyjaśnienia sensu tej sentencji nie potrzebuję humanistyki. Jestem w stanie go wyjaśnić przy pomocy instrumentarium nauk społecznych. Ale gdy sięgnę do sentencji *ius est ars boni et aequi*, nauki społeczne nie wystarczają. Potrzebuję humanistyki, żeby wyjaśnić, czym jest ta sztuka, dobro i słuszność.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

W stronę głębi błędu

Znowu miałem przykreść czytania w pewnej dużej gazecie ignoranckich uwag, z których wynika, że błąd jest czymś jeszcze bardziej ludzkim, niż teza wynikająca z ironicznego przysłowia łacińskiego *errare humanum est*. Ci, którzy się tym powiedzeniem posługują, przeważnie nie wiedzą, że powstało ono nie jako wsparcie niewinności błądzących, ale przede wszystkim jako wskazanie, że ludziom trzeba patrzeć na ręce, ponieważ co chwila ktoś robi coś niewłaściwego, a nawet zgubnego.

Tak zresztą podchodził do sprawy między innymi słynny filozof i nauczyciel logiki Artur Schopenhauer, który ponadto podkreślał, że wielu błądzi celowo, w swoim interesie i przeciwko interesowi innych, a szczególnie zaś obszarem takich gier jest dysputa, w której przebiegu wychodzą na wierzch wszelkie nieuczciwości uczestników. Ich błędy są skrywane, na pierwszy rzut oka nieoczywiste, oszukańcze. Jak trafnie pisze profesor Andrzej Bogusławski, najwybitniejszy nasz filozof języka, szczególnie dotkliwie jest stosowanie fałszu zamiast kłamstwa, ponieważ o ile z kłamstwem można walczyć argumentami, o tyle przeciwko fałszowi armat zawsze brakuje. Wiedzą to dzisiejsi politycy, niestety szczególnie ci z opozycji, którzy posługują się fałszem na co dzień. Racjonalizmy używane w argumentacji wymyślają i wykręcają za pomocą chwytów erystyki, często tych najpodlejszych, bo kierowanych *ad personam* lub *ad hominem*.

Przypomnę, że o ile *błąd* (działanie niezgodne z zasadami albo skutek takiego działania) nie musi mieć przyczyny i może wynikać jedynie z przypadku (i bez udziału człowieka) lub – gdy działa człowiek, to z aktywności ślepej (por. niemieckie i angielskie *blind* – ślepy, stąd polski *błąd*), o tyle *pomyłka* jest szczególnym rodzajem błędu i zawsze wynika z *mylenia się*, to znaczy z nieprawidłowego wyboru metody działania, narzędzia lub obiektu, gdy istotą sprawy jest czynność związana z decydowaniem i jego następstwami.

Obydwa te pojęcia, błąd i szczególny rodzaj błędu – pomyłka, mają charakter względny. To, co dla kogoś jest błędem, dla innego może być ważnym osiągnięciem. To, co bierzemy za pomyłkę, może być celowe, choć nie wszystko, co uznajemy za celowe, jest słuszne lub konieczne.

Błąd i pomyłka są więc pojęciami, których nie można zdefiniować uniwersalnie. Nie sposób ułożyć ich definicji tak, aby były trafne we wszystkich sytuacjach, w których postrzegamy pewną niezgodność z zasadami, przepisami, założeniami czy oczekiwaniami. Dla każdego błędu można znaleźć mniej lub bardziej wyczerpujące tłumaczenie. Pomyłki zwyczajowo umieszczamy wśród zjawisk psychologicznych, dla których mamy jakiś zapas cierpliwości i tolerancji. W ten sposób relatywizujemy występowanie błędów i pomyłek, co jednak nie znaczy, że błądzący i mylący się mają prawo zasłu-

giwać na stałą pobłażliwość. A to dlatego, że skutki mogą być głębokie.

Staramy się błędem i pomyłkom zapobiegać, ponieważ regularnie należą do zjawisk niepożądanych. Przeciwstawiamy im nie tylko wiedzę o tym, co jest poprawne, ale także *procedury*, sposoby postępowania, które mają za zadanie zwiększanie sprawności działania i eliminowanie niepoprawności w czasie ich powstawania. Procedurami zajmuje się szeroko pojęta *prakseologia*, dziedzina dziś właściwie przekształcona już w naukę, której wstępny a zapładniający wykład dał Tadeusz Kotarbiński w *Traktacie o dobrej robocie* z 1955 r. Z prakseologii wynika na przykład przykazanie, że na każdą dokonaną poprawkę błędu należy rzucić okiem, ponieważ i ona może zawierać błąd, a ten może się dodatkowo poszerzyć. Czynności zawodowe nigdy nie powinny występować jednostkowo. Jest konieczne, aby zawsze należały do pewnych procedur, których można się uczyć.

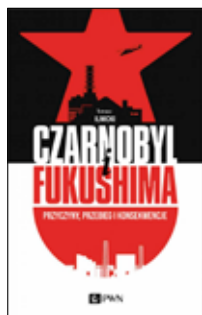
Trzeba przy tym pamiętać, że jako harmonogramy postępowania procedury są sztywne i w pewnych okolicznościach zawodne, ale stosujemy je do zapobiegania błędowi wszelkim, w tym niezależnym od człowieka, nad którymi człowiek jednak powinien panować. Zawsze może się zdarzyć sytuacja wymuszająca modyfikację procedury, co postronnych obserwatorów może mylić i wywoływać w nich odruch niechęci (jakże często niezasłużonej). Świadomość współwystępowania procedur standardowych i ich korektur stanowi podstawę skutecznego działania, i to zarówno na przykład redaktora, jak, powiedzmy, chirurga.

Problem wydaje się prosty, dopóki mamy do czynienia z błędami jednostkowymi, samodzielnymi, to znaczy takimi, które nie wikłają innych elementów obiektu (na przykład tekstu albo osobliwie anatomii jamy brzusznej) ani innych czynności (na przykład konstruowania dzieła złożonego z tekstów czy naprawiania zniszczeń nowotworowych). Wystarczy jednak jeden czynnik kontekstowy, jakaś odmianka językowa albo anatomiczna, aby błąd (lub jego wersja: pomyłka) okazał się poważniejszy, głębszy. Im większe powiązanie błędem z elementami kontekstowymi i całością obiektu (na przykład budowy i sensu książki albo konstrukcji i czynności organizmu człowieka) i im mniejsza możliwość skorygowania tego przez osobę działającą, tym większa *głębina błędu*.

Błędem głębokim jest podanie niewłaściwego numeru strony w spisie treści, czeski błąd w nazwisku, zmiana imienia bohatera w trzecim rozdziale powieści, a w chirurgii choćby zaszywanie zapomnianej chusty lub nożyczek w brzuchu.

I tak oto doszliśmy do problemu *głębki błędu*, która kryje najważniejsze składniki moralne naszego postępowania. Otwiera się otchłań...

Lekcje do odrobienia



Obie katastrofy dzieli ćwierć wieku. Zdarzyły się w nieprzystających do siebie okolicznościach: zupełnie inne czasy, zgoła odmienne systemy polityczne, różny poziom rozwoju technologicznego... A mimo to nie sposób uniknąć porównań. Oczywiście analogii nie ma co szukać ani w rozwiązaniach konstrukcyjnych – w Czarnobylu pracowały reaktory niespotykane w zasadzie nigdzie indziej poza ZSRR – ani tym bardziej w skali tragedii: skażenie po Fukushima było dziesięciokrotnie mniejsze. Być może najważniejszym łącznikiem obu jest przywołane przez autora określenie „nuklearna wioska”.

Termin ten, oznaczający sieć powiązań między politykami, biznesmenami, pracownikami administracji państwowej, naukowcami, mediami oraz operatorami elektrowni jądrowych i firmami je budującymi, ukuli sami Japończycy. Też niedowierzali, jak ta niewidzialna na pierwszy rzut oka pajęczyna opłotła cały kraj, narażając na szwank misternie tkany wizerunek technologicznego centrum świata. Najwyższa jakość, sprawność działania, a do tego dbałość o każdy detal – wszystko to stanowiło o japońskiej soft power, dopóki góry nie wzięły doraźne interesy. Zaczęto bagatelizować niebezpieczeństwo, lekceważono ostrzegawcze raporty, ukrywano drobne awarie, a w imię narodowej dumy odrzucano możliwość wypuszczenia zagranicznych kontrolerów. W energetyce jądrowej to zawsze droga w jednym kierunku. Lekcje z Czarnobyla dość szybko poszły w zapomnienie.

Tam, na zachodzie ZSRR, przecierano szlak dla „nuklearnej wioski”. Łamanie wszelkich procedur, projekty od początku obarczone wadami konstrukcyjnymi, użycie niewłaściwych materiałów, brak kompetencji pracowników, systemowa zмова milczenia – to wprawdzie ówczesna codzienność całego bloku wschodniego, ale w tej konkretnej dziedzinie była niczym innym jak rosyjską ruletką. Problemy z bezpieczeństwem? Kto by miał głowę zawczasu się nimi przejmować. Poczekamy, zobaczymy, może do niczego nie dojdzie... To było jak prośenie się o tragedię.

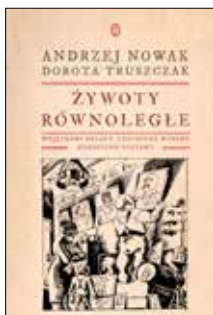
Tomasz Ilnicki wnikliwie rekonstruuje sekwencje zdarzeń, jakie miały miejsce w 1986 i 2011 roku. Szczególnie relacja z Fukushima jest na tyle sugestywna, że można się zastanawiać, dlaczego to nie ta katastrofa, wywołana trzęsieniem ziemi i następującym po nim tsunami, lecz znacznie odleglejsza czasowo i nie tak – excusez le mot – efektowna, rozbudziła wyobraźnię filmowców. Sam będąc pod wrażeniem serialu, autor dekonstruuje wiele mitów, jakie przez lata narosły wokół Czarnobyla. Nie pozostaje obojętny na patologię, wskazuje na zaniedbania, porażką nazywa postawę Zachodu wobec odpowiedzialnych za nie. Pokazuje też skutki: nie tylko te środowiskowe, zdrowotne, ale i społeczne. Wbrew temu co obiecywano, dla mieszkańców, z którymi rozmawia w obu strefach, energia jądrowa okazała się brakiem przyszłości. Stanowią oni jednak głos sumienia dla winnych tych tragedii. To w zasadzie jedyna kara, jaką można wymierzyć członkom „nuklearnej wioski”.

Z konsekwencjami ich działań świat mierzy się zresztą nadal. Żadna lekcja fizyki, książka czy kampania popularnonaukowa nie poruszyły świadomości na tyle, co telewizyjne kadry z jednego czy drugiego miejsca. To właśnie po Fukushima odeszcie od atomu zapowiedziały Niemcy. Z drugiej strony Polska, nie bez społecznych obaw, wybrała niedawno lokalizację dla swojej pierwszej elektrowni tego typu. W sporze o dalszy rozwój energetyki jądrowej Ilnicki stawia się w gronie zwolenników, ale daje też wybrzmieć argumentom drugiej strony. Swoją książkę, mam wrażenie, kieruje do obydwu obozów. Dając merytoryczny odpór szerzącym się po dziś dzień plotkom, jakoby w Czarnobylu i Fukushima doszło do wybuchów jądrowych, przestrzega jednocześnie przed ludzką pychą, instytucjonalną nieporadnością i dezorganizującym systemem zarządzania. To czynniki, które wciąż mogą wypaczyć każdą ambitną ideę.

Mariusz Karwowski

Tomasz ILNICKI, **Czarnobyl i Fukushima. Przyczyny, przebieg, konsekwencje**, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2021.

Bohaterowie w dziejach



Żyjący na początku naszej ery Plutarch z Cheroni (50-125 r.) był autorem pierwszych Żywotów równoległych zawierających 46 zestawionych parami biogramów: Grek – Rzymianin. Nowa książka Andrzeja Nowaka i Doroty Truszcza Żywy równoległy jest owocem cyklu audycji emitowanych od przedwiośnia 2016 r. w Programie 1 Polskiego Radia pod tytułem *Historia żywa*.

Radiowych audycji zestawiających w pary słynnych rodaków było 38. W panteonie wielkich znaleźli się wybitni i zasłużeni na rozmaitych polach. Byli jednak i ci, których w powszechnym mniemaniu, przynajmniej jeszcze do niedawna, zgodnie nazwano by kanalami.

W książce par postaci zestawionych ze sobą jest 21. Kościuszko – Poniatowski, Mochnacki – Chopin, Wielopolski – Traugott, Orzeszkowa – Konopnicka, Prus – Sienkiewicz, Dmowski – Piłsudski, Pilecki – Sendlerowa, Ciepłiński – Karcki, Lechoń – Iwaszkiewicz, Herbert – Wajda, Walentynowicz – Kuroń i inne.

Autorzy, idąc za pytaniami stawianymi przez znakomitego pisarza i krytyka literackiego Andrzeja Kijowskiego wobec pierwszych w narodzie, zastanawiają się: „dlaczego jedni pozostają na zawsze tylko postaciami historii, zdanymi na krytyczny sąd badaczy, na wiedzę lub niewiedzę uczniowskich i studenckich rzesz, na wyobraźnię powieściopisarzy, dramaturgów i scenarzystów, podczas gdy inni przedostają się do legendy, folkloru, podświadomości, a tu rosną, z wpływem wieków tracąc ludzkie i historyczne wymiary? Czy można ustalić warunki i prawa takiej przemiany? (...) Czy kult bohatera jest zjawiskiem koniecznym, czy wywołanym? Dobrym czy szkodliwym? Uskrzydła czy krępuje? Wyjaśnia czy zaciemnia narodowi jego dzieje?” (A. Kijowski, *O dobrym Naczelniku i niezłomnym rycerzu*, Kraków 1984, s. 9-10).

Niedawno szczątki doczesne jednego z bohaterów naszych dziejów, Maurycyego Mochnackiego, wróciły po 187 latach z Paryża do Polski. Uczestnik powstania listopadowego, teoretyk romantyzmu, spiskowiec skazany za przynależność do Związku Wolnych Polaków, słuchacz Szkoły Podchorążych, wielki Polak, ale... miał wciąż przez swoje krótkie życie wyrzuty sumienia, że kiedy trafił do więzienia, złamany, napisał memoriał, w którym wyparł się swoich skłonności „buntowniczych” i wskazał paru profesorów i kolegów szerczących „złego ducha wśród młodzieży”. Memoriał pozwolił mu opuścić więzienie, lecz papiery policyjne wyszły na jaw w czasie powstania listopadowego i ujawnione zostały opinii publicznej. Czy Mochnacki zdradził? Zapis ciekawej rozmowy naprowadza słuchacza – czytelnika na słowo: rehabilitacja. Tak, zrehabilitował się Mochnacki, walcząc niebawem pod Wawrem i Ostrołęką, odnosząc rany. Stał się też fenomenalnym kronikarzem powstania i „publicystą podsycającym konsekwentnie niepodległościową, radykalną interpretację walki z Rosją – jako walki o restaurację Rzeczypospolitej w całej jej wielkości terytorialnej, a zarazem o zniszczenie imperium Romanów”.

Mochnacki w Żywotach... stoi w parze z Chopinem. Sporo można się dowiedzieć o rodzinie, o tym, że rodzina mieszkała w Lotaryngii na gruntach wykupionych przez Michała Paca, marszałka wielkiego konfederacji barskiej, i już ojciec Fryderyka, Mikołaj, od dzieciństwa przebywał wśród Polaków, zanim w wieku siedemnastu lat nie przeniósł się na stałe nad Wisłę, i że Francuzi przez dziesięciolecie próbowali przekonać opinię światową, że „wielki kompozytor to dziecko i reprezentant galijskiego geniuszu”. Fryderyk, będąc i czując się Polakiem, wprowadził nową formę zaznaczenia polskości – dumną walkę o niepodległość. Nie wziął udziału w powstaniu listopadowym, podobnie zresztą jak Adam Mickiewicz. Ale gdyby nie te letnie wyjazdy do Szafarni, gdyby nie poznawanie folkloru Mazowsza i Kujaw, nie powstałyby pewnie mazurki poruszające serca ludzi innych kontynentów. Co łączy Mochnackiego i Chopina? Polskie dzieciństwo, młodość i polskie odczuwanie, polski los tamtych czasów, Paryż, krótkie życie, ale jak przeobficie wypełnione. Spełnione.

Bogdan Bernat

Andrzej NOWAK, Dorota TRUSZCZA, **Żywy równoległy. Wyjątkowi Polacy. Tragiczne wybory. Heroiczne postawy**, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2021.

Najlepsze think tanki



W 1832 roku organizacja Franklin Institute of Philadelphia otrzymała od rządu Stanów Zjednoczonych zlecenie wyjaśnienia przyczyn uszkodzeń kotłów parowych na amerykańskich parowcach. Wydarzenie to uznaje się za pierwszą działalność typu think tank, czyli współpracę ekspercką na linii rząd-organizacja. Think tanki, poczynszy od swojej ojczyzny, czyli USA, kończąc na całym świecie, rozwijały się na przestrzeni ostatnich kilkunastu dekad bardzo prędko. Dziś już nawet sami prezydenci

zakładają think tanki, których celem jest upowszechnianie ich dorobku politycznego, prowadzenie badań, edukacja i wspieranie dialogu. Przykładami niech będą George W. Bush Presidential Center, Obama Foundation, a w Polsce Instytut Lecha Wałęsy czy Fundacja Aleksandra Kwaśniewskiego „Amicus Europae”.

Analizy think tanków podjął się Wojciech Ziętara, autor wydanej przed 12 laty książki *Think tanks. Na przykładzie USA i Polski*, w której pisał o roli i wpływie think tanków na debatę publiczną, a w rezultacie kierunki przemian w takich krajach jak Stany Zjednoczone i Polska. W swojej najnowszej publikacji koncentruje się na pozycji i potencjale think tanków w krajach Europy Środkowej i Wschodniej, a więc poza Polską również w Albanii, Białorusi, Bośni i Hercegowinie, Bułgarii, Chorwacji, Czarnogórze, Czechach, Estonii, Kosowie, Litwie, Łotwie, Macedonii, Mołdawii, Rumunii, Rosji, Serbii, Słowacji, Słowenii, Ukrainie i Węgrzech. Może dziwić fakt, że w zestawieniu znalazły się takie kraje jak Rosja czy Białoruś, a więc państwa autorytarne, niedemokratyczne, w których organizacje, ich finanse i program, są uzależnione od rządu. Jednak najnowsze badania think tanków, wyłonienie nowych rodzajów kategorii zależności i niezależności, pozwalają również organizacje eksperckie w państwach autorytarnych zaliczać do grona think tanków.

Jak pisze Ziętara, można wskazać trzy nurty powstawania i rozwoju think tanków w Europie Środkowej i Wschodniej: państwowo-rządowy, zewnętrzny-liberalny oraz wewnętrzny-konserwatywny. „W pierwszym przypadku nawiązywano do, istniejących w okresie komunizmu, instytutów badawczych działających przy narodowych akademiach nauk, instytutów spraw międzynarodowych współpracujących z ministerstwami spraw zagranicznych lub pozostałych instytutów naukowych, które w wybranych przypadkach zostały przekształcone po 1989 roku w think tanki rządowe wspierające politykę władzy. W drugim przypadku należy podkreślić rolę think tanków zagranicznych, spoza regionu środkowoeuropejskiego i ich wsparcie organizacyjne oraz finansowe udzielone dla nowo tworzonych fundacji. Celem takich działań było przede wszystkim wzmocnienie procesów transformacji politycznej i gospodarczej w regionie opartej na wartościach demokracji liberalnej i zasadach wolnorynkowych. W ten sposób w latach 90. XX wieku w większości powstawały think tanki liberalne. Dopiero na przełomie XX i XXI wieku zostały zintensyfikowane inicjatywy mające na celu równoważenie liberalnej wizji świata i w systemie think tanków pojawiły się organizacje konserwatywne”. Ich potencjał pozostaje jednak mniejszy niż tych liberalnych.

Wojciech Ziętara w swojej książce dokonał analizy ilościowej think tanków w Europie Środkowej i Wschodniej na podstawie rankingów Global Go To Think Tank Index z lat 2008-2018. Dzięki temu możemy się dowiedzieć, które think tanki są najbardziej wpływowe w kategoriach: najlepszego wykorzystania mediów, najwyższej jakości polityki i procedur ucziwości, małego budżetu i kilkunastu innych. Wszystko jest klarownie przedstawione w tabelach. Na koniec autor szerzej prezentuje 10 najbardziej wpływowych think tanków w regionie, wśród nich Polski Instytut Spraw Międzynarodowych, którego początki działalności sięgają 1947 roku.

Anna Jawor

Wojciech ZIĘTARA, *Think tanki w Europie Środkowej i Wschodniej*, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2021.

Jak zwiększyć zaufanie do nauki?



Niewątpliwie mamy problem z komunikacją naukową. Chyba jeszcze nigdy nie było to tak wyraźne jak teraz, w czasach pandemii. Wielu z nas nie rozumie przekazów naukowców lub nie chce ich słuchać, skutkiem czego sytuacja epidemiczna jest fatalna. Badania opisane w książce były jednak prowadzone, nim COVID-19 opanował świat. Wtedy jeszcze łatwiej nam było się oszukiwać, że nauka nie ma wielkiego wpływu na codzienne życie jednostki.

To właśnie brak uznania jest wymieniany jako jedna z barier utrudniających zaangażowanie naukowców w aktywną komunikację naukową. Kolejnymi przeszkodami są brak czasu z powodu nadmiernego obciążenia biurokratycznego i konkurencyjności samej nauki, brak specjalistycznego szkolenia w zakresie komunikacji naukowej oraz strach przed zdyskredytowaniem ze strony innych. Naukowcy obawiają się również niezrozumienia przez opinię publiczną i dziennikarzy. Styl naukowy jest często krytykowany za niedostępność dla osób niebędących ekspertami.

W książce opisano badania w ramach projektu H2020 CONCISE – *Communication role on perception and beliefs of EU citizens about science*. Kluczowe było tu wykorzystanie konsultacji społecznych inspirowanych metodą World Wide Views (WWV). Badania polskie są częścią międzynarodowego programu obejmującego jeszcze cztery kraje europejskie: Portugalię, Hiszpanię, Włochy oraz Słowację. W każdym z nich w konsultacjach brała udział grupa stu osób. Omawiano cztery istotne społeczno-ekonomiczne tematy naukowe: szczepionki, medycynę alternatywną, zmiany klimatyczne i GMO. Przeprowadzono również ogólnoeuropejską debatę na temat komunikacji naukowej z udziałem szerokiego grona interesariuszy: naukowców, mediów, decydentów, przedsiębiorców, popularyzatorów nauki i organizacji pozarządowych. Analizowano źródła i kanały, za pomocą których ludzie zdobywają wiedzę naukową, m.in. programy popularnonaukowe w telewizji i internecie.

Wyniki zebrane z różnych regionów dostarczyły informacji na temat ogólnego postrzegania nauki przez obywateli UE. Z jednej strony zauważono, że ludzie wierzą tylko w naukę zgodną z wyznawanymi przekonaniami. W dodatku niektórzy twierdzą, że ich życie by się nie zmieniło, gdyby nauka nie istniała. Z drugiej strony w raportach z tych samych badań można przeczytać, że w 2020 roku wzrosło zaufanie do nauki i naukowców. Wpływ na ograniczenie postaw sceptycznych ma komunikacja naukowa, której podstawami są: dialog z obywatelami, włączające podejście do inicjatyw badawczych, promowanie nauki obywatelskiej oraz budowanie relacji opartych na zaufaniu.

Współpraca i interaktywność w zakresie upowszechniania nauki pomiędzy naukowcami i uczelniami a dziennikarzami, organizacjami, decydentami i centrami nauki nasiliła się w Polsce za sprawą pandemii COVID-19. Nową jakość w komunikowaniu się ze społeczeństwem zaprezentowało polskie Ministerstwo Zdrowia. Na stronie rządowej powstała podstrona www.gov.pl/szczepimysie. Znalazły się w niej wydzielone miejsca dla poszczególnych interesariuszy: materiały informacyjne dla szpitali, pacjentów, mediów oraz dla pełnomocników wojewodów ds. szczepień. Rozpoczęto również walkę z fałszywymi informacjami, zachęcając do zgłaszania fake newsów. Niestety głos naukowców w walce z pandemią okazały się mniej ważne niż innych grup.

Jak zauważają autorzy książki, od liderów komunikacji naukowej dzieli nas spory dystans. Na przykład w Wielkiej Brytanii powstała inicjatywa masowego dotarcia do społeczności naukowej i zaproszenia jej do współpracy. Wykorzystano dwa mechanizmy: dedykowane konto na Twitterze, promujące wszelkie możliwości współpracy naukowców z Parlamentem Wielkiej Brytanii, oraz nieformalną sieć ponad czterystu „mobilizatorów” wiedzy na uniwersytetach, w towarzystwach naukowych i stowarzyszeniach zawodowych, którzy szeroko informowali o swojej działalności.

Justyna Jakubczyk

Komunikacja naukowa w Polsce. Partycypacja. Dialog. Zaufanie, red. Izabela WARWAS, Małgorzata DZIMIŃSKA, Aneta KRZEWIŃSKA, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2021.

Ekran i ja



To, jak władze, media i Kościół mówią o pandemii, jest nie tylko kolejnym ciekawym tematem badań (w tym przypadku językoznawczych). Od marca 2020 roku właśnie z mediów czerpałem wiedzę o chorobie i na podstawie informacji rozpowszechnianych przez czynniki decyzyjne, specjalistów i dziennikarzy, którym ufam, podejmowałem konkretne decyzje: podporządkowywałem się ograniczeniom i stosowałem się do zaleceń, starałem się chronić siebie i rodzinę, rezygnowałem z niektórych zachowań lub do nich wracałem. Mam w domu mały pokój do pracy, a w nim komputer przy oknie, ale to ekran był dla mnie oknem na świat. W miarę rozwoju pandemii widziałem przez nie coraz mniej, coraz mniej było wiedzy, a coraz więcej mgły informacyjnej.

Autorki przeanalizowały sposoby mówienia o pandemii w mediach w trzech obszarach: używanego słownictwa, metafor oraz gatunków wypowiedzi. W tym pierwszym wzięły pod uwagę zarówno posługiwanie się fachową terminologią (szereg terminów pierwszy raz weszło do tak szerokiego stosowania), jak i neosemantyzmy (obecne już w języku wyrazy w nowych znaczeniach) oraz neologizmy. W drugim obszarze zarówno metafory już zakorzenione w języku, jak i zupełnie nowe. W trzecim zarówno gatunki wyróżniane ze względu na zakładany wpływ wypowiedzi na odbiorcę (przestroga, rada), jak i sposób organizacji wypowiedzi (alfabet, akrostych). Publikacja nie pretenduje do całościowości, autorki zakończyły prace nad nią w kwietniu 2021 roku, obejmuje ona zatem pierwsze trzy fale pandemii.

Władysława Bryła i Agnieszka Bryła-Cruz wskazują przede wszystkim, jak nazywane były zagrożenia związane z pandemią i wywoływane nimi emocje. Co ważne, nie skupiają się – co jest błędem poznawczym wielu laików śledzących dyskurs publiczny – na głosach skrajnych, ale na dominujących. W ich analizach widać wyraźnie, jak debata stopniowo oddala się od merytoryki, w miarę jak okazuje się, że pandemia ani nie wygaśnie sama, ani nie zostanie raz na zawsze wyeliminowana dzięki szczepionkom (a przynajmniej obecnej ich generacji). Nie koncentrują się też na agresywnym języku, ale na języku dyskursu w ogóle, dzięki temu nie umykają im zagadnienia, które mogłyby wydawać się bardziej oczywiste i przez to stają się przezroczyste. Dobrym przykładem są odniesienia w komunikatach medialnych do dawniejszych pandemii – „czarnej śmierci” w XIV wieku czy grypy „hiszpanki” w latach 1918–1919 – które pojawiały się nie tylko w wypowiedziach duchownych. Samo użycie słowa „zaraza” ewokuje konkretne skojarzenia, samo przywołanie tych konkretnych wydarzeń historycznych jest oczywiste, ale skojarzenia już takie nie są. Podczas pierwszej fali zakażeń w marcu i kwietniu 2020 roku apokaliptyczne konotacje potrafiły stawać się wręcz natrętnymi. Pod koniec marca w moim miejscu pracy odgórnie wymuszono pracę zdalną. Ostatniego dnia pracy stacjonarnej kolega – w biurze zostało już tylko kilka osób – usiłował załatwić kilka zaległych spraw w innych jednostkach uczelni. W pewnym momencie wyraźnie zaniepokojony wszedł do mojego pokoju: – Nigdzie nie mogę się dodzwonić. Nikt nie odbiera.

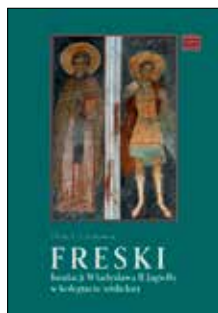
Moje pierwsze skojarzenie było ze sceną z filmu *Zdarzenie* (2008) M. Nighta Shyamalana. Bohater pyta kierownika pociągu, dlaczego ten zatrzymał się na małej stacji w środku lasu. Kolejarz odpowiada: „– We lost contact, sir. – With whom? – With everyone”.

Z czasem myślenie stało się mniej pełne lęku, co znalazło odzwierciedlenie w języku – podobnie jak coraz powszechniejsze lekceważenie zagrożenia. Autorki jedynie dyskretnie podkreślają, że ich zdaniem jest ono realne, a obustronnie mają sens. Zachowanie naukowej bezstronności, bez traktowania na równi wiedzy i mniemania, to trudna sztuka, zwłaszcza w pracy pisanej niemal na gorąco – obu badaczkom zdecydowanie się to udało.

Marek Misiak

Władysława BRYŁA, Agnieszka BRYŁA-CRUZ, **Retoryka okołokoronawirusowa. Szkice językowo-kulturowe**, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2021.

Freski jagiellońskie



Pośród wszystkich malarskich fundacji Władysława Jagiełły zrealizowanych w stylu bizantyjsko-ruskim najmniej do tej pory znane i zbadane były te zachowane w prezbiterium kolegiaty wiślickiej. Przyczyniły się do tego nie tylko straty, jakie zabytek poniósł skutkiem I i II wojny światowej, lecz także fakt, że dopiero prace restauratorskie zrealizowane pod koniec XX wieku pozwoliły na szczegółowe badania stylistyczne oraz ustalenie treści programu. Prace te zostały wykonane przez Piotra Grotowskiego, który ich rezultaty zaprezentował w książce *Freski fundacji Władysława II Jagiełły w kolegiacie Wiślickiej*.

Czytelnikom oddano do ręki solidne, poprawne metodologicznie opracowanie zabytku. Poznajemy jego datowanie, dzieje i przyczyny zniszczeń znacznych partii, ale także ustalenia autora odnoszące się do układu treściowego oraz zagadnień stylistycznych. Praca opatrzona jest szeregiem kolorowych zdjęć, które części czytelników pozwolą po raz pierwszy zobaczyć wiślickie malowidła. Książka zawiera także rozbudowaną bibliografię przedmiotu.

W Wiślicy, podobnie jak i pozostałych świątyniach, w których umiejscowiono bizantyjskie freski fundowane przez Jagiełłę, autorzy malowideł mieli problem z dostosowaniem wschodniego programu – jak wiadomo ułożonego do form architektury rytu wschodniego – do gotyckich świątyń. W przekonaniu autora mamy do czynienia z dosyć innowacyjnym podejściem, wynikającym nie tylko z różnic stylistycznych architektury, ale także poprzez próbę ukazania faktu, iż była to królewska fundacja, a zatem freski miały być stosowną oprawą dla monarszych wizyt w kolegiacie. Jednakże dokładne ustalenie treści oraz określenie układu malowideł jest obecnie niemożliwe ze względu na znaczne zniszczenia.

Jednakże materiału badawczego pozostało na tyle dużo, że Grotowski był w stanie przeprowadzić wnikliwe analizy stylistyczne, na podstawie których stwierdził, że zespół malowideł w Wiślicy jest dziełem czterech mistrzów, z których każdy wyróżniał się odmiennym i wyrazistym stylem. Co więcej, można w miarę swobodnie ustalić także źródła ich manieri malarskiej. W przekonaniu autora trzech z wiślickich twórców, mimo wyraźnych różnic w stylu i jakości ich malarstwa, pochodziło z Rusi Czerwonej. Natomiast w stylistyce czwartego autor wiślickiej monografii odnajduje cechy charakterystyczne dla soboru św. Zofii z Kijowa.

Te ustalenia pozwoliły autorowi na porównanie fresków z Wiślicy z pozostałymi fundacjami Jagiełły, wykluczając związki ich twórców z warsztatami działającymi w Sandomierzu i Lublinie. Można zauważyć jedynie podobieństwa stylistyczne do warsztatu pracującego w wawelskiej kaplicy świętokrzyskiej. Z kolei zapiski kronikarskie nie pozwalają na ich utożsamienie, zaś różnice stylistyczne, chociaż nie tak wyraźne jak w przypadku pozostałych, dają Grotowskiemu asumpt do stwierdzenia, że jest to zupełnie inny warsztat.

Na zakończenie autor podejmuje zagadnienie przyczyn fundowania przez Władysława Jagiełłę bizantyjskich w stylu i programie fresków. Jak wiadomo powstał szereg takich fundacji, które związane były z dużymi kosztami oraz – co nie jest bez znaczenia – w świątyniach, które już posiadały dekoracje, więc ich ponowne zdobienie było w pełni świadomą decyzją, podobnie jak i dobór wykonujących prace warsztatów. Powszechnie przyjmuje się, że dekoracje w stylu wschodnim po prostu odpowiadały gustom fundującego je króla. Jednakże autor, śladem wcześniejszej literatury, wskazuje inne, równie istotne wątki. Pierwszym byłyby przygotowania do ustanowienia unii pomiędzy kościołami katolickim i prawosławnym. Drugą przyczyną byłaby próba wykazania swoich związków z tradycją wschodnią oraz łączenie jej z dziedzictwem Piastów. Jest to działanie niewątpliwie mające na celu legitymizację władzy nowo powstającej dynastii.

Juliusz Gałkowski

Piotr Ł. GROTOWSKI, **Freski fundacji Władysława II Jagiełły w kolegiacie Wiślickiej**, Wydawnictwo Księgarnia Akademicka, Kraków 2021.



Fot. Stefan Ciechan

Leszek Szaruga

Barbara Skarga: Europejka

Jak to czasami bywa, niektóre książki docierają zbyt późno. Tak też w moim wypadku stało się z tomem szkiców *Mysł Barbary Skargi. Droga osobna*, zredagowanym przez Jacka Migaśńskiego i Magdalenę Środę, a wydanym w roku 2015. Całkiem przypadkowo wpadł mi do biblioteki dopiero kilka miesięcy temu i gdy zacząłem lekturę, zdałem sobie sprawę z faktu, że – jak to u nas często bywa – pominięto niemal zupełnym milczeniem jubileusze stulecia urodzin i dziesięciolecia śmierci bohaterki tej książki, które przypadły w roku 2019. Ja w każdym razie, choć nie jestem daleki od środowiska filozofów, jakoś nie zauważyłem okolicznościowych imprez, choćby konferencji, nawiązujących do tych rocznic. Ale przecież nie trzeba rocznic, by wspominać kogoś, kto na innych, jak w moim przypadku, wywarł olbrzymi wpływ, kształtując sposób myślenia o świecie i swoim w nim miejscu. Dowodem rangi intelektualnej Skargi, jednym z wielu, jest wspomniany zbiór esejów jej poświęconych.

Tym, co mnie w sposobie myślenia autorki *Przeszłości i interpretacji* urzekło, jest jej pojmowanie tożsamości europejskiej w najmniejszym stopniu nienaruszające – a może nawet ją wzmacniające – poczucie tożsamości lokalnej czy narodowej. Nie przypadkiem też już we wstępie do wspomnianego tomu redaktorzy przywołują słowa eseju *Dreszcz granicy*: „Europejczyk potrafi z dystansem popatrzeć na swoje dzieła i na samego siebie. To niepoprawny kontestator. Nieustannie więc analizuje i koryguje swoje błędy. Dostrzegając je, gotów jest sceptycznie patrzeć na całą rzeczywistość. Potrafi też odnieść się do niej ironicznie lub po prostu zakpić”. I gdy to czytam, zdaję sobie doskonale sprawę, że wśród współczesnych mieszkańców naszego kontynentu takich właśnie Europejczyków nie jest zbyt wielu.

Ale też nie tak wielu hartowało poczucie tożsamości europejskiej w tej szkole życia, jaką były sowieckie łagry, do których, po aresztowaniu przez NKWD w roku 1944 zesłana została z dziesięcioletnim wyrokiem (była szefem łączności AK w okręgu wileńskim). Dopiero w roku 1955 udało się jej wrócić do Polski. Swoje wspomnienia *Po wyzwoleniu* opublikowała w Instytucie Literackim w Paryżu w roku 1985 pod pseudonimem Wiktoria Kraśniewska i warto może przypomnieć, że w tym czasie jeszcze był to w peerelii temat objęty całkowitym zakazem cenzuralnym. Odsunięta już wcześniej od działalności dydaktycznej, prowadziła niezależne seminaria, zaangażowała się też w dzia-

łalność funkcjonującego w przestrzeni niezależnej Towarzystwa Kursów Naukowych.

Doświadczenie życia w „innym świecie” wyculiło Skargę na kwestie etyczne i ich rolę w życiu społeczno-politycznym. Z naciskiem podkreślała, że właśnie moralny wymiar relacji międzyludzkich, w tym także politycznych, sprawia, że ten, kto owe zasady respektuje: „Nie znosi siły. Nie ma też zaufania do państwa koncentrującego władzę”. Zarazem jednak – i to wydaje się szczególnie wartym podniesienia rysem jej namyślu nad ludzką kondycją – wskazuje w swych przemyśleniach tragiczność sytuacji człowieka. Zamykając esej o złu w zbiorze *Kwintet metafizyczny* pisze: „Nikczemności pełno jest w społecznym byciu. Tkwimy więc w rozdarciu nieuleczalnym, nie do pokonania, między utopijnymi marzeniami, pragnieniem braterstwa, bliskości innych, doskonałości społecznych form, a toczącym je nurtem złośliwości, nienawiści, tragicznych wojen, zła. Jeżeli jest prawdą (...), że zło uderza zawsze w owo „między”, w to, co się rodzi między Ja i Ty, że owo „między” prowokuje i wzywa, to, jak myślę, obaj jesteśmy za ten stan rzeczy odpowiedzialni i nikt nas od tej odpowiedzialności uwolnić nie może”.

Tak zatem naturalny dla międzyludzkiego bytowania wydaje się, wedle Barbary Skargi, tragizm, niemożliwy ze swej istoty do przewyciężenia, ale jednak możliwy do rozpoznania i nazwania. W szczególności dotyczy to społeczności zamkniętych na innych, niezdolnych do dialogu, do przewartościowania – jak to się wiele razy działo w tradycji europejskiej – swych postaw. W tym ujęciu tożsamość nie jest dana raz na zawsze, lecz jest zadaniem ciągle ponawianego samopoznania, które nie pozwala na bezkrytyczne poddanie się narzuconym formułom. Zapewne też zgodziłaby się Skarga z konkluzją jednego ze szkiców Jana Józefa Szczepańskiego z tomu *Nasze nie nasze*: „Dawne kultury statyczne umierały lub upadały nagle z powodu nadmiernej jednorodności, z powodu niedostatku opcji, pobudzających proces poszukiwań i wyboru. Ta sama przyczyna może być załączkiem klęski naszej, nowoczesnej cywilizacji”. I w tym ujęciu złem, za które wszyscy ponoszą odpowiedzialność – choć wciąż nieprzyjmowanym do wiadomości – może stać się właśnie owa „nadmierna jednorodność”, z której skrajną formą, przekraczającą granice absurdu, zetknęła się filozofka w łagrach Uchty. To swoista czarna dziura cywilizacji, wyczerpująco zrelacjonowaną w *Innym świecie* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, w której zmiążdżeniu ulegały zasady kształtujące tożsamość europejską.

30 FORUM AKADEMICKIE LAT

„Forum Akademickie” towarzyszy polskiej nauce i szkolnictwu wyższemu od roku 1991 (początkowo jako „Przegląd Akademicki”). Przez cały ten okres informuje o najważniejszych wydarzeniach z obszaru nauki i szkolnictwa wyższego, rozwiązaniach instytucjonalnych i prawnych, reformach systemowych i codziennych problemach badaczy. Tysiące uczonych i pracowników sektora nauki i uczelni przedstawiali na łamach FA swoje opinie i pomysły. Głos zabierali

ministrowie i rektorzy, profesorowie i studenci, a także przedstawiciele otoczenia społecznego i gospodarczego uczelni i instytutów naukowych.

Miesięcznik informuje o wydarzeniach ze środowiska akademickiego znacznie pełniej niż gazety codzienne i portale poświęcone nauce. Pod prąd medialnych tendencji do upraszczania pokazujemy skomplikowany świat badaczy, ich motywacji, dążeń, marzeń. Objaśniamy konteksty kulturowe, społeczne, historyczne, które kształtują polską naukę i edukację wyższą.

Częściej widzimy życie akademickie od lepszej strony, bo warto prezentować nowe inicjatywy i udane przedsięwzięcia. Nie stronimy też od krytyki działań osób i instytucji.

Pismo interesuje się wszystkimi dyscyplinami nauki. Dzięki temu daje Czytelnikowi, który jest najczęściej specjalistą w określonej dziedzinie, wgląd w inne obszary, obraz całości.



Prenumerata „Forum Akademickiego” w 2022 r.

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy i Sympatycy „Forum Akademickiego”, Serdecznie zapraszamy do prenumeraty „Forum Akademickiego” w 2022 roku.

Roczna prenumerata dla instytucji kosztuje 230 zł;

prenumerata numerów 1-6: 120 zł, a 7-12: 110 zł.

Prenumeratom indywidualnym oferujemy specjalną bonifikatę,

w związku z czym koszt prenumeraty wynosi 166 za cały rok

i 86 zł za pół roku.



Redakcja

Nagroda im. Pierwszego Rektora
Uniwersytetu Łódzkiego
Prof. **Tadeusza Kotarbińskiego**

**Gala wręczenia nagrody autorowi najlepszej
książki humanistycznej w Polsce**
13 marca 2022 r., godz. 18:00

Transmisja online na:
portalu Facebook: @ntk, @unilodz
i kanale YouTube: ww.uni.lodz.pl/filmy

www.ntk.uni.lodz.pl

